

PROLOG

- Chase, proszę, wyjdźmy stąd. Nie powinniśmy jej teraz niepokoić.

Słowa te musiały przebić się przez ból i narkotyki, żeby dotrzeć do jej świadomości. Jakoś dotarły. Marcie Johns uchyliła zapuchnięte powieki. Chociaż w szpitalnej sali panował półmrok, skąpe światło dnia, które przenikało przez zaciągnięte zasłony, zdawało się razić. Potrwało chwilę, zanim jej oczy przyzwyczyły się do jasności.

Przy jej łóżku stał Chase Tyler. Towarzyszył mu młodszy brat, Lucky. Od razu go rozpoznała, mimo iż nigdy wcześniej się nie spotkali. Chase wpatrywał się w nią intensywnie, a Lucky sprawiał wrażenie załęknionego.

Nie była pewna pory dnia. Wydawało się jej, że to poranek, który nastąpił po tym fatalnym wypadku samochodowym. Nieco wcześniej personel szpitala przeniósł ją z oddziału intensywnej terapii na normalną salę w Szpitalu Metodystów św. Lucky'ego.

Badał ją cały zespół lekarzy, a każdy z nich był specjalistą w innej dziedzinie. Poinformowano ją, że obrażenia są poważne, ale nie zagrażają życiu. Doznała wstrząsu mózgu, miała złamaną rękę i obojczyk i znajdowała się w szoku.

Cieszyła się, że żyje, a optymistyczne rokowania, iż odzyska pełne zdrowie, przyniosły jej ulgę. Niepokoiło ją, że nikt nie wspominał nawet o Tani. Gdy odzyskała przytomność na oddziale intensywnej terapii, zaczęła się o nią dopytywać. W końcu powiedziano jej, że Tania Tyler zmarła wskutek obrażeń doznanych w chwili zderzenia. Student Wyższej Szkoły Technicznej w Teksasie, jadący do domu na wakacje,

nie zatrzymał się przed znakiem „stop” i spowodował kolizję, uderzając w bok samochodu.

Marcie jechała przypięta pasem bezpieczeństwa. Mimo to siła uderzenia rzuciła ją w bok, potem w górę i w przód. Głową trzasnęła o deskę rozdzielczą, w wyniku czego twarz miała posiniaczoną i poodcieraną. Oczy były mocno podbite, a nos i wargi potłuczone i spuchnięte. Teraz ramię znajdowało się w specjalnym uchwycie, który je unieruchamiał. W wypadku zginęła żona Chase'a.

W ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin Chase bardzo się zmienił. Rysy twarzy nosiły teraz ślady cierpienia. Był rozczochrany, nie ogolony, miał podkrążone oczy. Z trudem go rozpoznała.

Tylerowie zaangażowali ją jako pośredniczkę handlu nieruchomościami, ale pracowała wyłącznie z Tanią. W ciągu kilku tygodni obejrzały kilka posiadłości. Entuzjazm Marcie na widok pewnego szczególnego domu okazał się do tego stopnia zaraźliwy, że Tania niemal się w nim zakochała. Chciała jeszcze tylko poznać opinię Chase'a.

Chase'a Tylera i Marcie Johns przez trzynaście lat łączyła wspólna klasa. Od tego czasu nie widzieli się jednak całe lata, aż do wczoraj, kiedy to niespodziewanie Tania postanowiła wpaść z nią do Chase'a do pracy, do biura Spółki Wiertniczej Tylera.

- Sówka! - Wstał i okrzyknął biurko, by przywitać ją uściskiem dłoni i krótkim, przyjaznym objęciem.

- Cześć, Chase - powiedziała, śmiejąc się ze swojego przezwiska ze szkolnych lat. - Miło cię znowu widzieć.

- Dlaczego nie pojawiłaś się na żadnym zjeździe naszej klasy? - Jego uśmiech sprawił, że uwierzyła mu, gdy dodał: - Wyglądasz fantastycznie!

- Nie mogę ścierpieć, że zwracając się do niej, używasz tego okropnego przezwiska! - wykrzyknęła Tania.

- Nie obraziłaś się chyba, prawda? - spytał Chase.

- Jasne, że nie. Skoro tolerowałam je jako nastolatka, to tym bardziej mogę je znieść jako osoba dorosła. Mieszkałam

kilka lat w Houston i jakoś nigdy nie udało mi się przyjechać na spotkanie klasowe.

Jeszcze raz wyraził jej swoją aprobatę.

- Naprawdę wspaniale wyglądasz, Marcie. Lata były dla ciebie więcej niż łaskawe. Wręcz szczodre, śmiem twierdzić. Słyszałem, że interesy też ci doskonale idą.

- Dziękuję, rzeczywiście tak jest. Bardzo się cieszę, że mam własną firmę. Od roku już występuje zastój w całej gospodarce, ale mnie się udaje jakoś prosperować.

- Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o sobie - z żalem zauważył Chase.

- Och, ale za to macie inne, szczególne powody do radości.

- Powiedziała jej o dziecku - poinformowała go Tania. - Przekonała mnie, że stać nas na dom pomimo skromnego budżetu, tym bardziej iż teraz jest idealny czas na kupowanie. Dla kupujących rynek stoi otworem.

- Czy mam już wyciągnąć książeczkę czekową? - spytał z lekką ironią.

- Jeszcze nie. Marcie i ja chcemy, abyś pojechał z nami i zobaczył dom, który oglądałyśmy wczoraj. Myślę, że byłby dla nas doskonały. Pojedziesz?

- Kiedy? Teraz?

- Tak.

- Przykro mi, kochanie, ale w tej chwili nie mogę - odparł Chase.

Na ożywionej twarzy Tani pojawiło się zakłopotanie.

- Kiedy indziej pojechałbym z przyjemnością, ale teraz oczekuję właśnie przedstawiciela towarzystwa ubezpieczeniowego. Miał się tu zjawić natychmiast po lunchu, zawiadomił mnie jednak telefonicznie, że przyjdzie nieco później. Muszę na niego poczekać.

- Czytałam w porannych gazetach, że twój brat został uwolniony od tych śmiesznych podejrzeń o podpalenie - odezwała się Marcie. - Czy macie jakieś problemy, Chase?

- Nie - odparł. - Po prostu musimy przeprowadzić inwen-

taryzację całego sprzętu, spisać, co straciliśmy, i omówić nasze roszczenia.

Tania westchnęła z rozczarowaniem.

- No, to może jutro.

- Może jeszcze dzisiaj, tylko później. Jedźcie teraz same - zaproponował - a jeśli nadal będziecie tak podekscytowane domem, zadzwońcie do mnie. Jak ten facet już sobie pójdzie, dołączę do was. Oczywiście, Marcie, o ile dysponujesz wolnym czasem.

- Zarezerwowałam dla ciebie i Tani całe popołudnie.

Tania z uśmiechem zarzuciła Chase'owi ręce na szyję i głośno pocałowała go w usta.

- Kocham cię, a ty z pewnością pokochasz ten dom.

Objął ją w talii i mocno przycisnął do siebie.

- Na pewno tak się stanie, ale nigdy nie będę go kochał tak mocno jak ciebie. Zadzwoń do mnie później.

Odprowadził je do drzwi i pomachał ręką. Był to ostatni raz, gdy Tania i Chase widzieli się, dotykali, całowali.

Marcie z Tanią pojechały samochodem do domu, który miał być przedmiotem transakcji.

- Chase z pewnością go polubi - odezwała się Tania, gdy przemierzały kolejny, obszerny pokój. Była tak ożywiona jak dziecko, któremu obiecano niespodziankę. Miała słodki uśmiech, oczy iskrzyły się niekłamana radością życia.

Teraz Tania nie żyła.

Widok pogrążonego w rozpacz wdowca sprawił, że Marcie ścisnęło się serce.

- Chase, przykro mi. Tak bardzo mi przykro. - Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go, spróbowała nawet, ale zdała sobie sprawę, że zarówno ręka, jak i obojczyk są unieruchomione.

Czy winił ją za to, że była nierozważnym kierowcą? Czy obciążał ją odpowiedzialnością za ten wypadek? Czy można było ją winić?

- My... my go nie widziałyśmy. - Jej głos był słaby i brzmiał obco nawet dla własnych uszu. - Był tylko hałas i...

Chase usiadł na krześle przy jej łóżku. Trudno było wprost uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, którego widziała wczoraj. Wysoki, z ujmującą prezencją, teraz siedział zgarbiony. Linie twarzy zdeformowała tylko ta jedna noc. Żywe szare oczy nabiegły krwią, wyglądały jak pozbawione życia. Nie odbijały światła, zupełnie jakby były martwe.

- Chcę dowiedzieć się wszystkiego o Tani. - Gdy wymówił jej imię, głos mu się załamał. - W jakim była nastroju? Co mówiła? Jakie były jej ostatnie słowa?

Lucky jęknął.

- Chase, oszczędź sobie tego.

Chase z irytacją strząsnął z ramienia dłoń brata.

- Powiedz mi, Marcie, co mówiła, co robiła gdy... gdy ten gnojek ją zabił.

Lucky ukrył twarz w dłoniach i masował palcami skronie. Był tak samo rozstrojony jak brat. Tylerowie byli rodziną zżyłą. Gdy ktoś z nich potrzebował wsparcia, pocieszenia czy obrony, nigdy nie doznał zawodu. Marcie domyślała się, jak musieli niepokoić się o Chase'a. Potrafiła również zrozumieć potrzebę dowiedzenia się o wszystkim, co łączyło się z ostatnimi momentami życia jego młodej żony.

- Tania się śmiała - wyszeptwała Marcie.

Środki przeciwbólowe z wolna przestawały działać i narastający ból spowodował, że zaczęła mówić coraz bardziej niewyraźnie. Z trudem dobierała właściwe słowa. Wypowiadanie ich stało się prawdziwą męką. Mimo to usilnie starała się być zrozumiana. Wiedziała, że musi to zrobić dla Chase'a.

- Rozmawiałyśmy o domu. Ona... ona była... bardzo nim podekscytowana.

- Zamierzam kupić ten dom. - Chase skierował wzrok na Lucky'ego. Czy miał nadzieję i rozbiegane. - Kup go za mnie. Ona pragnęła go mieć, więc będzie go miała.

- Chase...

- Kup ten cholerny dom! - ryknął. - Czy możesz przynajmniej to dla mnie zrobić bez wdawania się w zbędne dyskusje?

- W porządku.

Jego dziki, nieopanowany wybuch wstrząsnął osłabionym systemem nerwowym Marcie. Kolejny dreszcz bólu przeszył jej nadwerżone ciało. Wybaczyła mu. Rany, jakich doznał w wyniku tego wypadku, także były ranami.

Każdemu, kto widział Chase'a i Tanie razem, wydawało się oczywiste, że łączy ich szczególne uczucie. Tania uwielbiała go, a on obsypywał ją pieszczotami, zwłaszcza od czasu, gdy nosiła w swoim łonie ich pierwsze dziecko. Wypadek pozbawił go za jednym zamachem obu kochanych istot.

- Tuż przedtem, jak wjechałyśmy na skrzyżowanie, spytała mnie o zdanie na temat koloru... - Jej ramię przeszył nagły, ostry ból. Nie mogła zapobiec wykrzywieniu twarzy. Rozpaczliwie zapragnęła zamknąć oczy i poddać się działaniu narkotyków, by zapaść w stan nieświadomości i nie odczuwać udreki, jaka towarzyszyła jej od chwili odzyskania przytomności.

Bardzo jednak chciała przynieść ulgę Chase'owi. Jeśli rozmowa o Tani mogłaby uśmierzyć ból, będzie ją desperacko kontynuować, opanowując w miarę możliwości własną niemoc.

- Pytała mnie... na jaki kolor powinna pomalować sypialnię... dla dziecka.

Chase ukrył twarz w dłoniach.

- Chryste!

Łzy spływały mu między palcami i wolno toczyły się w dół. Widok ten przysporzył Marcie więcej bólu niż brutalna kraksa samochodowa.

- Chase - wyszeptała ochryple - czy winisz mnie za to?

Nie odrywając rąk od twarzy, potrząsnął przecząco głową.

- Nie, Marcie, nie. Winę przypisuję Bogu. To on ją zabił. On zabił moje dziecko. Dlaczego? Tak ogromnie ją kochałem. Kochałem. - Głos przeszedł w szloch.

Lucky zbliżył się i w geście pocieszenia położył rękę na ramieniu brata. Również w oczach młodszego mężczyzny Marcie dostrzegła łzy. Wydawało się, że walczy z bólem we

własnym sercu. Ostatnio Lucky przeżywał ciężkie chwile, gdyż został oskarżony o podłożenie ognia w garażu Tyler Drilling. Chociaż w końcu definitywnie odparto zarzuty, a prawdziwego winowajcę osadzono w areszcie, najwidoczniej ta ciężka próba pozostawiła ślady.

Marcie szukała w myślach czegoś pocieszającego, co mogłaby powiedzieć, ale słowa otuchy ulatywały i stawały się abstrakcją. Zmęczony umysł nie potrafił ich uchwycić. W istocie nie było to ważne. Cokolwiek by powiedziała, zabrzmiałoby banalnie.

„Boże, w jaki sposób mogę mu pomóc?”

Należała do osób, które bezradność odczuwały jak przekleństwo. Poczucie niemożności wpędzało ją w depresję. Wlepiła wzrok w jego pochyloną głowę i zapragnęła go dotknąć, objąć, wchłonąć ten ból, by nie cierpieć.

Przysięgła sobie, że pewnego dnia, jakimś sposobem, przywróci życie Chase'owi Tylerowi.

- Panie i panowie, dziś wieczór ujrzycie nie tylko gromadkę jurnych byczków, ale również kilku odważnych kowbojów, którzy zdecydowali się je ujeżdżać! - Nosowy głos prezentera niósł się echem przez przepastną arenę Will Roger's Coliseum w Fort Worth, w stanie Teksas. - Osiem sekund. Oto ile kowboj musi usiedzieć na grzbiecie byka. Cóż to jest, myślicie państwo, ale uwierzcie mi, że to najdłuższe osiem sekund, jakie możecie sobie wyobrazić. Nie znajdziecie tu kowboja, który by temu zaprzeczył. Tak, szanowni państwo. W świecie rodeo jest to najtrudniejsza, najniebezpieczniejsza i najbardziej ekscytująca konkurencja. Oto dlaczego zachowaliśmy ją na koniec.

Marcie spojrzała w kierunku swoich gości, zadowolona, że dobrze się bawią. Przyrowadzenie ich na rodeo było dobrym pomysłem. Czy istniał lepszy sposób, by ukazać im prawdziwe oblicze Teksasu? Było to czymś w rodzaju chrztu bojowego.

Prezenter odezwał się ponownie:

- Nasz pierwszy zawodnik, który wystąpi tego wieczoru, Larry Schafer, pochodzi z Park City, w stanie Utah. W czasie gdy nie ujeżdża byków, uprawia narciarstwo. Ten młody człowiek, poszukujący mocnych wrażeń, panie i panowie, pojawia się właśnie w bramie numer trzy na Cyklonie Charliem! Powodzenia, Larry!

Małżeństwo z Massachusetts z zapartym tchem obserwoowało, jak na arenę wpada byk z kowbojem uczeponym na jego grzbiecie. Po kilku sekundach kowboj tarzał się w pyle, broniąc się przed kopytami byka. Gdy tylko udało mu się stanąć na nogi, podbiegł do ogrodzenia, wspiął się na nie

i otworzył bramę, dając znak dwóm kłownom, by postarali się odwrócić uwagę byka i sprowokować go do opuszczenia areny.

- Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam. - Kobieta nie mogła ochłonać z wrażenia.

- Czy ci młodzi ludzie uczęszczają na jakieś specjalne treningi? - chciał się dowiedzieć jej mąż.

Marcie od niedawna interesowała się ujeżdżaniem byków i jej wiedza na ten temat była jeszcze skąpa.

- Tak, ćwiczą zręczność. Jest to niezbędne, ale dużo również zależy od szczęścia.

- Jak to?

- Zależy to także od tego, którego byka wylosuje kowboj danego wieczoru.

- To znaczy, że niektóre są bardziej wściekłe, a inne mniej?

Marcie uśmiechnęła się.

- Wszystkie pochodzą ze specjalnych hodowli zwierząt przeznaczonych na rodeo, ale każdy ma swoje humory i indywidualne cechy.

Ich uwagę przyciągnęła druga brama, gdzie kolejny kowboj przygotowywał się do występu. Byk stracił właśnie cierpliwość i brykał tak gwałtownie, że zawodnikowi trudno było wspiąć się na jego grzbiet. Kobieta z Massachusetts nerwowo wachlowała twarz. Jej mąż siedział oczarowany bez reszty.

- Panie i panowie, wygląda na to, że nasz kolejny kowboj zamierza zwyciężyć dziś wieczór - zagał prezenter. - Czy ktoś z państwa chciałby zająć jego miejsce? - Po krótkiej pauzie zachichotał. - Tylko, proszę, nie wszyscy naraz! Ten kowboj nie obawia się potężnego byka. W rzeczywistości im niebezpieczniejszy występ, tym bardziej mu się podoba. Brał udział w rodeo przez wiele lat, zanim się z tego wycofał. Na arenę wrócił ponownie półtora roku temu, bynajmniej nie zrażony faktem, że jest około dziesięciu lat starszy od większości zawodników ujeżdżających byki. Pochodzi ze wschodniego Teksasu. Czy jest może wśród was ktoś z Milton

Point? Jeśli tak, połączcie wasze ręce, by zjednoczyć się z tym młodym człowiekiem z waszego rodzinnego miasta, Chase'em Tylerem, który wyjeżdża właśnie z bramy numer siedem na El-do-ra-do!

- O mój Boże! - Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Marcie zerwała się na nogi.

Prezenter podniósł głos do tego stopnia, że widzom zaczęło świdrować w uszach, i nagle brama stanęła otworem, a na arenę wybiegł szary, cętkowany byk. Z wolna zaczął okręzać arenę, kręcąc zadem i łbem z boku na bok.

Marcie obserwowała, jak z głowy Chase'a zsuwa się kapelusz, po czym ląduje w kurzu i zostaje stratowany przez racice byka. Jeździec trzymał lewą rękę uniesioną do góry, jak wymagały reguły sportu. Niespodziewane bryknięcie byka spowodowało, że ciało jeźdźca zostało podrzucone w górę, po czym ciężko opadło z powrotem na grzbiet zwierzęcia. Huśtał się w przód i w tył, próbując utrzymać równowagę. Jednocześnie ścisnął mocno kolanami ciało byka.

Tłum dodawał mu otuchy, dziko rycząc i wrzeszcząc. Miała to być dla Chase'a zachęta. Udało mu się utrzymać na grzbiecie pięć sekund, chociaż dla Marcie te krótkie chwile trwały tak długo, jakby to było pięć lat. Buhaj pochylił nagle łeb do samej ziemi, po czym raptownie podniósł go w górę. W ruchu tym było tyle siły, że Chase został zrzucony na ziemię.

Przetoczył się na bok, aby uchronić się od stratowania kopytami. W tym momencie na arenie pojawił się kłown. Ubrany w luźne, workowate spodnie, które trzymały się tylko dzięki szelkom, podbiegł do byka i trzasnął go w pysk gumowym kijem. Zwierzę prychnęło i tupnęło, a kłown pośpiesznie oddalił się, zatykając przy tym zabawnie nos.

Tłum śmiał się, gdyż wyglądało to na numer mający na celu rozweselić publiczność. W istocie zadanie kłowna polegało zupełnie na czym innym. Stało się to jasne dopiero wtedy, gdy taktyka zawiodła.

Byk okręcił się w koło. Z pyska kapały mu olbrzymie

krople spienionej śliny, nozdrza drżały. Chase podnosił się właśnie z kurzu. Stał na nogi i schylił się po leżący na ziemi kapelusz. Gdy trzymał go w ręku, usłyszał ostrzeżenie, ale już było za późno. Byk ze spuszczoną głową zaatakował z impetem.

Chase uskoczył na bok, dostatecznie szybko, by mogło się wydawać, że uniknie uderzenia parą zakrzywionych, groźnie wyglądających rogów. Niestety, został ugodzony w ramię, co powaliło go na ziemię. Gdy para ciężkich kopyt opadła na jego klatkę piersiową, widzowie na trybunach wstrzymali oddech.

Marcie wydała okrzyk, po czym zasłoniła dłonią usta. Z przerażeniem patrzyła na Chase'a leżącego w czerwono-brunatnym kurzu.

Na arenę ponownie wkroczyli kłowni i dwóch jeźdźców na koniach. Stojąc w strzemionach, wychyleni w siodle, galopowali w kierunku byka i kręcili lassem ponad głową. Jednemu z nich udało się zacisnąć pętlę na rogach zwierzęcia i napiąć mocno linę. Dobrze wytresowany wierzchowiec skierował się w stronę bramy, wlokąc za sobą opornego byka. Odważniejszy z kłownów biegł za nimi, poklepując buhaja miotłą po zadzie. Drugi kłown kłęknał przy zranionym kowboju.

Marcie z trudem przedostawała się do najbliższego przejścia. Niezbyt grzecznie popychała każdego, kto znalazł się na jej drodze. Zbiegła w dół trybuny i gdy dotarła do najniższego poziomu, chwyciła za ramię pierwszego lepszego mężczyznę, który się akurat nawinał.

- Którędy do... miejsca, gdzie znajdują się zawodnicy?
- Kobieto, jesteś pijana?! Zostaw moją rękę!
- Chodzi mi o stajnie. Jak tam trafić?
- Tamtędy. - Wskazał palcem, po czym wymamrotał do

siebie: - Wariatka!

Utorowała sobie drogę przez gęsty tłum, zajęty kupowaniem pamiątek i napojów. Poprzez gwar rozprawiającej ciżby usłyszała głos prezentera:

- Wkrótce dowiedzą się państwo szczegółów dotyczących stanu zdrowia Chase'a Tylera. Gdy tylko dotrą do mnie informacji, natychmiast je przekażą.

Nie zważając na tabliczkę: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU, pchnęła ciężkie, metalowe drzwi i znalazła się w środku. Zapach siana i gnoju unoszący się wkoło zagród dla byłaby był tak intensywny, że musiała oddychać przez usta. Chociaż kurz zapierał jej dech, błyskawicznie przebyła labirynt zagród i skierowała się w stronę ambulansu, który dostrzegła po drugiej stronie stajni.

Gdy dotarła do głównego przejścia, łokciami torowała sobie drogę przez tłumek gapiów. Chase leżał na noszach. Pochylało się nad nim dwóch sanitariuszy. Jeden z nich wkłuyał mu właśnie igłę w żyłę ręki. Twarz Chase'a była biała i spokojna. Marcie uklękła tuż przy noszach i chwyciła jego bezwładną rękę.

- Chase? Chase!

- Proszę stąd odejść! - rozkazał jeden z sanitariuszy.

- Ale...

- Jeśli się pani odsunie, szybciej dojdzie do siebie.

Ktoś chwycił ją z tyłu za ramiona i postawił na nogi. Gdy się odwróciła, ujrzała za sobą groteskową twarz jednego z kłownów, tego, który ostatnio pochylał się nad Chase'em.

- Kim pani jest? - zapytał.

- Znajomą. Jak on się czuje? Czy powiedzieli, co z nim? Przyglądał się jej podejrzliwie przez chwilę.

- Prawdopodobnie ma złamane zębra. Był zbyt pewny siebie. - Wypluł z ust kawałek przeżutego tytoniu na betonową podłogę posypaną sianem. - Wygląda na to, że przez dzień lub dwa nie będzie się czuł nadzwyczajnie.

Diagnoza kłowna tylko w nieznacznym stopniu ulżyła Marcie. Skąd mógł wiedzieć, czy Chase nie doznał wewnętrznych obrażeń?

- Nie powinien dziś wieczór w ogóle występować - mówił kłown, w czasie gdy ładowano nosze do karetki. - Mówiłem mu, że nie może wsiadać na byka w takim stanie, ale on

nie słuchał. A ten byk Eldorado to prawdziwy diabeł. Pod koniec ubiegłego tygodnia...

- W jakim stanie? - podchwyciła Marcie. - Powiedział pan „w takim stanie”. Co miał pan na myśli?

- To, że był na gazie.

- Chodzi o to, że był pijany?

- Tak, *madam*. Poprzedniej nocy urządziliśmy sobie szaloną balangę. Chase nie zdążył dojść do siebie.

Marcie nie czekała na dalszy ciąg zwierzeń. Podbiegła do karetki w tym momencie, gdy sanitariusz zamierzał zamknąć drzwi.

Zareagował zdziwieniem, po czym odezwał się z władczą nutą w głosie:

- Przykro mi, *madam*. Pani nie może...

- Mogę! Ma pan do wyboru: albo stać tutaj i kłócić się ze mną, albo jak najprędzej dowieźć tego człowieka do szpitala.

- Hej, czemu nie jedziemy?! - krzyknął drugi sanitariusz. Zajął miejsce kierowcy i uruchomił silnik.

Jego kolega szybko ocenił determinację Marcie i najwidoczniej uznał, że przedłużanie sporu jest stratą cennego czasu.

- Już dobrze! - odkrzyknął. - Możemy ruszać. - Zatrzasnął drzwi ambulansu i samochód ruszył.

- Cieszę się, że państwo dotarli bez przeszkód z powrotem do hotelu.

Marcie przeproszała klienta z Massachusetts, jedną dłonią masując skronie, a drugą trzymając słuchawkę telefonu. Prawdopodobnie straciła szansę na zawarcie transakcji, ale kiedy ujrzała Chase'a leżącego w kurzu, zapomniała o gościach. Zapomniała o nich na śmierć i przypomniała sobie dopiero kilka minut temu, gdy szła szpitalnym korytarzem.

- Pan Tyler jest moim kolegą jeszcze ze szkolnych lat - wyjaśniła. - Nie miałam pojęcia, że będzie brał udział w rodeo. Ponieważ nie było nikogo z jego rodziny, na mnie spada

obowiązek towarzyszenia mu w drodze do szpitala. Mam nadzieję, że państwo to rozumieją.

Miała w nosie, czy rozumieją, czy nie. Gdyby tego wieczoru podejmowała nawet samego prezydenta z żoną, zrobiłaby dokładnie to samo.

Gdy odłożyła słuchawkę, wróciła do pokoju pielęgniarek i zaczęła szczegółowo wypytywać o stan zdrowia Chase'a.

Pielęgniarka z irytacją zmarszczyła brwi.

- Jak tylko lekarz... O, już jest. Doktorze, ta pani czeka na wieści o panu Taylorze.

- Tylerze - poprawiła Marcie i odwróciła się, by przywitać lekarza. - Nazywam się Marcie Johns.

- Phil Montana. - Uścisnęli sobie dłonie. - Czy pani jest krewną?

- Tylko dobrą znajomą. Pan Tyler nie ma żadnej rodziny w Fort Worth. Wszyscy mieszkają w Milton Point.

- Hmm. Jeśli chodzi o jego stan, to powoli dochodzi do siebie. Szczęśliwie nie ma żadnych poważniejszych uszkodzeń.

- Widziałam, jak byk skoczył mu kopytami na klatkę piersiową.

- Istotnie, ma kilka złamanych żeber.

- To może być groźne, prawda?

- Tylko w przypadku, gdyby złamane kości przedziurawiły jakieś organy wewnętrzne.

Twarz Marcie zrobiła się tak blada, że stały się widoczne wszystkie piegi, które z wielką starannością tuszowała kosmetykami.

Doktor pośpiesznie rozwiął jej niepokój.

- To na szczęście nie zdarzyło się w jego przypadku. Żaden z narządów nie jest uszkodzony. Badałem go skrupulatnie. Za kilkanaście dni nastąpi zdecydowana poprawa, choć jeszcze nie będzie się czuł dobrze. Oczywiście przez dłuższy czas nie powinien uprawiać jazdy na bykach.

- Czy powiedział mu to pan, doktorze?

- Oczywiście. Zwymyślał mnie za to.

- Przykro mi.

Lekarz wzruszył ramionami i odparł uprzejmie:

- Przywykłem do tego. To jest szpital okręgowy. Mamy tu do czynienia z różnymi pacjentami. Spotykamy się ze zbuntowanymi ofiarami narkotyków. Po prostu przyzwyczajaliśmy się do obelżywych słów.

- Czy mogę się z nim zobaczyć?

- Tak, nie dłużej jednak niż na kilka minut. Nie powinien rozmawiać.

- Obiecuję, że nie będę długo.

- Właśnie dostał silny środek przeciwbólowy, więc pewnie wkrótce zapadnie w głęboki sen.

- Jeśli nie sprawi to panu kłopotu - łagodnie powiedziała Marcie - chciałabym zostać przy nim na noc.

- On ma tu dobrą opiekę - wtrąciła stojąca za nią pielęgniarka.

Marcie pozostała niewzruszona.

- Czy mam pańskie pozwolenie, doktorze Montana?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, bawił się słuchawkami.

Marcie popatrzyła mu prosto w oczy wzrokiem, który dobitnie wyrażał, że nie zamierza ustąpić. Kupujący, sprzedający i agenci wynajmu nieraz stawali twarzą w twarz z tymi stalowymi niebieskimi oczami. W dziewięciu przypadkach na dziesięć ustępowali pod siłą ich spojrzenia. Wcześniej sanitariusz doświadczył emanującej z nich mocy i zachował się podobnie.

- Nie przypuszczam, żeby mogło mu to zaszkodzić - oświadczył w końcu lekarz.

- Dziękuję.

- Tylko proszę ograniczać rozmowy do minimum.

- Obiecuję. Jaki jest numer jego pokoju?

Chase'a umieszczono w sali dwuosobowej, ale sąsiednie łóżko było puste. Marcie weszła cichutko na palcach i zbliżyła się do leżącego.

Po raz pierwszy od dwóch lat patrzyła ponownie na tę twarz. Poprzednio ich role były odwrócone. Wówczas ona

leżała półprzytomna w szpitalu, a on stał obok, oplakując śmierć żony.

Ciało Tani zostało spalone. Kilka miesięcy później Chase opuścił Milton Point i udał się w nieznaną. Ku zmartwieniu rodziny po mieście rozeszły się słuchy, że bierze udział w rodeo.

Nie tak dawno temu Marcie spotkała się w supersamie z Devon, narzeczoną Lucky'ego, która potwierdziła pogłoski krążące na temat Chase'a. Rodzinna lojalność nie pozwoliła jej na rozmowę o jego osobistych problemach, ale między wierszami Marcie mogła bezbłędnie wyczytać, jak wyglądało teraz jego życie. Devon napomknęła o złym stanie emocjonalnym i pogłębiającym się problemie picia.

- Laurie bardzo się o niego martwi - powiedziała Devon, mając na myśli matkę Chase'a. - Sage, siostra Chase'a, przebywa w szkole daleko stąd, więc tylko Lucky i ja jesteśmy z nią na co dzień w domu. Laurie domyśla się, że w ten sposób Chase broni się przed rozpaczą z powodu utraty Tani. Ciągle nie może pogodzić się z tym faktem.

Chase pozostawił w rękach młodszego brata bankrutujący interes rodzinny, który, o ile pogłoski mogły być wiarygodne, chylił się ku upadkowi. Spółki wiertnicze nie miały warunków do dalszego rozwoju. A ponieważ firma Tylera była zależna od sprawnej gospodarki surowcami, od kilku lat stała na skraju bankructwa.

Marcie zadała Devon pytanie, które przez cały czas ją nurtowało:

- Czy on wini mnie za ten wypadek?

Devon uspokajającym gestem ścisnęła jej ramię.

- Nie. Nigdy. Nie obciążaj się odpowiedzialnością za to, co się stało. Dla Chase'a winowajcą jest Bóg, a nie ty.

Teraz, gdy wpatrywała się w jego twarz, udręczoną nawet w czasie snu, znowu zaczęła się zastanawiać, czy czyni ją odpowiedzialną za śmierć swojej kochanej Tani.

- Chase - szepnęła ze smutkiem.

Nie poruszył się. Oddychał głęboko i regularnie, co wska-

zywało, że zaaplikowany mu środek działa. Marcie przesunęła dłonią po jego ciemnych włosach i odgarnęła do tyłu faliste kosmyki, które opadały mu na wilgotne, zimne czoło.

Chociaż przybyło mu lat, wciąż był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znała. Dokładnie pamiętała, z jaką dumą wstał i wymienił swoje nazwisko, gdy panna Kincannon poprosiła, by się przedstawił w klasie. Już wtedy zrobił na niej wrażenie. I przez te wszystkie lata od tego czasu niewiele się zmieniło w jej odczuciach.

Psotny, ciemnowłosy chłopiec z jasnoszarymi oczami, o wybitnych zdolnościach przywódczych i atletycznej sile, przemienił się w dojrzałego mężczyznę. Z jego twarzy biła nieustępliwość, a dumny zarys podbródka znamionował bezustanną walkę, co wydawało się cechą wrodzoną mężczyzny z rodziny Tylerów. Zauważało się również inne ich cechy, takie jak na przykład nierzadko ujawniająca się utrata panowania nad sobą.

Dolną szczękę Chase'a szpecił olbrzymi ciemnopurpurowy siniak. Marcie wzdrygnęła się na myśl, że tak niewiele brakowało, a miałyby zmiażdżoną czaszkę.

Chase Tyler przewyższał wzrostem większość mężczyzn, nawet tych, których statystyki uznawały za wysokich. Marcie stała i podziwiała szerokość jego ramion. Były nagie, tak jak i klatka piersiowa. Górna jej część pozostała nie ogolona i zdumiewała obfitością ciemnych, kręconych włosów.

Bandaż opasujący jego połamane żebra sięgał nieco powyżej sutek. Złapała się na tym, że wpatruje się w niego jak w transie. Pomyślała, że może mu być zimno, podciągnęła więc kołdrę aż pod brodę.

- Jezu, czy on umarł?

Czyjś piskliwie brzmiący głos sprawił, że z przerażeniem obejrzała się za siebie. W drzwiach stała młoda kobieta. Dłonią uginającą się pod ciężarem biżuterii, z nienaturalnie długimi paznokciami, odpinała guziki obcisłego, krótkiego sweterka. Na ramiona miała narzucone sztuczne futro.

Chase jęknął przez sen i poruszył się pod kołdrą.

- Bądź cicho! - skarciła ją Marcie. - Zakłócasz spokój. Kim jesteś? Czego chcesz?

- Żyje? - spytała dziewczyna.

Wydała się Marcie niewiarygodnie głupia. Kilkakrotnie zamrugała dużymi, okrągłymi oczami. Nie mogło ująć uwagi, że jej rzęsy aż lepiły się od grubo nałożonego czarnego tuszu.

- Żyje. Ale jest ciężko ranny. - Marcie oszacowała dziewczynę wzrokiem, poczynając od głowy i na srebrny kolor ufarbowanych włosów, a kończąc na stopach odzianych w srebrne botki. - Pani jest znajomą Chase'a?

- W pewnym sensie. - Energicznym ruchem zrzuciła futro z ramion. - Byłam z nim umówiona w barze, gdzie wszyscy przychodzą po rodeo na drinka. Wściekłam się, gdy się nie pojawił. Dopiero Pete - ten kłown - powiedział mi, że byk stratował Chase'a. Więc pomyślałam sobie, że powinnam przyjść i zobaczyć, co z nim i czy mu czegoś nie potrzeba.

- Rozumiem.

- Czy mówili, co mu jest?

- Ma złamanych kilka żeber.

- Och, tak? A kim pani jest?

- Jestem jego żoną.

Nie wiedziała, co skłoniło ją do tak bezczelnego kłamstwa. Chyba było jej po prostu wygodnie tak odpowiedzieć i mogła mieć nadzieję, że w ten sposób odstraszy tę kobietę. Nie miała wątpliwości, że Chase w czasach, gdy prowadził zrównoważone i trzeźwe życie, nie chciałby mieć nic wspólnego z tego typu damami.

To oczywiście nie zrobiło wrażenia na dziewczynie. Wyzwijając oparła rękę na biodrze.

- A to skurczybyk! Wyobraź sobie, że nigdy mi nawet nie wspomniał, że jest żonaty. Traktował mnie po prostu jak kogoś, kogo można przelecieć co jakiś czas. Nic poważnego. Ma tak zmienne usposobienie, że trudno z nim czasem wytrzymać, ale jest całkiem przystojny. Gdy go spotkałam po raz pierwszy, pomyślałam sobie, że to straszny mruk. Mam na myśli to, że nie był rozmowny, właściwie wcale nie chciał

gadać. Ale wtedy powiedziałam sobie: „Do diabła, w porządku. Nie jest może beczką śmiechu, ale za to jest przynajmniej przystojny”. Przysięgam, że spaliśmy ze sobą tylko trzy razy. Za każdym razem był to jedynie zwykły seks. Nic szczególnego. W tych sprawach zresztą nie układało się między nami dobrze. Za każdym razem był pijany.

Rezerwy zimnej krwi Marcie zaczęły się wyczerpywać. Zdziwiło ją to, gdyż rzadko zdarzały jej się sytuacje, w których traciła panowanie nad sobą.

- Lepiej będzie, jeśli pani już pójdzie. Chase potrzebuje spokoju.

- Jasne, rozumiem - odparła bez urazy.

- Proszę powiedzieć jego przyjacielom, że wróci do zdrowia, ale prawdopodobnie dla niego jest to koniec rodeo.

- Ach, coś mi się przypomniało - odezwała się dziewczyna. - Pete prosił, żebym mu powiedziała, że jutro wyjeżdża do Calgary, skąd pochodzi.

Uniosła ramiona tak, że biust prawie wysunął się na wierzch z dekoltu swetra.

- W każdym razie Pete chciałby wiedzieć, co ma robić z rzeczami Chase'a.

- Sądzę, że może mu je przesłać pocztą - odparła Marcie po krótkim namyśle.

- W porządku. A pod jakim adresem? Niech pani napisze mi go na kartce, a ja przekażę Pete'owi.

Marcie omal nie wpadła w pułapkę własnego kłamstwa.

- Mam lepszy pomysł. Proszę powiedzieć Pete'owi, żeby zostawił rzeczy komuś z obsługi rodeo. Podjadę tam jutro i odbiorę je.

- Dobrze, powtórzę mu. To do zobaczenia. Ach, jeszcze chwilką! - Zaczęła grzebać w portmonetce. - Mam tu kluczyki Chase'a. Furgonetka wciąż stoi zaparkowana na terenie rodeo. - Rzuciła pęk kluczy na kółku w stronę Marcie.

- Dziękuję. - Marcie złapała je, zanim zdążyły wylądować na kołdrze.

- I bardzo mi przykro, jeśli chodzi o igraszki z pani mężem.

zem. Nigdy nie powiedział, że jest żonaty. Och, mężczyźni! Wszyscy to nieźli dranie!

Marcie stała parę minut jak osłupiała, nie mogąc uwierzyć, że spotkanie z kobietą było rzeczywistością. Chociaż drzwi za nią zamknęły się jakiś czas temu, wciąż na nie patrzyła. Czyżby Chase naprawdę upadł tak nisko, by widywać się z kobietami tego pokroju w celu zagłuszenia samotności i desperacji? Czy karał się za śmierć Tani, zanurzając się w bagnie?

Podeszła do niewielkiej szafki i położyła klucze obok irchowych rękawic, które miał na arenie, gdy zrzucił go byk. Leżał tam również jego sponiewierany kapelusz. Na podłodze stała para podniszczonych kowbojskich butów.

Poszczególne części garderoby wisiały na wieszaku. Jasnoniebieską koszulę pokrywały smugi brudu. Wciąż był do niej przypięty numer, z którym występował. Wypłowiełe dzinsy także pokrywał pył, jak również chustkę, którą miał wówczas zawiązaną wokół szyi. Marcie dotknęła palcami skórzanych frędzli u kamizelki i przypomniała sobie, jak trzepotały, gdy próbował utrzymać się na grzbiecie byka.

To wspomnienie przyprawiło ją o dreszcz. Zamknęła drzwi szafy, by odgonić od siebie widok Chase'a leżącego w pyłe na środku areny.

Gdy ponownie zbliżyła się do łóżka, zobaczyła, że porusza ręką niespokojnie w okolicy obandażowanych żeber. W obawie, by się nie uraził, ujęła jego dłoń i ułożyła przy biodrze, przytrzymując ją tam chwilę.

Zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Mrugał jeszcze, całkowicie zdezorientowany. Widać było, że próbuje określić swoje położenie i przypomnieć sobie, gdzie się znajduje.

Wydawało się, że ją poznaje. Zacisnęła palce na jego dłoni. Próbował coś powiedzieć, ale z ust wydobył się tylko charkot.

Mimo to odczytała z ruchu jego warg swoje przezwisko.

- Sówka?

2

Następnego ranka, gdy weszła do pokoju, robił właśnie pielęgniarka piekło. Dostatecznie długo wstrzymywał się z niewybrednym wymyślaniem, więc gdy tylko ujrzał Marcie, skargi popłynęły z jego ust z podwójną intensywnością.

- Po kąpieli i goleniu poczuje się pan znacznie lepiej - mówiła przymilnie pielęgniarka.

- Zabierz ręce! I zostaw kołdrę tam, gdzie leży. Powiedziałem, że nie chcę żadnej kąpieli. Jak poczuje się lepiej, sam się ogolę. Mówię po raz ostatni, do diabła, wynoś się i zostaw mnie samego, żebym mógł się ubrać!

- Ubrać? Ależ, panie Tyler, pan nie może wstawać.

- Ach, tak? Spróbuj mi przeszkodzić!

Nadszedł czas, by interweniować. Marcie odezwała się:

- Może gdy pacjent napije się kawy, będzie miał lepszy nastrój i ochotę, żeby się ogolić.

Pielęgniarka zrozumiała tę subtelną sugestię i wyszła, szleszcząc nakrochmalonym fartuchem i skrzypiąc gumowymi podeszwami. Marcie została z Chase'em. Wyglądał niczym chmura gradowa. Jak się okazało, powodem był kilkudniowy zarost i siniak na szczęce.

- Myślałem, że mi się śniłaś - rzucił.

- Nie. Jak widzisz, naprawdę tu jestem. Z ciała i krwi.

- A co, u diabła, twoje ciało i krew tu robi?

Nalała z termosu filiżankę kawy i podała mu ją na prze-nośnej tacy. Podniósł filiżankę i pociągnął łyk.

- No więc, mów.

- To czysty zbieg okoliczności - odezwała się Marcie. - Znalazłam się wczoraj wieczorem na rodeo i okazało się, że bierzesz w nim udział.

- Ale co w ogóle robiłaś w Fort Worth?
- Przyjechałam tu zawodowo. Moi klienci, para z North-east, przeprowadzają się tutaj. Zamierzają zamieszkać w Fort Worth. Na razie zakupili niewielką posiadłość nad jeziorem, niedaleko Milton Point. Chcą tam odpoczywać w czasie weekendów. Przyjechałam tu z nimi, żeby wszystko dograć. Ostatniego wieczora zaprosiłam ich na meksykański obiad, po czym dla rozrywki zabrałam na rodeo. Byli bardziej poruszeni, niż się spodziewałam.

- Emocje przez minutę - mruknął, krzywiąc się z bólu. Próbował właśnie znaleźć wygodniejszą pozycję i poprawić poduszki, o które się opierał.

- Boli cię nadal?

- Nie, skąd. Czuję się świetnie. - Biała obwódka wokół jego warg zdradzała coś wręcz przeciwnego, ale Marcie postanowiła się nie sprzeczać. - To wyjaśnia, co robiłaś na rodeo. Ale co robisz tutaj? W szpitalu?

- Chase, znamy się tak długo. Nie było w pobliżu nikogo, kto by się o ciebie zatroszczył. Gdybym nie przyjechała z tobą do szpitala, twoja rodzina nigdy by mi tego nie wybaczyła. Ja również nie mogłabym sobie tego darować.

Odstawił na bok pustą filiżankę po kawie.

- Czy to ty w nocy ściskałaś moją dłoń? - Potaknęła. Chase odwrócił głowę i spojrzał w innym kierunku. - Myślałem... myślałem... - Wydał głośne westchnienie, które spowodowało ponowny atak bólu. - Przeklęte opatrunki!

- Myślałeś, że to Tania?

Na dźwięk jej imienia ponownie skierował wzrok na Marcie. Odczuła ulgę. Nie musiała obawiać się dłużej wymówienia na głos imienia jego zmarłej żony. Pierwszy raz był najtrudniejszy, tak jak pierwszy występ na scenie. Potem już idzie łatwiej.

Gdy jednak dostrzegła w jego oczach ból tak wielki, jakby został ugodzony zatrutą strzałą, zadała sobie pytanie, czy Chase kiedykolwiek pogodzi się z tragiczną śmiercią żony.

- Dolać ci kawy?

- Nie. To, czego bym teraz chciał, to drink.

Chociaż nie było w tym nic śmiesznego, Marcie potraktowała to jako żart.

- O ósmej rano?

- Zdarzało mi się zaczynać wcześniej - wymamrotał. - Czy zawieszysz mnie w jakimś miejscu, gdzie będę mógł kupić flaszkę?

- Oczywiście, że nie.

- To będę zmuszony poprosić kogoś innego.

Z wysiłkiem, zmagając się z bólem, usiadł i sięgnął po stojący na nocnej szafce telefon.

- Jeśli zamierzasz zadzwonić do Pete'a, tego kłowna, to uprzedzam z góry, że ci się to nie uda. Wyjeżdża dzisiaj do Calgary.

Chase opuścił ręce i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Skąd wiesz?

- Od twojej przyjaciółki. Przyszła tu wczoraj wieczorem, żeby się dowiedzieć, co się stało, gdyż nie zjawiłeś się na randce po rodeo. Dużo włosów, duży biust. Nie pamiętam jej imienia.

- Ach, ta... Ja również - przyznał otwarcie.

Marcie nie odezwała się ani słowem. Przez chwilę wpatrywał się w jej spokojną twarz.

- No i co, żadnego kazania na ten temat?

- Nie ode mnie.

Chrząknął.

- Na temat kazań można świetnie dogadać się z moją rodzinką. Oni uwielbiają gderać. Teraz uwzięli się i usiłują chronić mnie przed samym sobą. A ja, do diabła, chcę tylko tego, żeby zostawili mnie w spokoju.

- Oni cię kochają.

- Ale to moje życie, a nie ich! - wykrzyknął ze złością. - Kiedyż wreszcie przestaną mi mówić, jak mam żyć? Zwłaszcza Lucky. - Parsknął pogardliwie. - Dopóki nie poznał Devon, jego zamek błyskawiczny przy spodniach był chyba najczęściej używany w całym wschodnim Teksasie. Nie prze-

puścić żadnemu stworzeniu w spódnicy, które się poruszało. A teraz jest tak cholernie prawy, że to aż przyprawia o mdłości. Ale myślę, że jego... ee, zamek błyskawiczny jest teraz także używany. Za każdym razem, gdy spotykam Devon, widzę ją uśmiechniętą.

Marcie nie zareagowała na dowcipy Chase'a. Chociaż jego spojrzenie nadal pozostawało gniewne, przelotny uśmieszek zatrzymał się w kącikach warg.

- Świetnie, Sówko, niezła z ciebie zawodniczka.

Przewróciła oczami.

- Och, to tajemnica każdej kobiety.

- Powiedziałem ci komplement.

- Wobec tego dziękuję.

- Dopóki jeszcze jesteśmy w dobrych stosunkach, chcę ci zadać jedno pytanie. Dlaczego nie zamierzasz wykorzystać w pełni twojego supermózgu i zrobić jedynej mądrej rzeczy, jaka ci pozostała, czyli zostawić mnie tam, gdzie mnie znalazłaś?

- Cóż byłby ze mnie za przyjaciel, gdybym opuściła cię w potrzebie?

- Właśnie dlatego, że zawsze byliśmy przyjaciółmi, proszę cię, żebyś odeszła. Jeśli zostaniesz w pobliżu mnie na dłużej, może się zdarzyć coś naprawdę strasznego. Coś, co trudno byłoby mi znieść.

- Co takiego? - spytała z zaciekawieniem.

- Będę się czuł odpowiedzialny za to, że stanimy się wrogami.

Spoważniała.

- Nigdy w życiu, Chase.

Zaczął ją wypytywać od niechcenia.

- Mówiłaś, że Pete udaje się do domu?

- Tak.

- W jego samochodzie znajduje się cały mój dobytek.

- Zadbałam już o to. - Wzięła z tacy plastikowy kubeczek z jogurtem i oderwała foliową pokrywkę. - Gdy wyjeżdżał

z miasta wczesnym rankiem, zostawił wszystkie twoje rzeczy organizatorom rodeo. Przywiozłam je stamtąd.

Automatycznie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, otworzył usta, gdy podetknęła mu pełną łyżkę jogurtu.

- Zadałaś sobie tyle trudu z mojego powodu.

- Ach, to żaden kłopot.

- Dzwoniłaś do mojej rodziny?

- Nie. Chciałam cię najpierw zapytać, czy sobie tego życzysz.

- Nie dzwoń do nich.

- Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

- W stu procentach.

- Chase, ale oni mają prawo wiedzieć.

- Dowiedzą się w swoim czasie. Pewnie będą chcieli wydać publikację na ten temat.

- Mimo wszystko uważam, że powinni być poinformowani. Przecież mogłeś stracić życie.

- A byłaby to znowu taka tragedia? - zapytał z sarkazmem.

Na chwilę przestała grzebać łyżką w kubeczku.

- Tak. Byłaby.

Wydawało się, że będzie się spierał w tej kwestii, ale zamiast tego odwrócił głowę i przesunął tacę na łóżku.

- Zrozum, Marcie, doceniam...

- A co stało się z Sówką?

Przyjrzał się jej badawczo. Włosy koloru marchewkowego, jakie miała w szkole, zmieniły swoją barwę na kasztanową. Wciąż kręciły się naturalnie, ale teraz nauczyła się układać je w artystyczne spłoty.

Od lat bezskutecznie próbowała się opalić. Modliła się, by jej piegi zniknęły nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Po kolejnych próbach wystawiania się na słońce, przerywanych tygodniami koszmarnej złuszczenia się naskórka, ostatecznie porzucała je. Zdecydowała, że skoro nie może mieć lśniącej, złocistej, plażowej opalenizny, przyjmie odwrotną taktykę i uwydatni na zasadzie kontrastu inne zalety

swojej cery. Zaprocentowało to dopiero po latach, gdy jej jasna karnacja stała się przedmiotem zazdrości innych kobiet w jej wieku, które wylegiwały się na słońcu, a teraz płaciły za wspianiałą opaleniznę licznymi zmarszczkami.

Okulary zastąpiła szklami kontaktowymi. Była zdumiewająco szczupła, ale obecnie uchodziło to za modną sylwetkę, a nie nieszczęsną chudość. Ukryte pod drogim i eleganckim ubiorem kształty nie były oczywiście obfite, ale dostatecznie zauważalne.

Marcie Johns przeszła zdecydowaną metamorfozę od czasu, gdy była jedynie niezdatnym molem książkowym, na którego wszystkie dzieciaki wołały „Sówka”. Podczas gdy cieszące się popularnością dziewczęta z jej klasy wygrywały konkursy wesołości i urody, ona piastowała urząd przewodniczącej Klubu Miłośników Łaciny czy organizatorki klubu dyskusyjnego.

Koleżanki klasowe o obfitszych kształtach były koronowane na Królowe Wiosny lub Władczynię Mórz, ona natomiast otrzymywała nagrody za wybitne osiągnięcia w nauce. Rodzice nieraz powtarzali jej, że jest to o wiele bardziej wartościowe niż wygrywanie konkursów popularności, ale Marcie nie była o tym przekonana.

Bez wahania zamieniłaby wszystkie swoje świadectwa na diadem ze szklanych paciorków i koronacyjny pocałunek od gospodarza klasy - Chase'a Tylera. Mało kto przypuszczał, że ich klasowa prymuska może tęsknić za czymś więcej niż tylko za naukowym uznaniem. Komu mogłoby to przyjść do głowy? Sówka to była Sówka i nikt nigdy nie wpadł na myśl, by powiedzieć o niej coś innego poza tym, że jest mądra.

Chase jednak wpadł na to teraz. Podsumowując jej wygląd stwierdził:

- Przewisko Sówka nie pasuje do damy, jaką się stałaś.
- Dziękuję.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Mówiłem o tym...
- Zamierzałeś posprzeczać się ze mną.

Chase przesunął dłonią po rozwichrzonych włosach.

- Nie myśl, że nie doceniam tego wszystkiego, co dla mnie zrobiłaś, Marcie. Naprawdę doceniam.

- Tylko po prostu chcesz, żeby zostawić cię w spokoju.

- Właśnie tak.

- Żebyś mógł w samotności pograżyć się w swojej niedoli.

- Znowu masz rację. A teraz, jeżeli nie jesteś przygotowana, by zostać na swoim miejscu, gdy wstanę z łóżka, nie mając na sobie nic prócz bandaża owiniętego wokół żeber, to lepiej wyjdź.

- Nie mówisz chyba o opuszczeniu szpitala?

- Mówię.

- Ale lekarz nie zdążył cię nawet zbadać!

- Nie jest mi potrzebny do tego, żebym się dowiedział, że mam kilka pękniętych żeber. Leżenie w łóżku przez dzień czy dwa nie wyleczy mnie z tego. Wolę raczej spędzić ten czas gdzie indziej, w jakimś miejscu, gdzie whisky jest bardziej dostępna.

Usiadł na łóżku. Napad ostrego bólu wstrzymał mu oddech, a do oczu napłynęły łzy. Dopóki nie minęło największe nasilenie bólu, jego twarz wykrzywił straszliwy grymas.

- A jak zamierzasz dostać się do tego „innego miejsca”? - spytała. - W takim stanie nie dasz rady prowadzić samochodu.

- Poradzę sobie.

- I prawdopodobnie przypłacisz to życiem.

Wolno obrócił głowę i przeszył ją wzrokiem.

- A może powinienem zapisać się do ciebie na kurs bezpiecznego prowadzenia?

Nie mógł zrobić ani powiedzieć niczego, co zraniłoby ją dotkliwiej. Zgięła się prawie w pół pod naporem jego szorstkich słów. Krew odpłynęła jej z twarzy i poczuła, że słabnie.

Zaczął mamrotać coś pod nosem. Cisza stała się nie do wytrzymania. W końcu podniósł głowę.

- Przepraszam cię, Marcie.

Nerwowym gestem splatała i rozplatała dłonie, nie widząc wzrokiem wpatrując się w przestrzeń.

- Przez cały ten czas zastanawiałam się, czy winisz mnie za wypadek.

- Nie. Przysięgam, że nie.

- Może nie w pełni świadomie, ale gdzieś w głębi...

- Absolutnie nie. To, co przed chwilą powiedziałem, było głupie i bezmyślne. Uprzedzałem, że zrobię sobie z ciebie wroga. Nie mogę... - Bezradnym gestem rozłożył ręce. - Czasem, gdy o tym pomyślę, ogarnia mnie taka wściekłość, że staję się dokuczliwy i pastwię się nad każdym, kto znajdzie się w moim otoczeniu. Dlatego nie uważam siebie za odpowiednie towarzystwo dla kogokolwiek. I właśnie dlatego chcę sam decydować o swoim życiu.

Cierpienie Chase'a było tak widoczne, że bez trudu przebaczyła mu tę ostrą napaść. Był jak ranne, zapędzone w kozi róg zwierzę, które nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie, aby dać sobie pomoc. Przez dwa lata, które minęły od śmierci Tani, lizał swoje rany. Jeszcze się nie zagoiły. Pozostawione same sobie, nigdy się nie zablżnią. Mogą się jedynie rozjątrzyć i stać dokuczliwsze. Chase nie potrafił pomóc sobie sam.

- Czy zamierzasz nalegać na opuszczenie szpitala?

- Tak. - odparł. - Wyjdę stąd, nawet gdybym miał się czołgać.

- To zgódź się, żebym odwiozła cię do domu. Do Milton Point.

- Zapomnij o tym.

- Bądź rozsądny, Chase. Dokąd pójdziesz? Dokąd się teraz udasz, skoro ten kłown, z którym się przyjaźniłeś, wyjechał?

- Jest mnóstwo innych ludzi z rodeo, do których mogę przystać.

- Oni nie zapewnią ci właściwej opieki. - Przynęła się bliżej. Położyła dłoń na jego nagim ramieniu. - Chase, proszę, zgódź się, żebym zawiozła cię do Milton Point.

Zacisnął z uporem szczęki i rzucił:

- Nie chcę jechać do domu!

Jeszcze nie wiedział, że Marcie potrafiła być nie mniej uparta. Znamiennej cechą jej osobowości była nieustępliwość. Niewielu ludzi jej doświadczyło, ponieważ wykazywała ją tylko w sytuacjach, gdy nie miała wyboru.

- Wobec tego zatelefonuję do Lucky'ego i poradzę się, co powinnam z tobą zrobić.

- Do diabła, nie zrobisz tego! - wrzasnął. Wstał z łóżka i gdy tylko jego stopy zetknęły się z podłogą, zatoczył się z osłabienia. - Nie mieszaj w to mojej rodziny. Poradzę sobie sam.

- Och, z pewnością, ale ledwo trzymasz się na nogach.

Przygryzając zęby, przeniknięty bólem, powiedział z naciskiem:

- Proszę po raz ostatni: odejź i zostaw mnie.

Marcie wyprostowała się.

- Nie chciałam poruszać tak delikatnego tematu, Chase, ale nie dajesz mi wyboru. Pozostaje sprawa pieniędzy.

Jej słowa rzuciły go w tył. Przez moment wpatrywał się w nią nie widzącym wzrokiem, po czym zmarszczył brwi i warknął:

- Pieniądze? Jakie pieniądze?

- Koszt przyjęcia cię do szpitala i leczenia. Sądziłam, że nie chcesz przebywać tu jako pacjent z miłosierdzia, więc zapłaciłam za wszystko.

- Co zrobiłaś?

- Przejrzałam twój portfel, ale gdy nie znalazłam w nim ani twojej karty ubezpieczeniowej, ani większej sumy pieniędzy, sama uregulowałam rachunek.

Przygryzł dolną wargę, po czym odezwał się:

- Wpisowe na zawody rodeo wynosiło kilkaset dolarów. Gdybym nie wniósł tej opłaty, nie mógłbym uczestniczyć, dlatego nie mam przy sobie zbyt dużo gotówki.

- Prawda, jaki to szczęśliwy traf dla ciebie, że cię tam jednak znalazłam?

- Dostaniesz z powrotem swoje pieniądze.

- Oczywiście, dostanę, gdy tylko dotrzemy do Milton Point. Będziesz mógł je pobrać z konta albo pożyczyć od brata.

- Marcie - odezwał się gotów do kłótni.

- Nie zostawię cię samemu sobie, Chase. Z dobrze poinformowanych źródeł wiem, że pijesz. Jak możesz wrócić do zdrowia, skoro nie dbasz o nic więcej jak tylko o to, aby się napić?

- Do cholery, zupełnie mnie to nie obchodzi, czy wrócę do zdrowia, czy nie!

- Ale mnie obchodzi.

- Dlaczego?

- Ponieważ zamierzam odzyskać pięćset siedemdziesiąt trzy dolary i sześćdziesiąt dwa centy. - Po wypowiedzeniu tych słów podeszła do drzwi i otworzyła je. - Przyślę pielęgniarkę, żeby pomogła ci się ubrać.

- A co z moim wozem?

Marcie uważnie patrzyła na drogę. Padał śnieg na przemian z deszczem.

- Już się o niego zatroszczyłam.

- Weźmiemy go na hol czy znalazłaś jakieś lepsze rozwiązanie?

Odmówił, gdy zaproponowała, żeby się położył na tylnym siedzeniu. Siedział z przodu, z głową opartą o podłówek. Samochód Marcie był przestronny, obity wewnątrz pluszem. Używała go do wożenia klientów. Z radia sączyła się kojąca muzyka, było ciepło. Chase znalazł się w tak komfortowych warunkach, o jakich by nawet nie marzył. Czy miał zamknięte, chociaż nie spał.

Minęło dopiero pół godziny, a cała podróż, według obliczeń, miała trwać jeszcze dwie i pół. Skończyły się poranne godziny szczytu, ale pogarszająca się z każdą chwilą pogoda sprawiała, że jazda zaczynała być ryzykowna. Intensywność opadów zwiększała się. Była to ta nieznośna mieszanina deszczu ze śniegiem, która często nawiedzała północną część Teksasu na przełomie stycznia i lutego. Coroczne pokazy

w Fort Worth i zawody rodeo zawsze zdawały się zwiastować taką pogodę.

Marcie wpatrywała się w nawierzchnię jezdni. Kurczowo ścisnęła kierownicę, zachowując minimalną prędkość na autostradzie okrążającej Dallas. Niestety, musieli tędy przejeżdżać.

- Wynajęłam kogoś, kto dostarczy twoją furgonetkę do Milton Point pod koniec tygodnia - odparła, odpowiadając na pytanie Chase'a. - Znajdzie się pod twoim domem w czasie, gdy będziesz już mógł samodzielnie prowadzić.

- Ty wynajęłaś kogoś, żeby przetransportował moją furgonetkę?

- Aha! - potwierdziła, koncentrując się na olbrzymiej ciężarówce, która przeleciała obok nich ze świstem i z taką prędkością, że Marcie wstrzymała oddech.

- Jak zawsze kompetentna, prawda?

- Sposób, w jaki to powiedziałaś, nakazuje mi wierzyć, że nie miał to być komplement.

- Doceniam twoje kompetencje. Jednak większość mężczyzn czuje się onieśmielona w towarzystwie samowystarczalnych, zawsze zwyciężających kobiet. - Przekręcił głowę na podłówek tak, że mógł się jej teraz przyglądać. - Czy to dlatego nie wyszłaś nigdy za mąż? Nie spotkałaś nikogo, kto mógłby ci dorównać?

Nie czuła potrzeby, by mówić z nim o swoim życiu, zwłaszcza od momentu, gdy w jego na pozór niewinnych pytaniach wyczuła nutkę szyderstwa.

- Powinieneś teraz spróbować zasnąć, Chase. Opóźniasz działanie środka przeciwbólowego, który ci dali przed wyjazdem.

- Jak to się nazywa?

- Demerol.

- Nie, nie to mam na myśli. Chodzi mi o kobietę, która pragnie być mężczyzną. Jakiś rodzaj zazdrości. O, już wiem, zazdrość o męskość...

Nie zważając na tłok panujący na autostradzie oraz śliską

nawierzchnię, oderwała wzrok od jezdni i spojrzała na niego. Zadowolenie malujące się na jego twarzy było nie do zniesienia. W pierwszej chwili miała ochotę się odciąć.

Skoncentrowała się jednak na drodze.

- Jeśli tak koniecznie chcesz wiedzieć, to zaręczyłam się i miałam wyjść za mąż.

Jego ironiczny uśmiezek zamarł na chwilę.

- Naprawdę? Kiedy?

- Kilka lat temu, gdy mieszkaliśmy w Houston. Pracował ze mną w jednym biurze, zajmował się sprzedażą posiadłości, a ja - mieszkań.

- I co się stało? Kto zerwał, ty czy on?

Uchyliła się od bezpośredniej odpowiedzi na to pytanie.

- Spotykaliśmy się przez parę miesięcy, zanim nastąpiły zaręczyny. Był bardzo miły i inteligentny, miał duże poczucie humoru.

- Ale nie dogadywaliście się w łóżku?

- Wprost przeciwnie. Byliśmy zadziwiająco dopasowani. Pochylił głowę na bok.

- Trudno mi sobie wyobrazić ciebie w łóżku.

- Cóż za niezwykle miłe rzeczy mi mówisz!

- Tak mi przyszło do głowy, bo jak pamiętam, w szkole nie umawiałaś się zbyt często na randki.

- Nie dlatego, że nie chciałam. Po prostu nikt mi nie proponował spotkań.

- Jedyne, co cię wtedy interesowało, to jak najszybsze dostanie się na uniwersytet.

- Nie powiedziałaabym...

- Ale tak to właśnie wyglądało.

- Pozory mogą mylić. Chciałam być śliczna, lubiana i mieć powodzenie, tak jak chyba każda licealistka.

- Wracając do tego faceta z Houston, dlaczego za niego nie wyszłaś?

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Po prostu dlatego, że go nie kochałam. Tydzień przed ślubem zjawiłam się na ostateczną przymiarkę sukni. Moja

matka i krawcowa krzątały się przy mnie, robiąc ostatnie poprawki. Pokój był pełen prezentów. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze, próbując ustalić związek tej panny młodej ze mną. Suknia była wspaniała, rodzice dali z siebie naprawdę wszystko. Ale to nie byłam ja! Spróbowałam sobie wyobrazić, jak krocę do ołtarza i przyrzekam dozągonną miłość i przywiązanie temu mężczyźnie. W jednej chwili doznałam olśnienia. Wiedziałam, że nie wolno mi tego zrobić. Nie mogłam być tak nieuczciwa. Lubiłam go bardzo, ale nie kochałam. Tak więc spokojnie uwolniłam się z satynowej kreacji i poinformowałam matkę oraz zdumioną krawcową, że ślub się nie odbędzie. Możesz sobie chyba wyobrazić, jakie zamieszanie wywołało moje oświadczenie. Następne dni przypominały nocny koszmar! Trzeba było odwołać wszystkie zamówienia, kwiaty, żywność. Prezenty należało zwrócić z przeprosinami tym, którzy je nadesłali.

- A co on na to? Jak to przyjął?

- Całkiem spokojnie. Z początku spierał się ostro i próbował mi to wyperswadować, tłumacząc sobie mój brak zdecydowania nerwami i niepokojem, jaki mnie opanował przed ślubną ceremonią. Ale gdy przedyskutowaliśmy wszystko szczegółowo, uznał moje racje. Myślę, że od dawna wiedział, że go nie kocham.

- Zrobiłaś to, co należało zrobić, Marcie.

- Wiem - odparła ze smutkiem - ale wcale nie jestem z tego dumna.

- Ja jednak jestem pełen podziwu dla twojej odwagi. Musiałaś jej mieć dużo, by zerwać tuż przed ślubem.

Potrząsnęła głową.

- Nie, Chase. Gdybym miała odwagę, przyznałabym się sama przed sobą o wiele wcześniej, że nie jest mi przeznaczone wyjść za mąż, zanim wplątałam w to tego niewinnego człowieka.

Zaległa cisza, co bardzo odpowiadało Marcie, gdyż szosa zamieniła się w tafłę lodowiska i bardziej przypominała powierzchnię ślizgawki niż asfaltową drogę.

Po niedługiej chwili Chase jęknął i położył dłoń na żebrach.

- Boli jak cholera!

- To weź następną tabletkę. Doktor powiedział, że możesz je brać co dwie godziny.

- Eee, to działa jak zwykła aspiryna. Zatrzymaj się i pozwól mi kupić whisky.

- Nie ma mowy. Nie zamierzam zatrzymać się ani na chwilę aż do czasu, gdy znajdziemy się u ciebie, w Milton Point.

- Jeśli tabletkę popiję whisky, szybciej zadziała.

- Nie targuj się ze mną. A poza tym uważam, że to idiotyczne mieszać alkohol z lekami.

- Na miłość boską, nie truj! Zjedź najbliższym zjazdem. Jest tu sklep. Naprawdę nie zajmie to dłużej niż sekundę...

- Dopóki jesteś ze mną, nie będziesz kupował żadnych trunków.

- Ale przecież nie prosiłem cię o to, by być teraz z tobą, prawda?! - krzyknął. - To ty wetknęłaś nos w moje sprawy. A teraz oświadczam, że chcę drinka, i to natychmiast!

Zdjęła nogę z pedału gazu, pozwalając samochodowi toczyć się w kierunku barier osłaniających autostradę. Stopniowo przyciskała hamulec, aż pojazd całkowicie się zatrzymał. Oderwała białe, sztywne palce od pokrytej skórą kierownicy i wolno odwróciła się w stronę Chase'a.

Zupełnie nie spodziewał się uderzenia. Jej zimna dłoń nieoczekiwanie trafiła w nie ogolony policzek.

- Przeklęty! - Cała się trzęsała. W oczach zalśniły łzy. - Niech cię diabli wezmą! Jesteś najbardziej samolubnym i pochłoniętym sobą egoistą, jaki się kiedykolwiek narodził. Spójrz na moje ręce. - Trzymała je tuż przed jego twarzą, zwrócone dłońmi do góry. - Są całe mokre, tak mocno je zaciskam. Jestem przerażona. Czy naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że nie jest mi łatwo prowadzić, a już szczególnie w takich warunkach? - Wykonała gwałtowny gest w stronę okna. - Boję się, że którykolwiek z mijających nas samo-

chodów zderzy się z naszym. Żyję w ciągłym strachu, że znowu mi się to przydarzy. Zwłaszcza że wiozę pasażera na tym siedzeniu, na którym zginęła Tania. Do dzisiaj dręczą mnie nocne koszmary. Gdy słyszę pisk opon, coś zaczyna we mnie drżeć. Czuję paniczny strach, że zdarzy mi się przeżyć to ponownie. Przez długie tygodnie chodziłam na specjalną terapię, zanim odważyłam się usiąść znowu za kierownicą. Gdyby nie to, że chcę cię jak najszybciej odwiedzić do domu, siedziałabym sobie spokojnie w pokoju hotelowym w Fort Worth i czekała na suchy, pogodny dzień. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby narażać życie, podejmując jazdę w takich warunkach.

Przerwała i wzdrygając się, zaczerpnęła powietrza.

- Masz rację, nie prosiłem cię o pomoc. Ale ja czuję, że jestem ci chociaż tyle winna, by dowieźć cię bezpiecznie do domu, do twojej rodziny, gdzie pod troskliwą opieką będziesz mógł wracać do zdrowia.

Zacisnęła pięść i pogroziła mu.

- Mógłbyś przynajmniej zamknąć się i przestać marudzić!

- ...wydaje mi się, że nie powinniśmy go budzić. Skoro nie obudziły go hałasy, jakich narobiliśmy wdzierając się tutaj, to znaczy, że sen jest mu naprawdę potrzebny.

Marcie, mając obie ręce zajęte torbami zakupów, przystanąła przed drzwiami. Spoza nich docierały do niej głosy.

- Ale jaki jest inny sposób, żeby dowiedzieć się, jak się tu znalazł, mamgo? I skąd będziemy wiedzieć, ile tych tabletek zażył? To one mogą być przyczyną, że śpi jak zabity.

- Lucky, nie panikuj - odezwał się trzeci głos. - Fiolka z pastylkami jest prawie pełna. Nie mógł wziąć ich dużo. Laurie ma rację. Powinniśmy pozwolić mu się wyspać.

- Ciekawe, co robi ten paskudny bandaż na klatce piersiowej - zastanowiła się Laurie Tyler. - Chase z pewnością potrzebuje odpoczynku w pościeli. Możemy chyba poczekać, aż sam się obudzi, żeby się dowiedzieć, kto go przywiózł do domu.

- Pewnie jego aktualna panienska - zauważył Lucky.

Marcie uznała, że usłyszała wystarczająco dużo. Udało jej się chwycić i nacisnąć klamkę, chociaż zatoczyła się pod ciężarem zakupów. Trzy postacie odwróciły się jak na komendę i wlepiły w nią zdumiony wzrok.

- Panna Johns!

- Dzień dobry, pani Tyler.

Marcie schlebiał fakt, że Laurie Tyler ją poznała. Choć przez tyle lat chodziła z Chase'em do jednej klasy, nie mieli wspólnego grona znajomych. Po opuszczeniu szpitala Marcie zastanawiała się, czyby nie pójść do Laurie i przeprosić za śmierć Tani. Ostatecznie zrezygnowała z tego, wiedząc, jak

trudne byłoby to spotkanie dla nich obu, skoro żadna z nich nie mogła zmienić przeszłości.

- Lucky, weź od niej te siatki - zarządziła Laurie, popychając młodszego syna, któremu kompletnie odebrało mowę.

- Do diabła, Marcie, co tutaj robisz? - Lucky odebrał od niej zakupy i postawił je na barze oddzielającym małą kuchnię od reszty mieszkania.

Marcie rzuciła portmonetkę i klucze na krzesło, na którym piętrzyła się nie otwarta poczta i leżały pokryte kurzem ubrania.

- Po pierwsze, przyjmij moje zapewnienie, że nie jestem jego aktualną panienką - rzuciła zdejmując płaszcz.

Lucky wyglądał na zmieszanego, ale tylko przez moment.

- Przykro mi, że usłyszałaś akurat coś takiego, ale co się właściwie stało? Prosiłiśmy zarządcę budynku, żeby miał oko na mieszkanie. Miał nas powiadomić natychmiast, gdyby Chase się pojawił. Zadzwoił jakieś pół godziny temu i poinformował nas, że widział, jak w mieszkaniu pali się światło, chociaż nigdzie w pobliżu nie dostrzegł jego furgonetki. Przygnaliśmy tutaj co sił w nogach i zastaliśmy Chase'a samego, śpiącego jak niemowlę.

- I na dodatek obandażowanego - dodała Devon. - Czy jest ranny?

- Jego obrażenia z pewnością są dokuczliwe, ale niegroźne. Został podeptany przez byka, uczestnicząc w rodeo, w Fort Worth.

Marcie opowiedziała im szczegółowo o wypadku. Pomięła jedynie fakt, że spędziła noc w szpitalu w jego pokoju. W istocie opuściła go tylko na czas, jakiego wymagało dostanie się do hotelu, wzięcie prysznic, spakowanie się i odbiór rzeczy Chase'a.

- Gdy wróciłam rano do szpitala, zastałam go otoczonego gromadą pielęgniarek, nalegających, by się ogolił. Oczywiście odmówił, nie chciał się poddać porannej toalecie. Upierał się, by opuścić szpital.

- On jest szalony!

Devon rzuciła mężowi piorunujące spojrzenie.

- Mówisz tak, jakbyś sam był lepszym pacjentem. Już widzę cię, jak poddajesz się myciu w łóżku.

Zwracając się ponownie do Marcie, spytała:

- I co, tak po prostu wstał i wyszedł?

- Z pewnością by tak zrobił. Na szczęście zdażyłam zawołać lekarza. Przybył w samą porę. Zbadał go i zarządził, że powinien jeszcze kilka dni pozostać w szpitalu. Gdy jednak zorientował się, że równie dobrze może mówić do ściany, wręczył mu wypis. Zaproponowałam wtedy, że przywiozę go tutaj, i obiecałam lekarzowi, że osobiście dopilnuję, by znalazł się w łóżku. Dostał środki przeciwbólowe, to ta butelka z pastylkami, która stoi na nocnym stoliczku. Zażył tylko przepisaną dawkę.

Laurie opadła na sofę z ogromną ulgą.

- Dziękować Bogu, że zastał tam panią, panno Johns, i że zaopiekowała się pani Chase'em.

- Proszę, niech mi pani mówi po prostu Marcie.

- Dziękuję.

- To była jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić.

Po tym oświadczeniu zapadła cisza. To, co pozostało nie wypowiedziane, to sugestia, że uczestnictwo Marcie w tej sprawie było symboliczną rekompensatą za śmierć Tani, która zmarła jako pasażer w jej samochodzie.

Devon pierwsza przerwała milczenie.

- Co to jest? - spytała, wskazując na stojące na barze zakupy.

- Jedzenie. W lodówce nie znalazłam nic prócz puszki zepsutych sardynek, a spiżarnia również świeciła pustką. Kupiłam też środki czyszczące.

Laurie powiodła palcem po blacie stoliczka do kawy, zgarbiając grubą warstwę kurzu.

- Nie sądzę, by ktokolwiek dotykał tego miejsca od śmierci Tani.

- To prawda. Nikt nie ścierał tu kurzu.

Jak na zawołanie odwrócili się i ujrzeli stojącego w drzwiach

Chase'a. Miał na sobie szlafrok kąpielowy, spod którego wystawały silne, szczupłe nogi. W dekolcie szlafroka widniał biały trójkącik bandaża. Włosy wciąż były w nieładzie, jakby potargał je silny wiatr, a kilkudniowy zarost stał się wyraźnie ciemniejszy. Nie bardziej jednak niż jego groźny wzrok.

- Nie było tu również żadnych gości - dodał - gdyż właśnie tego sobie życzę. Skoro więc skończyliście dyskusję o mnie i moich wadach, możecie się stąd zabierać i zostawić mnie samego.

Laurie, mimo dawno przekroczonej pięćdziesiątki, zerwała się żywo na nogi.

- A teraz posłuchaj, Chase. Rozmawiając ze mną, nie będziesz używał takiego tonu, jak również żadne z moich dzieci. Bez względu na to, jak jesteś duży! - Podciągnęła w górę rękawy swetra, jakby przygotowywała się do walki na pięści. - Wyglądasz tak okropnie, że aż się wstydzę przyznać, że jesteś moim najstarszym synem. I skoro już przy tym jesteśmy, przyjmij do wiadomości, że śmierdzisz. To miejsce wygląda jak chlew, a nie mieszkanie. Trzeba będzie włożyć dużo pracy, by doprowadzić je do przyzwoitego stanu. Mam już serdecznie dość twojego uzalania się nad sobą, skomlenia i marsowej miny, która nie opuszcza twojej twarzy. Jestem zmęczona chodzeniem wkoło ciebie na paluszkach jak wokół śmierdzącego jajka. Gdy byłeś chłopcem, ja decydowałam, co jest dla ciebie dobre, a co nie, bez względu na to, czy ci się to podobało. Teraz jesteś dorosły i mógłbyś się sam o siebie zatroszczyć, ale skoro tego nie robisz, to znaczy, że nadszedł czas, abym użyła swojego matczynego autorytetu. Niezależnie od tego, czy masz na to ochotę, czy nie, robię to dla twojego własnego dobra i nie masz wyboru, tylko musisz podporządkować się moim zarządzeniom.

Prostując się nakazała:

- Idź się ogolić i weź kąpiel, a ja ugotuję ci pyszny rosół z makaronem domowej roboty.

Chase stał przez moment bez ruchu, przygryzając wargi, po czym spojrział na brata.

- Wskocz gdzieś po flaszkę, dobra?
- Nie, do diabła, nie nadaję się do tego. Nie chcę, żeby mi się oberwało.

Chase spuścił głowę, mamrocząc przekleństwa. Po chwili jego gniewny wzrok spoczął na Marcie.

- Wiesz chyba, że to wszystko twoja wina! - Gdy wypowiedział te słowa, odwrócił się i ocieżałym krokiem powlókł się w stronę sypialni. Drzwi zatrzęsnęły się za nim z hukiem.

Marcie cofnęła się o krok, jakby zaatakował ją fizycznie, a nie słownie. Skuliła się.

Devon natychmiast zbliżyła się do niej i przyjacielsko otoczyła ramieniem.

- Jestem pewna, że gdyby wiedział, jak to zabrzmiało, nie powiedziałaby tego, Marcie.

- Myślę, że zrobił to specjalnie - odparła drżącym głosem.

Lucky próbował rozwiać jej wątpliwości.

- Jego słowa nie odnosiły się do wypadku. Chodziło mu o to, że mama się rozgniewała.

- Marcie, on ciągle ukrywa swoją prawdziwą twarz. - Wojowniczość Laurie znacznie zmalała. Uśmiechała się teraz łagodnie. - W głębi duszy z pewnością jest ci wdzięczny, że byłaś przy nim w szpitalu i zmusiłaś go do tego, na co sam miał pewnie od dawna ochotę - do powrotu do domu. Stworzyłaś mu doskonały parawan. Mógł to wreszcie zrobić i zachować twarz. Mamy u ciebie ogromny dług wdzięczności, a Chase również.

Marcie nieśmiało się uśmiechnęła, po czym wzięła swój płaszcz, klucze i portmonetkę.

- Skoro tutaj jesteście i Chase ma nareszcie dobrą opiekę, pożegnaj się i już pójdę.

- Odprowadzę cię do samochodu.

- Nie trzeba, Lucky - odparła, po czym pospiesznie odwróciła się i otworzyła drzwi. Nie chciała, żeby zobaczyli łzy w jej oczach. - Zadzwoń później, żeby się dowiedzieć, jak on się czuje. Do widzenia.

Deszcz ze śniegiem, który cały czas zacinął, był zaledwie zimną, nieprzyjemną mżawką. Marcie prowadziła ostrożnie, gdyż jej pole widzenia zawężyło się znacznie nie tylko z powodu opadów, ale i... własnych łez.

Chase puścił wiązanek przekleństw, gdy późnym wieczorem usłyszał pukanie do drzwi. Mieszkanie po odkurzeniu, umyciu podłóg i wysprzątaniu stało się przytulne i ciche. Mając za towarzystwo jedynie ból żeber, siedział sam i w upragnionym „świętym spokoju” kończył obiad.

W pierwszej chwili miał ogromną ochotę zignorować to pukanie. Ktokolwiek to był, mógł sobie pomyśleć, że już śpi albo że gdzieś wyszedł. Jednak nagła myśl, że mógł to być Lucky, który zdecydował się przynieść mu chyłkiem butelkę czegoś mocniejszego, skłoniła go do otwarcia drzwi.

W progu stała Marcie, trzymając w ręku bukiet kwiatów. Nigdy przedtem nie widział jej w dzinsach. Jej nogi wydawały się dłuższe i szczuplejsze.

Pod krótką pikowaną kurtką z drelichu miała na sobie bawełnianą bluzę w stylu sportowym. Cały jej ubiór daleko odbiegał od strojów kobiety biznesu, jakie zazwyczaj wkładała. Ogniste splety włosów opadały luźno na ramiona. Krople deszczu połyskiwały na nich jak diamentowe paciorki, odbijając przenikające z korytarza światło. Chociaż niezbyt lubił rude włosy, musiał przyznać, że Marcie wygląda delikatnie i ślicznie.

- Na dworze panuje straszny ziąb - powiedziała.

- Och, przepraszam - zreflektował się i odsunął, by mogła wejść do mieszkania.

- Sam jesteś?

- Na szczęście!

Zamknął drzwi i patrzył na nią, ona również nerwowo powiodła wzrokiem po jego postaci, co przywołało uśmiezek na jego wargach. Wykąpał się, ogolił i umył włosy. Nie ubrał się jednak i wciąż paradował w kąpielowym szlafroku.

Przyszło mu na myśl, że panna, jaką była Marcie, nie

przywykła pewnie do tego, by rozmawiać z mężczyzną o obnażonych nogach i odsłoniętej klatce piersiowej, chociaż, jak sobie przypominał, zademonstrowała zimną krew, gdy wstał z łóżka szpitalnego.

Wyczuł jej zakłopotanie, ale postanowił, że to będzie kara za wtrącanie się w nie swoje sprawy.

- To dla ciebie. - Wręczyła mu kolorowy bukiet.

- Kwiaty?

- A czy to ujma dla mężczyzny przyjąć kwiaty? - spytała z rozdrażnieniem.

- Nie o to chodzi. Kojarzą mi się z pogrzebami. - Położył bukiet na stoliczku do kawy, wypolerowanym na wysoki połysk. - Dzięki, że pamiętałaś o kwiatkach, ale jeśli mam być szczerzy, wolałbym raczej butelkę whisky.

Potrząsnęła głową.

- Dopóki bierzesz środki na uśmierzanie bólu, alkohol w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- Kiedy te prochy wcale nie likwidują bólu.

- Skoro żebra boją cię tak mocno, to może powinniśmy pojechać do pogotowia.

- Nie ten rodzaj bólu miałem na myśli - wymamrotał, udając się w kierunku stołu, na którym zostawił swój napęczony obiad. - Zjesz trochę?

- Chili? - Spojrzała na miskę wypełnioną tłustą czerwoną potrawą. - A co stało się z rosółem, który miała ugotować dla ciebie mama?

- Skonsumowałem go na lunch. Nie potrafię jeść tego samego dwa razy dziennie.

- Kupiłam chili w puszkach, myśląc, że będzie to odpowiednie pożywienie dla ciebie za tydzień.

- Nie mam ochoty wysłuchiwać zrzędzenia na temat mojego sposobu odżywiania się.

Usiadł ciężko na taborecie i nabrał łyżką kolejną porcję. Ruchem głowy wskazał Marcie jeden z barowych stołków.

Zrzuciła kurtkę z ramion i usiadła.

Gdy skończył jeść, odsunął od siebie pusty talerz. Marcie

skrupulatnie opłukała go wodą i umieściła na półeczce zmywarki. Nalała wody do wazonu i włożyła kwiaty. Postawiła go na barze, tuż przed nim.

- Uważam, że to bez sensu pozwolić im zwiędnąć, dlatego że usiłujesz zachowywać się jak skończony osioł.

Parsknął bezmyślnym śmiechem.

- Nic nie wskórasz, Marcie. Byłabyś z pewnością dla jakiegoś mężczyzny dobrą, miłą żoneczką. Jesteś... - Przerwał i przyjrzał się jej uważnie z bliska. - Co się dzieje z twoimi oczami?

- Co masz na myśli?

- Są czerwone. Ty płaczesz?

- Płaczę? Ależ skąd! Podrażniły mnie szkła kontaktowe i musiałam je wyjąć.

- Ach, szkła kontaktowe! Nie wiedziałem, że je nosisz. Od ukończenia szkoły średniej twój wygląd wiele zyskał. Nie jesteś już taka płaska.

- Ale nadal nie jest to nic imponującego. Z pewnością daleko mi pod tym względem do damy twojego serca.

Mięśnie jego twarzy nagle się naprężyły.

- Dama serca?

- Ta kobieta, która przyszła cię odwiedzić zeszłej nocy... Gdy to usłyszał, wyraźnie się rozluźnił.

- Och, ona. Rzeczywiście ma duży biust.

Marcie wyciągnęła dłonie przed siebie.

- Aż dotąd. Czyżbyś nie pamiętał?

- Nie za bardzo. Jakoś nie potrafię sobie przypomnieć wszystkich szczegółów.

- Naprawdę nie pamiętasz srebrnych włosów i karmazynowych paznokci?

- Nie - odparł, patrząc jej prosto w oczy. Po chwili dodał: - Po prostu była łatwa.

Ze spokojem położyła dłonie na barze. Jej oczy pozostały stalowo zimne, gdy pochyliła się w jego stronę.

- Chase, możesz sobie oszczędzić kłopotu, żeby mi w ten sposób dokuczyć. Nie ma chyba takiego przycinka, którego

bym nie słyszała. Byłam już nazywana Wiewiórą, Marchewką, Kaczymi Nóżkami, no i Sówką. Nie czuję się więc zaszokowana tym, że zachowujesz się jak prostak, gdy przychodzę do ciebie z kwiatami. Jeśli chodzi o cały wachlarz epitetów, to znam je doskonale. Odkąd skończyłam uniwersytet, pracuję wśród mężczyzn. Nie są mi obce świńskie kawały. Znam język ludzi spod budki z piwem. Nie mógłbyś już powiedzieć niczego, co by mnie zgorszyło czy zaszokowało. Zdaję sobie sprawę, że twoje seksualne potrzeby nie znikły w momencie, gdy zmarła żona. Masz je nadal, a zaspokajasz je z przypadkowymi kobietami. Nigdy tego nie komentowałam ani nie krytykowałam cię za to. Seksualność jest rzeczą ludzką i każdy radzi sobie z tym na swój sposób. Żenują mnie jedynie kobiety, które godzą się, byś korzystał z ich ciała. Otacza cię tyle ludzi, którzy troszczą się o ciebie. A ty pogardzasz nimi, wyśmiewasz i przeklinasz ich. Nie pozwolę ci dłużej zachowywać się w ten sposób w stosunku do mnie. Znam lepsze i przynoszące więcej satysfakcji sposoby spędzania czasu.

Wstała, sięgnęła po kurtkę i naciągnęła ją na ramiona.

- Prawdopodobnie jesteś zbyt głupi na to, żeby sobie uzmysłowić, że ten przeklęty byk Eldorado był najlepszą przygodą, jaka mogła ci się przydarzyć. Szkoda tylko, że nie kopnął cię porządnie w głowę. Może przywróciłoby ci to rozum.

Już szła w stronę drzwi, gdy nagle złapał ją za brzeg kurtki i przyciągnął do siebie.

- Przepraszam. Proszę, zostań jeszcze chwilę.

Odwróciła się i utkwiała w nim wzrok.

- Czy po to, żebyś rzucił kilka kolejnych kąśliwych uwag na temat mojego stanu cywilnego? Czy też po to, by szokować mnie swoją wulgarnością?

- Nie. Po prostu nie chcę być tak diabelnie samotny.

Sam nie wiedział, co wywołało jego szczerłość. Może mógł z nią rozmawiać tak bez ogródek dlatego, że i ona szczerze mówiła o sobie. Była miłą, atrakcyjną kobietą.

- Marcie, proszę.

Gdy pociągnął ją za ramię, w pierwszej chwili próbowała stawić opór, w końcu zrezygnowała i wróciła. Brodę trzymała wysoko podniesioną. Gdy wymiana spojrzeń między nimi przeciągnęła się, dolna warga zaczęła jej lekko drżeć.

- Przyznaj, Chase, ty wciąż obciążasz mnie winą za śmierć Tani?

Ujął jej drobne dłonie i mocno zamknął w swoich.

- Nie - powiedział z naciskiem. - Naprawdę nie. Nigdy nie chciałem, żebyś odniosła takie wrażenie. Przepraszam, jeśli tak się stało.

- Już wtedy, gdy przyszedłeś do mnie, do szpitala, wtedy, na drugi dzień po wypadku, spytałam cię, czy mnie obwiniasz. Pamiętasz?

- Nie. Byłem pogrążony w tak wielkiej rozpacz, że niewiele pamiętam z tego, co działo się przez te kilka tygodni po wypadku. Lucky mówił mi później, że zachowywałem się jak dziwak, ale wiem to na pewno, że do ciebie, Marcie, nie żywiłem nawet najmniejszej urazy. Obwinałem tego faceta, który się nie zatrzymał. Obwinałem Boga. Ale nigdy ciebie. Ty również byłaś ofiarą. Uświadomiłem to sobie tak dogłębnie dopiero wtedy, kiedy wiozłaś mnie do domu.

Utkwił wzrok w ich złączonych dłoniach. W rzeczywistości wcale ich nie widział. Nie czuł także, gdy pocierał jej delikatną skórę opuszką kciuka.

- Tak ogromnie kochałem Tanie.

- Wiem o tym.

- Ale nie zrozumiesz, nikt nie zrozumie, jak silne było to uczucie. Była tak łagodna i opiekuńcza. Nie cierpiała nieporozumień, nie mogła znieść, gdy ktoś w jej otoczeniu był smutny. Umiała podroczyć się czasem z kimś, ale zawsze tak, żeby było zabawnie, a nie raniło. Nigdy nikogo nie skrzywdziła. Seks z nią był najwyższą rozkoszą. Przekształcała złe dni w lepsze, a dobre we wspaniałe.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

- A potem odeszła. Tak nagle. Tak bezpowrotnie. Pozostawiła po sobie puste miejsce.

Poczuł, że coś zaczyna ścisnąć go w gardle. Z trudem przełknął ślinę.

- Pożegnałem się z nią czule. Uścisnąłem ją i pocałowałem. Pomachałem jej, gdy wychodziła z tobą z pokoju. A gdy zobaczyłem ją następnym razem, leżała nieruchomo w kostnicy. Była zimna. Wargi miała niebieskie.

- Chase!

- I dziecko. Moje dziecko, które umarło w jej wnętrzu razem z nią. - Zalśniły łzy. Cofnął ręce i przycisnął do oczu zaciśnięte pięści. - Chryste!

- Nie musisz się wstydzić, że płaczesz.

Poczuł, jak łagodnie głaszcze go po ramieniu.

- Gdybym wtedy z wami pojechał, tak jak tego chciała, może by się to nie stało.

- Tego nikt nie może wiedzieć.

- Ach, dlaczego nie pojechałem? Cóż było tak cholernie ważnego, że nie mogłem wyjść? Gdybym z wami pojechał, może to ja siedziałbym na jej miejscu? Może ona by ocalała i mogła urodzić nasze dziecko, a ja bym nie żył? Ach, jak żałuję, że to się nie stało. Chciałem tego.

- Nie, nie chciałeś. - Twardy ton w głosie Marcie sprawił, że podniósł głowę i odsunął ręce od oczu. - Jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego, czeka cię kolejny policzek.

- Kiedy to prawda, Marcie.

- Nieprawda - oznajmiła. - Skoro rzeczywiście chciałeś umrzeć, to dlaczego nie dałeś się pogrzebać razem z Tanią? Dlaczego nie pociągnąłeś za spust czy nie skoczyłeś z mostu, nie podciąłeś sobie żył albo nie połknąłeś pełnej garści tabletek? - Wstała i aż zatrzęsała się z oburzenia. - Istnieje co najmniej tuzin sposobów, by z sobą skończyć, Chase. Alkohol, łatwe kobiety i ujeżdżanie byków również do nich należą. Ale, do diabła, sam chyba przyznasz, że nie są to najszybsze sposoby autodestrukcji. Więc albo twoje gadanie o śmierci jest wierutnym kłamstwem, albo wychodzi na jaw twoja nie-

udolność. Jedyne, co potrafisz robić naprawdę efektywnie, to zdobywać kolejne blizny i unieszczęśliwiać wszystkich, którzy cię otaczają.

Wstał z miejsca. To nie żal wywołał kolejny atak bólu w klatce piersiowej, tylko złość.

Jakim prawem odzywasz się do mnie w ten sposób? Gdy byś przeszła to co ja, wtedy mogłabyś porozmawiać ze mną na ten temat. A teraz wynoś się z mojego życia i zostaw mnie w spokoju.

Z przyjemnością. Ale nie wcześniej, niż podzielę się z tobą jedną końcową myślą. Tego rodzaju żałobą nie oddasz Tani należnej jej czci. To, co robisz, nie jest ani rozsądne, a ni zdrowe. Nie znałam jej długo, ale wywarła na mnie wrażenie osoby kochającej życie, jak niewiele znanych mi osób. Ciebie zdecydowanie idealizowała. W jej oczach byłeś niezdolny do czynienia zła. Zastanawiam się, czy gdyby zobaczyła co zrobiłeś ze swojego życia, pozostałaby jej chociaż odrobina szacunku dla ciebie. Czy byłoby jej przyjemnie oglądać skutki twojego załamania? Poważnie w to wątpię.

Zacisnął zęby.

Powiedziałem już, wynoś się stąd!

Właśnie mam taki zamiar. - W pośpiechu zaczęła grze--- w portmonetce, z której po chwili wyciągnęła złożoną kartkę różowego papieru. Rozwinęła ją i położyła na barze. - To rachunek ze szpitala, który za ciebie zapłaciłam. Zamierzam jutro odebrać pełną sumę.

Wiesz przecież, że nie mam pieniędzy.

Dobrze ci radzę, żebyś się o nie postarał. Dobranoc.

Nic czekała, by odprowadził ją do drzwi. Przeszła przez salon i wyszła na deszcz, pozornie opanowana i nieczuła.

Suka - wymamrotał i jednym ruchem ręki zmiotł ze stołu rachunek. Kartka zatrzepotała u jego stóp. Potraktował dodatkowo złośliwym kopniakiem, który przypominał mu połamanych żebrach. Krzywiąc się z bólu, pokuściła do sypialni po stojące na nocnym stoliku tabletki.

Zdjął z buteleczki pokrywkę i wytrząsnął na dłoń kapsuł-

kę, po czym włożył ją do ust i połknął, nie zadając sobie nawet trudu, by sięgnąć po szklanke wody.

Zanim odstawił butelkę na stolik, przyjrzał jej się badawczo. „Może zażyć je wszystkie?” - pomyślał.

Przysiadł na krawędzi łóżka. Czy wobec tego Marcie miała rację? Jeśli po śmierci Tani myślał poważnie, by skończyć ze sobą, to dlaczego tego nie zrobił? Przecież miał tyle okazji, znajdował się z dala od domu, w drodze, w towarzystwie przypadkowych przyjaciół, samiuteńki, załamany, pijany i zagrożony w depresji. Do tej pory samobójstwo w ogóle nie przyszło mu do głowy.

Gdzieś w środku, bardzo głęboko, czuł, że warto dalej żyć.

Podniósł wzrok na ślubną fotografię swoją i Tani. Jakaż ona była piękna! Uśmiech, pochodzący prosto z serca, emanował z jej oczu.

Marcie miała rację w innej kwestii - z pewnością, żyjąc w taki sposób, w jaki żył, nie oddawał czci pamięci Tani. Przypadkowa, zupełnie obca osoba, nie z rodziny, a tak bezbłędnie go rozszyfrowała i tak doskonale wiedziała, jakie sznurki należy pociągnąć, żeby wreszcie zastanowił się nad swoim życiem.

Tania zawsze była dumna z jego ambicji. Gdy odeszła, jedyną jego ambicją stało się picie dużych ilości alkoholu, by stępić zmysły i zamazać pamięć. Początkowo starał się zachować pozory i od czasu do czasu pojawiał się w biurze spółki. Kiedy jednak pewnego ranka przyszedł tam kompletnie pijany, Lucky, który właśnie przyjmował klienta, stracił cierpliwość i zabronił mu się tam więcej pokazywać, aby nie narażać na ryzyko wspólnie prowadzonego interesu.

Zaraz po tym zajściu wyruszył w drogę. Wiązał się z różnymi ludźmi w rodeo i ujeżdżał byki wszędzie tam, gdzie się dało. Zdobywał dość nagród pieniężnych, by starczyło mu na benzynę i whisky, a w zasadzie nic więcej się nie liczyło ani nie było mu potrzebne. Mógł dzięki temu trzymać się z dala od domu i znajdować chociaż chwilowe zapomnienie.

Jego życie stało się bezproduktywną wegetacją. Dziwki, alkohol, ryzykanctwo, ujeżdżanie byków, wygrywanie pieniędzy i natychmiastowe ich wydawanie. Przenoszenie się z miejsca na miejsce, włóczęga bez celu i nieoglądanie się wstecz.

W niczym nie przypominał teraz uśmiechniętego pana młodego ze zdjęcia. Wręcz wydawało mu się przez chwilę, że osoba z fotografii przedrzeźnia go. Jakże naiwny był myśląc, że na świat przychodzi się z gwarancją nie kończącego się szczęścia. Studiował piękną twarz Tani, opuszką palca dotykał uśmiechniętego kącika jej warg i czuł, że wzbierają w nim wyrzuty sumienia za wstyd, jaki przyniósł jej pamięci.

Według słów matki cierpliwość rodziny w stosunku do niego ostatecznie się wyczerpała. Zraził do siebie wszystkich przyjaciół. Był zrujnowany do cna. Chodził do łóżka z kobietami, których wyglądu nawet rano nie mógł sobie przypomnieć. Tak jak syn marnotrawny osiągnął dno.

Poczuł, że nadszedł czas opamiętania się. Życie z pewnością nie stanie się bajką, niezależnie od tego, jak postąpi, ale, do diabła, nie może już przynieść nic gorszego!

Jutro porozmawia z Luckym, co dzieje się w ich firmie, jeżeli oczywiście istnieje. Jutro odwiedzi matkę i podziękuje jej za pyszny rosół. Postara się też o pieniądze, jakie był winien Marcie, i zwróci je. Tak to będzie wyglądało. Wszystko, co zaplanował - zrobi.

„Ale najpierw - pomyślał, podnosząc zdjęcie do ust i całując podobiznę Tani - jeszcze raz rzewnie po niej zapłacę”.

- Sage, do cholery, uważaj trochę! - wrzasnął Chase na swoją młodszą siostrę, gdy wjechała w głęboką koleinę. - To, jak prowadzisz, nie da się porównać nawet z moją jazdą na byku. - Pomacał bolące zębra.

- Przepraszam - rzuciła w odpowiedzi i uśmiechnęła się. - Gdy byłam ostatnim razem w mieście, tej dziury tu nie było. Ciebie również. Ostatnie wieści o tobie, jakie do nas dotarły, pochodziły z Montany i okolic.

Zastukała głośno do jego drzwi, gdy po pełnej odpoczynku nocy postanowił właśnie zaparzyć kawę w dzbanku. Szczerze ucieszył się na jej widok.

- Chase! - wykrzyknęła radośnie, rzucając mu się na szyję i mocno go ściskając.

Jęknął i odsunął ją od siebie.

- Uważaj na moje zębra!

Pośpiesznie przeprosiła i usiadła, by dotrzymać mu towarzysztwa przy śniadaniu, na które składały się tosty i kawa. Ponieważ nie miał samochodu, poprosił ją, żeby poczekała chwilę, aż weźmie prysznic i ubierze się, a potem podrzuciła go do centralnego biura spółki.

- Jak często przyjeżdżasz do domu? - spytał ją, gdy już znaleźli się w samochodzie.

- Hmmm, na ogół raz w miesiącu. Ale gdy wczoraj wieczorem zadzwoniła mama i powiedziała, że wróciłeś do domu, rzuciłam wszystko i przyjechałam.

- W taką pogodę?

Istotnie, wciąż było zimno i dżdżyscie. W całej północnej części stanu meteorolodzy ostrzegali, żeby lepiej nie jeździć samochodem, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne.

- Jechałam ostrożnie. A poza tym trasę z Austin do Milton Point znam lepiej niż własną kieszeń.

Spojrzał na jej profil, który zmienił się znacznie od ostatniego razu, gdy się jej przyglądał. Siostra wydorosłała i dojrzała przez ten czas.

- Bardzo dobrze wyglądasz, Sage - zauważył.

- Dzięki! - Mrugnęła do niego szelmowsko. - Pochodzę z wyśmienitego rodu. Nie udawaj, że nie wiesz o tym, iż jesteśmy nadzwyczaj pociągającą rodziną. Wszystkie moje koleżanki aż popiskiwały na widok twój bądź Lucky'ego. Błagały mnie, żebym pozwoliła im u siebie spać, mając cichą nadzieję, że uda im się spotkać kóregoś z was na korytarzu. Myślę, że to z waszego powodu miałam zawsze tak wiele przyjaciółek, bo chłopaków skutecznie ode mnie odstraszałyście.

- To ty sama odstraszałaś chłopaków - powiedział, a następnie zachichotał i to go zaskoczyło. Upłynęło dużo czasu, odkąd ostatnio się śmiał. - Nigdy nie opanowałaś sztuki flirtowania, Sage.

- Jeśli chodzi ci o to, że nigdy nie zemdlałam na widok bicepsów, to masz rację. Takie zachowanie nigdy nie było w moim stylu. Nie wdzięczyłam się i nie mizdrzyłam, stojąc z kimś twarzą w twarz. Dzięki Bogu Travis nie oczekuje ode mnie, żebym się tak zachowywała.

- Travis?

- To ty nic nie wiesz o Travisie? Ach, tak, przecież nie było cię w domu, gdy przyjechał tu ze mną.

- Przywiozłaś go do domu? Wygląda na to, że to coś poważnego.

- Co prawda nie jesteśmy formalnie zaręczeni, ale rozumiałyśmy, że się pobierzemy.

- Rozumiałyście dla kogo? Dla ciebie czy dla niego?

Rzuciła mu groźne spojrzenie.

- Dla nas obojga. On jest studentem medycyny. Prawdopodobnie poczekamy ze ślubem, aż skończy studia. Zamierza zostać dermatologiem i zarabiać tony pieniędzy.

- Wyciskając wagi?
- Chociażby. Przecież ktoś musi to robić. Jego ojciec jest chirurgiem. Zajmuje się głównie kontuzjami odnoszonymi przez gwiazdy sportu. Mieszkają w Houston, we wspaniałym domu, który niegdyś należał do Oilersów. Mają staw z kaczkami, a po parku spacerują łabędzie. Każdy z ich rodziny ma BMW.

- Świetnie! To nad czym się jeszcze zastanawiasz? Wyjdź za tego faceta, przynajmniej nie będziesz dla nas dłużej obciążeniem.

Tym ostatnim zdaniem w pełni zasłużył sobie na jej srogie spojrzenie.

- Lucky powiedział prawie dokładnie to samo.

- Wielkie umysły myślą podobnie.

Sage przyspieszyła program akademicki i obroniła się o semestr wcześniej. Chase doskonale o tym wiedział. Dlatego przeprosił ją zaraz za swoje słowa.

- Zapomnij o tym. Gdyby nie to, że wyglądam strasznie w birecie i todze, natychmiast zapisałbym się do wyższej szkoły. A czy zdecydowałaś już, co zamierzasz zrobić ze swoim tytułem? Czy też bycie panią doktorową Travis ci wystarczy?

- Ależ skąd! Bycie jakkolwiek panią nie zadowoliliby mnie. Jak można się dobrze czuć, będąc całkowicie zależną od mężczyzny? Pragnę kariery, tak jak Devon. Jej udało się pogodzić pracę ze szczęściem w małżeństwie, o ile uśmiešek na twarzy Lucky'ego może być miernikiem. Chociaż od dnia ślubu minęły już dwa lata, nasz braciszek jest nadal kompletnie zakochany w swojej żonie.

- Mogę to zrozumieć - odezwał się Chase.

Sage postanowiła pozostawić tę uwagę bez komentarza.

- W każdym razie jeszcze nie jestem do końca zdecydowana, co będę robić. Specjalizowałam się w biznesie. Wybierałam takie przedmioty, które mogą być użyteczne na każdym polu.

- Na polu kukurydzy? Czy też bawełny?

- Chyba chcesz mieć złamane jedno żebro więcej - pogroziła mu.

Zachichotał.

- Jakikolwiek pole zaczniesz uprawiać, pozostaje mi mieć nadzieję, że uczyni cię to bogatą i będziesz mogła sama się utrzymywać.

- Amen. Chcę stać się tak niezależną i zamożną jak twoja koleżanka, Marcie Johns.

- Naprawdę taka jest?

- Zamożna? Musi być! Zdobywa wszystkie nagrody. Jest pośrednikiem numer jeden w handlu nieruchomościami. Kobieta roku, jeśli chodzi o interesy. Co miesiąc w gazecie ukazuje się jej zdjęcie. Sprzedaje, jak dotąd, największą liczbę domów w tej tam depresji, recesji czy czymś takim, w czym obecnie tkwimy.

- No tak, osoba z biznesu. To prawda - rzucił sarkastycznie.

Sage zignorowała jego uszczypliwą uwagę.

- Mama mówiła, że wczoraj panna Johns wyglądała szczególnie promiennie.

- Promiennie?

- Tak. Z pewnością długo trwało, zanim doszła do siebie po tym wypadku. Sądzę, że musiała przejść kilka operacji plastycznych, by usunąć blizny na czole. Słyszałam, jak w salonie piękności kobiety spekulowały, czy przy okazji usuwała zmarszczki z okolic oczu i podbródka.

- Czy... czy co robiła?

- Ona jest w twoim wieku, tak? Trzydzieści pięć lat? Czyż nie jest to właśnie czas, gdy wszystko zaczyna się powoli sypać? Mam oczywiście na myśli kobiety. Jeśli chodzi o was, przeklećci mężczyźni, to wasz wygląd często polepsza się z wiekiem. Jest to jedna z tych krzyżujących niesprawiedliwości, na którą zamierzam poskarżyć się Bogu, gdy tylko znajdę się w niebie. Uważam, że to nie w porządku, że wy wyglądacie coraz lepiej, gdy my się starzejemy. Nie chce mi się wierzyć, żeby panna Johns przechodziła operacje pla-

styczne - kontynuowała Sage: - Jej poczucie własnej godności nie pozwoliłoby na to. Wątpię, czy kilka dodatkowych linii charakteru na jej twarzy wstrząsnęłoby nią. W każdym razie dłaczego miałyby się w ogóle tym przejmować. I tak jest wspaniała!

- Wspaniała? Sówka? - Chase był wyraźnie zaskoczony. Nigdy nie użyłby tego przymiotnika w odniesieniu do Sówki Johns! Chyba siostra ma inne kryteria oceny.

- Ach, dla samych jej włosów można umrzeć!

Chase zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Wyglądają jak paląca się zapałka.

- Co ty tam wiesz! - odezwała się Sage z taką pobłażliwością w głosie, że zabrzmiało to wręcz obraźliwie. - Inne kobiety płacą grube tysiące za farby tego koloru.

- Za co?

- Dojechaliśmy na miejsce. Skoro Lucky jest tutaj, to chyba mogę cię już zostawić. Obiecałam mamie, że załatwię sprawunki, żeby nie musiała dziś wychodzić z domu. Rano zadzwonił do niej Pat i poradził, żeby nie wychodziła.

- A co słyhać u Pata?

Pat Bush pełnił funkcję szeryfa okręgowego. Dwa lata wcześniej przyczynił się do oczyszczenia Lucky'ego z fałszywych oskarżeń o podpalenie. Właśnie dzięki niemu Lucky i Devon pobrali się. Szeryf Bush był przyjacielem rodziny od tak dawna, jak tylko rodzeństwo Tylerów mogło pamiętać.

- Pat nigdy się nie zmienia - odparła Sage. - Ale od czasu kraksy samochodowej, w której zginęła Tania, stał się szczególnie wrażliwy na wypadki drogowe. Wciąż apeluje do mamy, żeby zachowywała podwójną ostrożność, gdy prowadzi.

Mała igiełka bólu wbiła się w serce Chase'a na dźwięk imienia żony. Udało mu się jednak uśmiechnąć do siostry i podziękować za podwiezienie.

- Chase! - krzyknęła do niego Sage, gdy schronił się przed deszczem pod daszkiem na ganku. Odwrócił głowę.

Siostra odkręciła szybę i uśmiechnęła się do niego przez otwarte okno: - Witaj w domu!

Siostrzyczka okazała się dojrzsza i wnikliwsza, niż mógł się spodziewać. W jej słowach kryło się podwójne znaczenie. Złożył dłoń w kształt pistoletu i wymierzył do niej. Śmiejąc się wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła się, by zawrócić. Gdy odjeżdżała, chwilę jeszcze machali do siebie.

Na wspomnienie tego fatalnego popołudnia, gdy stał na tym samym ganku i przyglądał się odjeżdżającym Marcie i Tani, poczuł skurcz serca. Im również machał ręką na pożegnanie.

Usunął z myśli przykre wspomnienia i wszedł do biura. Nie było go tu przez długie miesiące, ale nic się nie zmieniło. Biura spółki nie modernizowano od czasu, gdy prowadził je ich dziadek. Pracowali tu wyłącznie mężczyźni. Nawet zapachy pozostały te same - od zbutwiałych starych map i wykresów geologicznych do aromatu świeżej kawy. Ciepło i przytulność pomieszczenia wprawiły go w takie zakłopotanie jak widok bliskiego krewnego, którego nie widziało się długi czas.

Lucky siedział pochylony nad biurkiem. Palce jednej dłoni zanurzał w gęstwinie blond włosów, natomiast palcami drugiej bębnił miarowo w blat zaśmieconego biurka.

Gdy Chase przekroczył próg, brat podniósł głowę, a na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Wyglądasz, jakbyś głowił się nad jakimś poważnym problemem - zauważył Chase.

- Ach, nawet nie wiesz, jak poważnym! - Lucky rzucił szybkie spojrzenie w kierunku drzwi, jakby spodziewał się, że ktoś wejdzie za bratem. - Kto cię przywiózł?

- Sage - odparł krótko Chase. Zdjął kurtkę i strząsnął z niej krople deszczu. - Przyjechała rano do mnie.

- Omal jej nie sprąłem, gdy pojawiła się wczoraj wieczorem. Nie mogłem znieść myśli, że jedzie sama tak daleko w taką pogodę.

- Również bym tego nie zniósł, gdybym o tym wiedział.

Ale szczerze ucieszyłem się na jej widok. Ona jest... - prze-rwał, szukając odpowiedniego słowa.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - wtrącił Lucky. - Jest już dorosła. Przestała być dzieckiem!

- Kto to jest ten Travis? Wydaje się, że mnie jednego z całej rodziny ominęła przyjemność poznania go.

Lucky skrzywił się.

- Do diabła z takimi przyjemnościami. To taki studencik-elegancik bez charakteru. Podoba jej się chyba tylko dlatego, że pozwala się jej wodzić za nos.

- Jeśli się z nią ożeni, będzie miał pełne ręce roboty.

- To święta prawda. Gdy była mała, robiliśmy jej tyle kawałów, że w końcu nauczyła się odgrywać. Czasem sam jestem przerażony jej postęпами w tej dziedzinie.

Obaj bracia roześmieli się. Ten wspólny śmiech przyprawił ich o lekkie zakłopotanie, gdyż zdali sobie sprawę, że w ten sposób dają upust swoim emocjom.

- Boże, jak dobrze, że jesteś! - powiedział Lucky ochry-płym głosem. - Brakowało mi ciebie, wielki bracie.

- Dzięki - odparł Chase pochrząkując. - Mam nadzieję, że uda mi się tu pozostać. Ale jeśli okaże się to dla mnie zbyt trudne... Chodzi mi o to, że nie mogę ci obiecać...

Lucky gestem dłoni pokazał, że rozumie.

- Nie oczekuję, że wskoczysz w to od razu. Ale możesz przecież spróbować. Na wszystko jest właściwy czas.

Chase skinął głową. Po krótkiej ciszy Lucky zaproponował filiżankę kawy.

- Nie, dziękuję.

- A jak się w ogóle czujesz?

- Jakby ktoś przegalopował po mojej klatce piersiowej.

- No cóż, zasłużyłeś sobie na to. - Wykonał gest w kie-runku piersi Chase'a. - Myślisz, że będzie w porządku?

- Jasne - odparł Chase, pragnąc zakończyć temat. - Ob-wiązali mnie tak ciasno, że nawet trzęsienie ziemi nie ru-szyłoby moich połamanych żeber. Wkrótce się zrosną. -

Wskazał głową na stos papierów piętrzących się na biurku. - A jak interesy?

- O jakich ty interesach mówisz?

- Aż tak źle?

- Gorzej...

Lucky wstał i podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz i za-trzymał wzrok na ociekającym okapie. Płatki śniegu z de-szczem lądowały co chwila na ganku i natychmiast się roz-tapiały. Na szczęście temperatura utrzymywała się w okoli-cach zera.

Odwrócił się do Chase'a.

- Nie jestem pewien, czy powinienem ci to mówić, Chase...

- Wał śmiało!

Podszedł do biurka i z ponurą miną usiadł na stojącym za nim krześle.

- Jeśli nie zdarzy się jakiś cud, i to na dniach, będziemy musieli ogłosić bankructwo. - Chase opuścił głowę i wlepił wzrok w podłogę. - Przykro mi, Chase. Nie udało mi się tego utrzymać. Tych kilka projektów, jakie mieliśmy, wzięły w łeb zaraz po twoim wyjeździe.

- Do diabła, nie musisz mnie przeproszać. Nawet w czasie moich najbardziej pijackich dni byłem za pan brat z ekonomią Teksasu. Wiedziałem, jak jest źle.

- Nasi dawni klienci są w jeszcze gorszej sytuacji niż my. Najbardziej niezależne przedsiębiorstwa wiertnicze już położyły się brzuchami do góry. Inni leżą w wodzie martwi i czekają tylko na to, aż kredytujące ich instytucje pożywią się padliną. Próbowałem wszelkich zakłęb, by zjednać sobie nowych klientów, którzy jeszcze posiadają kapitał do zain-westowania. Nikt nie przyłączył się do tej gry. Nikt nie podjął żadnych działań.

- Tak więc cały nasz sprzęt, który odkupiliśmy po po-zarze...

- Od dłuższego czasu stoi beczynnienie. Równie dobrze mo-żemy na nim powiesić karteczki z ceną. Ale nie powiedziałem jeszcze najgorszego. - Lucky westchnął ciężko. - Nie mogłem

sobie pozwolić na to, by nadal utrzymywać ekipę na normalnych warunkach płacowych, kiedy stali po prostu przy maszynach, nic nie robiąc. Musiałem ich zwolnić. Nienawidzę siebie za to jak diabli, Chase. Ojciec i dziadek z pewnością przewrócili się w grobach, gdy to zrobiłem. Pamiętasz, jak lojalni byli w stosunku do ludzi, którzy dla nich pracowali? Ale ja, niestety, nie miałem wyboru.

- To staje się błędnym kołem. To prawie jak założenie im pętli na szyję.

- To prawda. Mają rodziny, dzieciaki, które muszą utrzymać. Czuję się winny, że dałem im wypowiedzenie.

- A co z naszymi osobistymi dochodami?

- Niestety, byliśmy zmuszeni spieniężyć część dorobku ojca. Mama i Devon świetnie zarządzają finansami. Kilka miesięcy temu sprzedałem nasze żrebaki. To pomogło. Myślę, że uda się przeżyć około pół roku, zanim sytuacja stanie się ponownie krytyczna. Oczywiście im dłużej Tyler Drilling jest niewypłacalny, tym bardziej kiepska jest nasza osobista sytuacja.

Chase, zgnębiony, chciał podnieść się z krzesła, ale Lucky go powstrzymał.

- Poczekaj chwilę. Jest jeszcze coś. Chcę, żebyś wiedział o wszystkim. - Spojrzał bratu prosto w oczy. - Bank dopomina się o zwrot kredytu. W zeszłym tygodniu telefonował George Young i oświadczył, że nie zgadza się na spłatę tylko odsetek. - Lucky położył dłoń na blacie biurka. - Tam po prostu nie ma tych funduszy, Chase. A ja nie mam nawet tyle gotówki, by zapłacić odsetki.

- Nie rozważałeś takiej możliwości, by przespać się z Susan?

Susan Young, rozpieszczona córeczka bankiera, robiła kiepy zakusy na Lucky'ego i próbowała nawet nakłonić go do małżeństwa. Nie cofnęła się w tym celu nawet przed szantażem. Naturalnie Lucky, jako mężczyzna nieprzekupny, odrzucił ją. Chase, przypominając jej imię, chciał jedynie podrażnić się z bratem. Lucky jednak odpowiedział mu poważnie:

- Jeśli miałbym jakiegokolwiek podstawy, by sądzić, iż wpłynęło to na decyzje jej starszka, rozpiąłbym dzinsy nawet w czasie rozmowy. - Po chwili zaśmiał się. - Naprawdę bym to zrobił, choć Devon z pewnością zabiłaby mnie. - Rozpostarł szeroko ramiona, wzruszył nimi bezradnie i wykrzywił twarz w kocim uśmiechu. - Cóż na to mogę poradzić? Jest po prostu szalona na moim punkcie.

Chase nie był tak naiwny, by dać się zwieść słowom brata i uwierzyć, że jest to miłość jednostronna. Lucky stał się kobieciarzem od chwili, gdy odkrył różnicę pomiędzy małymi dziewczynkami i małymi chłopczykami. Jego reputacja „psa na kobiety” była w pełni uzasadniona. Poznawszy jednak Devon Haines, dał się jej całkowicie omotać. I do tej pory mu to nie przeszło.

- Z tego, co widziałem i słyszałem, jest to wzajemne.

Lucky zwiesił głowę.

- Tak. I sam się sobie dziwię. Jestem o wiele szczęśliwszy, niżbym kiedykolwiek przypuszczał.

- To dobrze - rzekł Chase z powagą. - Bardzo dobrze.

Zapadła chwila ciszy. Siłą woli udało się Chase'owi wyrwać z nastroju melancholii i powrócić do interesów.

- Jednym z powodów, dla których przyszedłem tu dzisiaj rano, jest sprawdzenie, czy nie mam tu przypadkiem jakichś pieniędzy. Okazało się, że jestem dłużnikiem pewnej rudej główki.

- Devon? Jak to się stało?

- Nie, mam na myśli innego rudzielca, Marcie. Zapłaciła za mój pobyt w szpitalu. Bóg jeden wie, z czego jej to oddam.

Lucky wstał i podszedł do sekretarzyka, w którym mieściły się akta. Z jednej z szuflad wyjął książeczkę oszczędnościową i podał ją bratu, mówiąc:

- To twoje.

- Co to jest? - Chase był wyraźnie zaintrygowany.

- Widzisz, sprzedałem ten dom, który kazałeś mi kupić po śmierci Tani.

Po tym oświadczeniu Chase zachował całkowity spokój.

Zdażył już o wszystkim zapomnieć. Dopiero teraz przypomniał sobie, że rzeczywiście należało, aby jego brat kupił ten dom. Uświadomił sobie, że była to wówczas reakcja na jej nagłe odejście. Nie poświęcił tej sprawie żadnej innej myśli. Nigdy nie widział tego domu, nawet nie zamierzał go oglądać. A już z pewnością nie planował, że będzie kiedykolwiek w nim mieszkał.

Otworzył książeczkę. Znajdował się w niej tylko jeden wkład - depozyt. Jak na człowieka, który żyje w przeświadczeniu, że nie ma ani grosza, suma była doprawdy oszałamiająca.

- Boże, skąd to się tu wzięło?

- Z polisy ubezpieczeniowej Tani.

Chase upuścił książeczkę, jakby nagle oparzyła mu palce. Spadła na biurko. Zerwał się z krzesła i podbiegł do okna, stając w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stał brat.

- Nie wiedziałem, co robić z polisą - kontynuował Lucky - gdy przeszła już przez kolejne instytucje i dotarła tutaj. Chociaż byłeś jeszcze wtedy w pobliżu, upijając się dzień po dniu, uznałem, że nie jesteś zdolny o tym zdecydować. Podrobiłem twój podpis i podjąłem pieniądze. Za nie właśnie kupiłem dom, o który prosiłeś. Około roku temu przyszła do mnie Marcie. Trafił się jej klient zainteresowany kupnem tej posiadłości. Chciała się dowiedzieć, czy przypadkiem nie zamierzasz jej sprzedać, gdyż nigdy tam nie mieszkałeś. Ponieważ byłeś nieuchwytny, sam musiałem podjąć decyzję. Postanowiłem dokonać tej transakcji, bo warunki były naprawdę korzystne. Pieniądze wpłaciłem do banku, żeby leżały i czekały, aż będziesz ich potrzebował.

Przerwał, a Chase nie skomentował tego ani słowem.

- Mam nadzieję, że postąpiłem słusznie - dodał Lucky.

Chase potarł kark, nie przestając spacerować w kółko.

- Tak, postąpiłeś rozsądnie. W zasadzie nigdy nie chciałem tego domu. Kazałem ci go kupić tylko dlatego, że jej się tak cholernie podobał.

- Rozumiem. W każdym razie, skoro nie wiedziałeś, że

masz taki majątek, możesz się czuć jak człowiek, któremu spadło to z nieba.

- Zużyjemy te pieniądze na spłatę pożyczki.

- Dziękuję ci, Chase, ale to i tak by nie zmieniło naszej sytuacji. Moglibyśmy spłacić jedynie odsetki, a nie samą pożyczkę. Zarząd banku zaczyna się już poważnie niecierpliwić.

Dla Chase'a było to trochę za dużo jak na jeden raz. Poczuł się niczym człowiek po długiej, przewlekłej chorobie, który musi od początku nauczyć się funkcjonować: chodzić, mówić, stawiać czoło trudnościom.

- Zastanów się, w jaki sposób mogę ci pomóc - zwrócił się do brata. - Może mógłbym porozmawiać z George'em, powiedzieć mu, że wróciłem, zapewnić, że sam się tym wszystkim zajmę. Może oddaliłoby to ich żądania na kilka miesięcy.

- Powodzenia, ale uprzedzam cię z góry, żebyś nie robił sobie zbyt wielkich nadziei.

Chase wziął kluczyki od jednej z półcięzarówek będących własnością spółki. Od miesięcy nikt jej nie używał, co spowodowało, że nie chciała zapalić. Zimowa pogoda również nie sprzyjała jego wysiłkom. Po pewnym czasie jednak udało mu się zmusić silnik do pracy.

Gdy odjeżdżał, dręczyło go pytanie, jak długo jeszcze ich spółka będzie mogła egzystować. A jeśli nastąpi upadek, czy potrafi to znieść jako najstarszy syn?

Już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie dziwaczki. Ostrzyżone włosy okalały małą główkę, olbrzymie okulary zakrywały większą część twarzy, a w uszach tkwiły okazałych rozmiarów klipsy. Na biurku stała tabliczka z jej imieniem - ESME.

- Przykro mi, ale panna Johns wyszła i nie będzie jej już dzisiaj - poinformowała Chase'a. - Czym mogę panu służyć?

- Muszę zobaczyć się z Marcie.

Zastanawiał się chwilę, czy nie zostawić czeku sekretarce, ale postanowił nie odmówić sobie satysfakcji wręczenia go osobiście. Zeszłego wieczoru była na niego taka cięta, że pragnął sam wsunąć czek w jej zachłanne, małe rączki i raz na zawsze zakończyć wszelkie sprawy pomiędzy nimi. Ciężko mu, że był jej dłużnikiem. Nastrój w tym dniu miał raczej kiepski. Dokuczał mu ból żeber, ponieważ nie zażył lekarstwa.

Spotkanie z George'em Youngiem okazało się nieprzyjemne, jak przewidział Lucky. Bankier nie tylko motywował swoje żądania decyzjami zarządu, ale Chase odniósł wręcz wrażenie, że żywi urazę do całej rodziny Tylerów, ponieważ Lucky nie padł do stóp jego córki z zapewnieniami dozgonnej miłości. Odrzucenie Susan przyjął jako osobistą obrazę albo - jak pomyślał złośliwie Chase - był po prostu rozczarowany, że Lucky nie uwolnił go od niej. Dziewczyna miała nie najlepszy charakter i ojcu trudno było czasem ją znosić. Podobnie jemu trudno było znosić czek w kieszeni i jak najszybciej chciał się od niego uwolnić.

- Gdzie ona mieszka? - Zdecydowany był dziś załatwić tę sprawę.

- A czy nie może pan poczekać do jutra? - spytała Esme. - Czy chce pan wprowadzić dom do katalogu, czy też jest pan zainteresowany kupnem jakiejś nieruchomości?

- Nie chodzi o dom. Mam prywatną sprawę do panny Johns.

Oczy sekretarki zrobiły się prawie tak wielkie jak jej soczewki.

- Och, naprawdę?

- Naprawdę. Jaki jest jej adres?

Otaksowała go wzrokiem z góry na dół. Widocznie zdał egzamin, gdyż sięgnęła po gustowny szary druczek z wytłoczonym u góry nagłówkiem Marcie i zapisała adres.

- Droga o tej porze roku jest z pewnością błotnista i ciężko będzie panu tam dojechać - oznajmiła, wręczając mu kartkę.

- Nie szkodzi.

Samochód spółki służył dojazdy po przełęczach, skalistych zboczach, gęstych lasach i pastwiskach. Wyposażono go odpowiednio, by zwiększyć przydatność do poszukiwań nowych terenów wiertniczych. Żadna droga nie była dla niego zbyt wyboista.

Chase spojrział na adres i zdziwił się, gdyż nazwa ulicy nic mu nie mówiła. Zaskoczyło go to tym bardziej, że przecież dorastał w Milton Point i tam spędził swoją młodość. „Gdzie to jest?” - zastanawiał się.

Wsiadł do samochodu i ruszył. Wycieraczki musiały pracować z podwójną prędkością, by nadażyć z usuwaniem z szyby śniegu z deszczem. Na mostach, wskutek zamarzania kałuż, jezdni stawała się niebezpieczna. Kilkakrotnie wpadł w poślizg i zaczął głośno kląć, że Marcie mieszka na takich peryferiach. Co prawda jego rodzina również mieszkała poza granicami miasta, ale tamtą drogę znał dobrze.

Niewiele brakowało, by przeoczył zjazd z głównej drogi. Gdy skręcił, znalazł się na wąskiej ścieżce oznaczonej jedynie ręcznie wykonanym napisem - Woodbine Lane.

Nazwa ta pasowała do drogi, gdyż po obu jej stronach, wzdłuż rowów, rosły gęsto splecione krzewy winorośli. Pokrywała je teraz skorupa lodu.

Uliczka okazała się ślepa. Wzdłuż niej nie było domów, za to na końcu, w sosnowym lesie stała surowa, nie otynkowana budowla. Wjazd do posiadłości znajdował się na poziomie drogi, chód dom zbudowano na urwisku.

Chase zatrzymał samochód i wysiadł. Ostrożnie kierował się w stronę drzwi wejściowych, ponieważ buty ślizgały się na ścieżce za każdym razem, gdy trafił na miejsce pokryte lodem. Upadek czy choćby poślizgnięcie się z pewnością nie pomogłyby jego żebrom.

Lodowaty południowo-zachodni wiatr zmusił go do postawienia kołnierza. Dotarł wreszcie do frontowych drzwi, zsunął rękawiczkę i nacisnął dzwonek. Usłyszał jego dźwięk dobiegający z wnętrza.

Po chwili w drzwiach stanęła Marcie. Wydawała się zaskoczona jego widokiem.

- Chase?
- Sądziłem, że to twoje dziwadło zadzwoniło do ciebie.
- Skąd wiesz o tym dziwadle?

Potrząsnęła z zakłopotaniem głową, odsunęła się na bok i gestem ręki zaprosiła go do środka.

- Pogoda fatalna... - skomentowała, zamykając drzwi przed silnymi podmuchami wiatru. - Dowiedziałeś się, gdzie mieszkam? Wejść i ogrzej się przy kominku. Pewnie z chęcią napijesz się ciepłej herbaty.

Poprowadziła go do jednego z najbardziej nowoczesnych pokoi, jakie kiedykolwiek widział. Nie spodziewał się, że w Milton Point znajduje się coś tak współcześnie zaprojektowanego. Sufit był umieszczony na wysokości dwóch pięter. W jednej ze ścian znajdował się kominek, w którym żywo buzował ogień. Przeciwnie ściana wykonana była z solidnej szklanej płyty.

Salon był oddzielony od kuchni barem, który wyśmienicie nadawał się do spożywania szybkich posiłków. Drugą kon-

dygnację otaczała z trzech stron galeria. Chase domyślił się, że znajdują się tam sypialnie.

- Za ścianą z kominkiem jest jeszcze jeden pokój - poinformowała Marcie, widząc jego zainteresowanie. - Używam go do celów biurowych, chociaż równie dobrze mógłby być pokojem gościnnym. Na górze są dwie sypialnie i dwie łazienki.

- Mówisz jak typowy pośrednik handlu nieruchomościami. Uśmiechnęła się.
- Nawyk, jak sądzę.
- Od dawna tu mieszkasz?
- Króciutko.
- I nie boisz się mieszkać sama w tak wielkim domu, na odludziu?

- W gruncie rzeczy nie. Dom jest wyposażony w system alarmowy, a ja przywykłam do samotności. - Przechyliła głowę na bok i dodała: - Być może uznasz to za egoizm, że jedna osoba zajmuje tyle przestrzeni, ale ja kupiłam ten dom w innym celu. Musiałam to zrobić, żeby umknąć przed podatkami. Kupno tej nieruchomości to kolejna inwestycja, a z zastawem hipotecznym...

Podniósł obie ręce, aby jej przerwać.

- Tłumaczenie mi tego to strata czasu. I tak nigdy nie zrozumieję. Wystarczy, jak poprzestaniemy na tym, że mieszkasz w uroczym miejscu.

- Dziękuję. Pozwól, że wezmę twój płaszcz.

Zawahał się, jakby w ogóle nie przewidywał, że zostanie dłużej. Jednak ogień wyglądał tak zapraszająco, iż nie potrafił się oprzeć. Po przebyciu tej paskudnej drogi mógł sobie przecież pozwolić na to, by przez chwilę się ogrzać.

Zsunął płaszcz z ramion i wręczył go Marcie. Gdy wyszła z pokoju, podszedł do kominka, oparł stopę na niskim, kamiennym palenisku i wyciągnął obie dłonie w stronę przyjacielskich płomieni.

- Czuję się wspaniale - powiedział, gdy pojawiła się znowu.

- Siedziałam przy ogniu zwinięta w kłębek przez większą część popołudnia. W taki dzień jak dzisiejszy niewielu ludzi ogląda czy kupuje domy, stwierdziłam więc, że to doskonaly czas, by zająć się robotą papierkową.

Na skórzanym kremowym fotelu leżały w nieładzie poduszki, a obok piętrzyły się stosy dokumentów, jakby dopiero co od nich wstała, by otworzyć mu drzwi. Zatknięty za prawym uchem ołówek tonął w gąszczu włosów, o których jego siostra powiedziała, że można dla nich umrzeć. Marcie była ubrana w miękką zamszową spódnice, sweter i grube rajstopy. Niebieskie puszyste smerfowe kaptcie otulały jej nogi aż do kostek. Śledziła jego rozbawiony wzrok, aż zatrzymał się na jej stopach.

- To upominek od mojej biurowej asystentki.

- Od tego dziwoląga?

Marcie roześmiała się.

- Poznałeś Esme?

- Zajechałem do twojego biura, ale ponieważ nie było cię tam, sekretarka podała mi namiary.

- Zapewniam cię, że jej osobliwy wygląd wprowadza w błąd. Zachowuje się w taki sposób, że ludzie nawet nie domyślają się, jak mądra jest w rzeczywistości.

Chase nagle zdał sobie sprawę, że rozmowa, jaką właśnie prowadził z Marcie, stała się miłą konwersacją. Do tej pory ograniczał się do zapytania kobiety, czego się napije, wymieniał kilka zdawkowych słów, potem mówił „dziękuję” i zostawiał ją w rozgrzebanym łóżku. Na samą myśl o tym skrzywił się. Marcie błędnie zinterpretowała wyraz jego twarzy.

- Bola cię żebra? - zapytała.

- Trochę - odparł. - Byłem dziś cały dzień poza domem i nie miałem nawet czasu zażyć lekarstwa.

- Masz ochotę na drinka?

Podniósł wzrok, chwilę wpatrywał się w nią, po czym skierował spojrzenie na filiżanki i spodki ustawione na końcu stołu, w pobliżu skózanego fotela.

- Dzięki, ale herbata nie jest moim przysmakiem.

- Jeśli potraktowałeś to jako grę słów, to okropne.

- Przecież to ty wypowiedziałas te słowa.

- Ale miałam na myśli coś mocniejszego, a nie herbatę.

- Dziękuję, Marcie - powiedział, czując wdzięczność w równym stopniu za zaufanie, jakie mu okazała, jak i za drinka.

Podeszła do barku i otworzyła sekretarzyk. Wyjęła butelkę z resztką whisky i rozlała ją do dwóch szklaneczek.

- Trudno siedzieć przy kominku i sączyć tabletki - rzekła z uśmiechem. - Czy z lodem?

- Tylko z wodą. - Podziękował, gdy podała mu szklanekę. Złożyła na kupkę papierkową robotę, nad którą siedziała przed jego przyjściem. Usiadła w fotelu i podwinęła nogi.

- Przysuń się do kominka. Przy okazji możesz dołożyć do ognia. To będzie cena twojego drinka.

Po dorzuceniu drewna do ognia Chase przysiadł na skraju paleniska i obracał w dłoniach szklaneczkę.

- W mojej kieszeni znajduje się czek wystawiony na pięćset siedemdziesiąt trzy dolary i sześćdziesiąt dwa centy. To powód, dla którego tu przyszedłem. Chciałem zwrócić ci dług osobiście i podziękować za wszystko, co zrobiłaś.

Spuściła wzrok na swoją whisky.

- Przykro mi, że tak nieładnie się zachowałam, ale straciłam nad sobą panowanie. Rozzłościło mnie, kiedy powiedziałeś, że chcesz umrzeć. To było głupie, Chase.

- Teraz ja również zdaję sobie z tego sprawę.

- Więc nie spiesz się z oddawaniem mi pieniędzy. Możesz zrobić to kiedykolwiek, niekoniecznie teraz.

Wybuchnął śmiechem pozbawionym wesołości.

- Mogę nie mieć pieniędzy „kiedykolwiek”. Gdybyś nie sprzedała tego domu, nie miałbym teraz złamanego centa.

- To wiesz już o tym i nie jesteś zły? Lucky bardzo się niepokoił.

Skinął głową.

- Nigdy nie zamierzałem tam mieszkać. Przez cały reS czas ani razu nie pomyślałem o tym domu. Więc to, że mo-

żesz odzyskać dziś swoje pieniądze, należy przypisać twoim umiejętnościom sprzedawania nieruchomości. - Wydobyl czek z kieszonki koszuli i podał go Marcie.

- Dziękuję. - Nawet nie spojrzała, czy suma się zgadza, tylko dołączyła go do stosu leżących na stole papierów. - Za twój rychły powrót do zdrowia! - powiedziała, podnosząc szklankę. Stuknęli się, po czym oboje wysączyli zawartość do dna.

Parę minut siedzieli w ciszy, wsłuchując się w trzask palących się polan i uderzenia kropel deszczu w okna wychodzące na las. Nawet ogołocony z liści, wydawał się gęsty. Ustawione w równomierne rzędy czarne pnie drzew wyglądały jak poletko zwęglonych zapałek.

- Kto ci powiedział o moich telefonach?

Odwrocił głowę od okna i przyjrzał się jej badawczo.

- O jakich telefonach?

- Gdy wszedłeś, wspomniałeś o tym dziwadle. Myślałam, że mówisz o tym kimś, kto wciąż do mnie wydzwaniał.

- Miałem na myśli twoją sekretarkę, Esmę.

- Aha.

- A kto dzwoni do ciebie?

- Nie wiem. Gdybym wiedziała, zażądałabym, żeby przestał.

- Co mówi?

- Och, same świństwa i na dodatek dyszy przy tym ciężko.

- A ty jak na to reagujesz?

- Odkładam słuchawkę.

- Jak często są te telefony?

- Nie ma reguły. Czasem nie słyszę go przez długie tygodnie, po czym jednego wieczoru zdarza mu się dzwonić kilka razy. Staje się to tak dokuczliwe, że zdejmuję słuchawkę z widełek i kładę obok. Jeśli nawet Esmę próbowała zadzwonić, by poinformować mnie, iż jesteś w drodze, nie miała szans na połączenie.

Popatrzył na telefon stojący na stoliczku w przedpokoju. Słuchawka leżała obok aparatu.

- Dzwonił dzisiaj?

- Dwa razy - odpowiedziała opieszale. - Rozpraszało mnie to, gdyż właśnie usiłowałam skoncentrować się nad pracą.

- Chyba za małą wagę przykładasz do tego, Marcie. Zgłosiłaś to Patowi?

- Szeryfowi? Ależ skąd! - wykrzyknęła, jakby ta sugestia była co najmniej śmieszna. - To najprawdopodobniej jakiś nastolatek, który rozładowuje podniecenie, wypowiadając nieprzyzwoite słowa do ucha nieznannej kobiety. Gdyby miał odwagę, mówiłby takie rzeczy osobiście.

- Co takiego mówi?

- Nic oryginalnego. Mówi, że chciałby mnie widzieć nagą. Opowiada mi o wszystkim, co chciałby robić swoim językiem i... - wykonała nieokreślony gest. - Wiesz, o co chodzi.

Gdy siedząc spuściła powieki, Chase po raz pierwszy zauważył w Sówce to piękno, którym się zachwycała Sage. W świetle migocącego ognia od linii włosów do dekoltu w swetrze była tak gładka i nieskazitelna, jak porcelanowe figurki, które jego babcia trzymała w chińskim sekretarzyku. Wystające kości policzkowe rzucały cienie na zagłębienie policzków.

- Usuwałaś zmarszczki?

- Co takiego? - To pytanie tak ją zaskoczyło, że omal nie rozlała resztki drinka.

- Sage opowiadała, że kobiety w salonie piękności mówią o tym.

- Nie! - krzyknęła ponownie, z prawdziwym niedowierzaniem. - Widocznie nie mają zbyt wielu tematów do plotek, skoro mnie wzięły na języki.

- No tak, Lucky się ożenił.

Zaśmiała się.

- Istotnie, to on zawsze nakręcał młyn plotek.

- Więc nie prosiłaś lekarza po wypadku, by ujął ci przy okazji jedną czy dwie fałdki?

- Nie, nie prosiłam - odparła cierpko. - Musiał jedynie tutaj wygładzić jedną bliznę. - Przeciagnęła ręką wzdłuż linii wfsów. - Utkwił mi tam odłamek szkła.

To nieumyślne wspomnienie wypadku rzuciło cień na ich dialog. Wstał.

- Lepiej będzie, jeśli pójdę. Będziesz mogła zająć się pracą. Nie miałem zamiaru ci przeszkadzać.

- Nie musisz jeszcze iść. - Podniosła się, prostując długie, szczupłe nogi. - Nie jest to tak pilne, żebym musiała dziś skończyć.

Spojrzał w kierunku szklanej ściany. Pogoda nie zachęcała do wyjścia.

- Skoro załatwiłem to, po co przyszedłem, powinienem chyba wrócić do miasta.

- Hmm. Ach, muszę ci o czymś powiedzieć! Moi klienci, ci, których podejmowałam tamtego pamiętnego dnia, dzwonili dzisiaj i pytali o twoje zdrowie. Nadal są zainteresowani nabyciem tamtej posiadłości.

- Więc nie straciłaś przede mną szansy sprzedaży?

- Na to wygląda.

- To świetnie.

- Czy masz jakieś plany co do obiadu?

Zdażył już dojść do drzwi, gdy jej pytanie zatrzymało go.

- Obiad?

- Obiad lub raczej kolacja. Mam na myśli wieczorny posiłek. Czy zdażyłeś coś zaplanować?

- Nie, nie myślałem o tym.

- Zamierzasz zadowolić się chili lub sardynkami?

Posłał jej krzywy uśmiech.

- Coś w tym rodzaju.

- A co byś powiedział na befsztyk? - Zatoczyła przed sobą obiema rękami koło. - Taki duży. I taki gruby.

Kolacja z Marcie? Kolacja z kobietą? Wydało mu się to nagle o wiele bardziej intymne niż wypicie kilku drinków i kotłowanie się w łóżku z ledwo co poznanymi kobietami, jak to czynił od śmierci Tani. Nie potrzebował przy tym myśleć, nie musiał się angażować, nie czuł potrzeby rozmowy.

Natomiast wspólna kolacja wymagała od niego myślenia, osobistego wkładu i towarzyskiego wdzięku. Powinien pa-

trzeć jej w oczy, zwracając się do niej, podtrzymywać rozmowę. Czy czuł się wystarczająco na siłach, by temu sprostać?

Ale przecież to tylko Sówka. Do diabła, znał ją od niepamiętnych czasów! Przez ostatnie kilka dni stała się jego przyjaciółką. Najwidoczniej dbała o jego interesy, gdyż wybawiła go z kłopotu, jakim byłaby dla niego sprzedaż domu. Zawsze była miła w stosunku do Tani, a Tania również bardzo ją lubiła i szanowała.

Mógł więc chyba zrobić jej tę drobną przyjemność.

- Usmaż ten befsztyk, zjemy razem.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, który jego matka określiła... zaraz... Och, tak. Jako promienny.

Bez skrępowania przeprosiła Chase'a na chwilę i poszła przebrać się w coś wygodniejszego. Wyszła z jednej z sypialni na pięterku ubrana w miękki kombinezon i te same smerf owe kaptcie. Wyjęła ołówek zza ucha, a szkła kontaktowe zmieniła na okulary.

Gdy befsztyki skwierczały już na grillu, poleciła Chase'owi przyrządzić zieloną sałatkę, sama zaś pilnowała gotujących się w kuchence mikrofalowej ziemniaków.

Spytała go, czy woli nakrycie w jadalni, czy też chce spójść posiłek na luzie, siedząc przy barze. zaproponował to drugie i już za chwilę rozkoszowali się prostym, ale pysznym jedzeniem.

- Przykro mi, że nie ma deseru - odezwała się Marcie, zbierając talerze - ale gdy wyciągniesz rękę, znajdziesz w stojącej na barze puszcze ciasteczka w polewie czekoladowej.

Nagle zadzwonił telefon. Gdy schodziła w dół, odłożyła słuchawkę na miejsce. Idąc go teraz odebrać, krzyknęła przez ramię:

- Powinieneś się czuć wyróżniony, panie Tyler! Nie dzielę się moimi ciasteczkami w czekoladzie z nikim! Halo? - Podnosząc słuchawkę do ucha, uśmiechała się miło do Chase'a. Raptownie uśmiech zaczął zniknąć z jej twarzy. Pospiesznie

odwróciła się do niego plecami. Rzucił serwetkę na bar, podniósł się z krzesła i w paru susach znalazł się przy niej.

Zanim zdążył wyrwać jej słuchawkę z ręki, użyła całej siły, by odłożyć ją na widełki. Odwróciła się do niego z takim wyrazem, jakby właśnie pozbyła się czegoś ohydneho. Widać było, że jest wyprowadzona z równowagi, jej twarz momentalnie zblęiała.

- To był on?

- Tak.

- Znowu ten sam repertuar?

- Niezupełnie. - Wróciły jej kolory; rozchodziły się po policzkach jak fale różu. - Tym razem, zamiast mówić, co chce mi zrobić, powiedział, co chce, żebym sama sobie zrobiła... dla jego rozrywki.

- Przeklęty zboczeniec.

Zarówno Chase, jak i jego brat zostali wychowani w szacunku dla kobiet. Rodzice wpoili im poczucie rycerskości i odpowiedzialności seksualnej. Nawet podczas pijackich hulałek Chase nie zapominał o koniecznych środkach ostrożności, jakie stosował idąc z kobietą do łóżka. Na żadnej się nie mścił, jeśli mu odmówiła.

W młodzięczych latach Chase i Lucky cieszyli się względami wielu kobiet, ale zawsze odbywało się to za ich przyzwoleniem. Nigdy nie przymuszali do seksu. Ojciec nauczył ich, że jak kobieta powie „nie”, to znaczy „nie”. Dżentelmen nie narzuca się damie, bez względu na sytuację.

Według Chase'a telefoniczna pornografia stanowiła łamanie powszechnie obowiązujących zasad, a już do furii doprowadzało go, że przedmiotem tych pokretnych lubieżności stała się Marcie. Szeptanie nieprzyzwoitych słów do ucha kochanki, gdy leży się na jednej poduszce i wie, że sprawia jej to przyjemność, to jest normalne. Ale wysłuchiwanie tych samych słów przez telefon od anonimowego nieznajomego nosi już znamiona patologii i budzi przerażenie. Nie dziwił się więc Marcie, że tak to przeżywała.

- Czy wciąż wysłuchujesz bzdur w tym rodzaju? - za-

pytał. Potaknęła i skierowała się w stronę kuchni. Złapał ją za ramię i przyciągnął. - Od jak dawna to trwa?

- Od kilku miesięcy - odparła cicho.

- Nie powinnaś tego tolerować. Każ sobie zmienić numer albo namów Pata, żeby założył podsłuch.

Pochłonięty argumentacją, nawet nie zauważył, że ujawszy ją mocno za rękę, przyciągnął tak blisko, aż ciała ich się zetknęły. Gdy sobie to uświadomił, puścił ją i cofnął się pośpiesznie.

Chrząknął głośno i powiedział zdecydowanie:

- Uważam, że powinnaś to jakoś ukrócić.

Wróciła do baru i zaczęła sprzątać naczynia.

- Myślałam, że po jakimś czasie, gdy będę odkładać słuchawkę, zniechęci się i przestanie dzwonić.

- Widocznie nie ma takiego zamiaru.

- Chyba jednak nie. - Umieściła stos brudnych naczyń na blacie zlewozmywaka i odkręciła kurek z ciepłą wodą. - Zapomniałeś o ciastkach. Proszę, obsłuż się sam.

- Nie chcę żadnych ciastek! - odparł z irytacją. Z nieznanych sobie powodów czuł złość, że pozbyła się swojego rozmówcy, zanim zdążył podejść.

- To może zaparz kawę, a ja w tym czasie poukładam naczynia w zmywarce - zaproponowała. - Kawę trzymam w spizarnce, a ekspres stoi tutaj.

Chase przejrzał powód tej propozycji - miała zakończyć ich dyskusję na temat lubieżnych telefonów. Marcie najwidoczniej nie chciała o tym więcej rozmawiać. Albo się bała, albo ją to krępowało, albo, do diabła, rzucało jej się na mózg po wysłuchaniu takich sprośności.

Mieszkała samotnie. Nie było teraz w jej życiu żadnego przyjaciela. Przynajmniej nie słyszał o nim ani nie widział w domu jego śladów. Jedyne mężczyzna, o którym wspomniała, to jej eks-narzeczony z Houston. Może to on ją nękał, by w ten sposób się zemścić. Jeśli tak było, to co mogło skłaniać go do aż takiego zachowania?

Zaczął przyrządzać kawę. Zanim Marcie skończyła swoją

pracę, kawa była gotowa. Załadowała tacę filiżankami i ciasteczkami w czekoladzie, po czym poprosiła go, by zaniósł to wszystko do salonu. Zajęli swoje poprzednie miejsca przy kominku. Chase dorzucił do ognia.

- A jak wygląda sytuacja twojej firmy?

Spojrzał na nią z ukosa.

- Jesteś obrotną kobietą interesów, Marcie. Prawdopodobnie wiesz o klimacie finansowym tego miasteczka więcej niż ktokolwiek inny. Czy w ten taktowny sposób zamierzasz się mnie zapytać, jak długo uda się nam jeszcze utrzymać firmę, zanim będziemy zmuszeni ogłosić bankructwo?

- Nie to miałam na myśli. Szczerze.

- Nieważne - odparł, wzruszając ramionami. - Już za późno na dumę. Wkrótce nasz finansowy status stanie się tematem publicznych wypowiedzi.

- Aż tak krytycznie?

- Obawiam się, że tak. - Wlepił wzrok w płomienie, automatycznie wkładając do ust kolejne ciastko. - Nie zbieramy nowych zamówień. Nie podpisujemy kontraktów. Bank zniecierpliwił się i żąda spłaty pożyczek, jakie zaciągnęliśmy, gdy po raz pierwszy zaczęły się kłopoty na rynku. I tak okazali wielkoduszność, że nie domagali się zwrotu pieniędzy przez tak długi czas, ale w końcu ich cierpliwość się wyczerpała. Lucky odwalił najtrudniejszą robotę bez żadnej pomocy z mojej strony - dodał gorzko. - Zrobił, co w jego mocy. Kilka lat temu zaczęliśmy myśleć o tym, co zrobić, aby przetrwać kryzys i doczekać czasu, aż interes z ropą znowu stanie na nogi. Nie doszliśmy jednak do żadnych konkretnych pomysłów. Wtedy umarła Tania i... - Ponownie wzruszył ramionami. Reszty nie musiał wyjaśniać.

- Chase! - Podniósł głowę i spojrzał na nią. Wodziła opuszką palca po krawędzi filiżanki. Gdy poczuła na sobie jego wzrok, podniosła oczy. - Pozwól mi zainwestować trochę pieniędzy w waszą spółkę.

Przez chwilę gapił się na nią bez słowa, po czym wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

- Dlaczego chcesz zrobić takie głupstwo?

- Bo wierzę w ciebie i Lucky'ego. Obaj jesteście zaradni, błyskotliwi i pracowici. W końcu przyjdzie wam do głowy jakiś sposób, by ożywić firmę. Jeśli się tylko na to zgodzisz, możesz być pewny, że zbiorę profity z mojej inwestycji.

Jeszcze nie skończyła, a on już potrząsał głową.

- Nie mogę się na to zgodzić, Marcie. Byłoby to wzięcie jałmużny, a my nie zeszlismy jeszcze tak nisko. Pozostała w nas jeszcze odrobina dumy. A poza tym - dodał - jeśli potrzebowalibyśmy partnera, już dawno mogliśmy rozważyć taką ewentualność. Mielismy nawet sporo ofert, ale zawsze je odrzucaliśmy. Mój dziadek rozkręcił ten interes w czasie kryzysu lat trzydziestych. Mój ojciec go kontynuował, jesteśmy trzecim pokoleniem. Spółka Wiertnicza Tylera jest przedsiębiorstwem rodzinnym i takim pozostanie.

- Rozumiem - odparła cicho.

- Doceniam twoją propozycję, ale nie ma takiej formy, w jakiej mógłbym ją zaakceptować.

- Jest jeden sposób. - Jej stalowe spojrzenie spoczęło na nim. - Możesz się ze mną ożenić.

Lucky odłożył słuchawkę i zwrócił się do żony:

- On nadal się nie zgłasza.

Devon, stojąc w progu pomiędzy sypialnią i łazienką, próbowała rozproszyć jego wątpliwości.

- To wcale nie oznacza, że znowu przepadł.

- Ale to może znaczyć, że jest poza domem, w kolejnym ciągu.

- Niekoniecznie.

- Ale prawdopodobnie.

- Nie okazujesz swojemu starszemu bratu szczególnie wiele zaufania - skarciła go łagodnie.

- Wymień choć jedną rzecz, którą zrobił w ciągu dwóch ostatnich lat, aby zasłużyć sobie na moje zaufanie.

Devon, bosa, odwróciła się gwałtownie na pięcie i zniknęła w łazience, zamykając za sobą drzwi tak szybko, że przytrzasnęła skraj peniuaru. Lucky zerwał się i pobiegł za nią zdenerwowany. Otworzył drzwi. Siedziała spokojnie przy toalecie i rozczesywała szczotką kasztanowe włosy. Jej uroda natychmiast stłumiła jego złość.

Była niewątpliwym ekspertem w dziedzinie panowania nad mężem. Potrafiła podsycać i łagodzić jego temperament, a robiła to umiejętnie i efektywnie. Zwroty w jej zachowaniu zawsze następowały niespodziewanie. Dzięki tej spontaniczności ich życie stało się atrakcyjne i był to jeden z głównych powodów, dla których zakochał się w niej. Nieobliczalność Devon doskonale współgrała z jego zmienną naturą.

Kochał ją do szaleństwa, ale nie lubił, gdy miała rację. A w tym przypadku miała.

- Nie powinienem był tego mówić, prawda?

- Hmm - chrząknęła. Bardzo w niej to lubił, że nigdy nie wytykała mu, iż ma rację. - Lucky, on naprawdę przyjechał do domu.

- Pod przymusem.

- Nie szkodzi. Sam wiesz, że nie było to dla niego łatwe.

- Pamiętasz, jak się najeżył, gdy nas zobaczył?

- Według mnie całe to jego narzekanie i zrzęczenie służyło temu, by pokryć zakłopotanie i zadowolenie, że jest znowu w domu, otoczony ludźmi, którzy go kochają.

- Może - zgodził się Lucky.

- Przecież przyszedł dzisiaj do biura i okazał zainteresowanie sprawami firmy.

- To mogły być tylko słowa.

- Mogły być, ale jakoś nie wydaje mi się to prawdopodobne. - Odłożyła szczotkę i odkręciła wieczko słoiczka kremu na noc. Zanurzyła w nim palce i zaczęła rozprowadzać po twarzy. - Myślę, że powinniśmy dać Chase'owi pewien kredyt zaufania. Chyba zaczyna wreszcie dochodzić do siebie.

- Mam nadzieję.

Lucky wyjął słoiczek z jej dłoni, nabrał niewielką ilość kremu na palce i zaczął ją smarować. Zsunął szlafroczek z ramion i rozwiązał ramiączka nocnej koszuli, po czym kontynuował nacieranie. W zasadzie skórę miała tak gładką, że nie potrzebowała dodatkowych preparatów nawilżających.

- Laurie jest zachwycona jego powrotem do domu. Już samo to sprawia, że jestem zadowolona. - Devon opuściła głowę i odgarnęła na bok włosy, by mógł natrzeć szyję.

- Tak, ale mama nie wie jeszcze, że poszedł dziś poszaleć.

- Ty również tego nie wiesz. Mógł pójść gdziekolwiek.

- Pogoda nie jest zbyt odpowiednia, by jeździć samochodem.

- Nawet jeśli pojechał się zabawić, to jest przecież dorosłym człowiekiem i odpowiada przed samym sobą. - Poprzez gęste, opadające sploty spojrzała na jego odbicie w lustrze. - Przecież ty też tak robiłeś.

Chrząknął.

Uwagę Lucky'ego przyciągnęło odbicie żony w lustrze. Materiał szlafrocza kończył się na linii piersi. Ledwo zauważalny ruch dłoni sprawił, że szlafrok opadł jej na kolana, odsłaniając całkowicie biust.

Objął ją obiema rękami i zaczął pieścić. Przyglądał się swoim dłoniom, jak unosiły, głaskały i masowały jej piersi. Gdy spostrzegł, że dotyk wywołuje efekt, ośladnęło nim pożądanie.

- Co powiedział dziś lekarz? - zapytał łagodnie.

- Zarówno dziecko, jak i ja mamy się świetnie. - Jej wargi ułożyły się w słodki uśmiech madonny. - To już koniec piątego miesiąca.

- Jak myślisz, jak długo da się to jeszcze utrzymać w tajemnicy? - Gładził rękami krągłą wypukłość jej brzucha.

- Sądzę, że już niedługo. Gdyby Laurie nie była tak zajęta Chase'em, prawdopodobnie już zauważyłaby, że grubieję.

- Do diabła! Mama i Sage będą szaleć, jak się to wyda. Będą miały pretensje, że nie poinformowaliśmy ich wcześniej.

- Pewnie tak. Ale obstaję przy tym, że wybrana przez nas taktyka była słuszna. Na wypadek, gdyby coś się stało.

- Dzięki Bogu wszystko jest w porządku. - Pochylił głowę i pocałował żonę w ramię.

- Gdyby coś się stało, myślę, że Laurie trudno byłoby się pogodzić ze stratą kolejnego wnuczęcia. Dlatego dobrze, że wstrzymaliśmy się z oznajmieniem jej tego przynajmniej do czasu, gdy minęły najniebezpieczniejsze trzy pierwsze miesiące.

- Ale teraz to już druga połowa ciąży i lekarz nie spodziewa się żadnych komplikacji. - Ich wzrok spotkał się w lustrze. Lucky uśmiechnął się i przesunął rękę w dół. - Chcę wreszcie oznajmić światu, że zostanę ojcem!

- Lucky, proszę cię, przemyśl to jeszcze. - Uśmiech stopniowo schodził z jej twarzy. - Teraz, gdy Chase jest w domu, może powinniśmy jeszcze utrzymać to w tajemnicy.

Zmarszczył brwi.

- Rozumiem, co cię gnębi. Niełatwo mu będzie, gdy się dowie, że to u nas urodzi się pierwszy potomek Tylerów.

Devon wzięła go za rękę i złożyła pocałunek w otwartej dłoni.

- Wiesz, jak bardzo pragnę naszego dziecka. Ale myśl o dziecku, które umarło razem z Tanią, za każdym razem rzuca cię na moją radość.

- Nie myśl już o tym - wyszeptał.

Podniósł ją z krzesła i nie przestając całować, uwolnił jej ciało od peniaru.

Gdy na chwilę zabrakło mu oddechu, przyciągnął ją do siebie na tyle blisko, by go poczuła. Westchnęła i poprosiła, aby nie tracił ani chwili czasu, tylko natychmiast zabrał ją do łóżka.

Położył ją, rozchylił uda i zaczął całować, czubkiem języka smakując wilgoć. Jego pocałunki wolno powędrowały w górę ciała, zatrzymując się dłuższą chwilę na zaokrągleniu brzucha. Potem ssał lekko sutki, pociemniałe i powiększone z powodu ciąży. W końcu trafił na zapraszające ciepło jej ust. Wsunął w nie głęboko język, zanurzając się jednocześnie w głąb jej ciała.

Małżeństwo nie osłabiło siły ich wzajemnego fizycznego przyciągania. Rozpaliło ich namiętność jeszcze bardziej. Po upływie kilku minut obydwoje leżeli odprężeni i zadowoleni.

Trzymając ją nadal bliźniętka siebie, łagodnie pieścił brzuch, gdzie rozwijało się ich dziecko. Wyszeptał:

- W obliczu tego, ile Chase stracił, jak mogę go winić za cokolwiek, co zrobił lub czego nie zrobił?

- Nie możesz - odpowiedziała, głaszcząc go po rękę. - Możesz jedynie wykazać cierpliwość i czekać, aż sam znajdzie lekarstwo, które uleczy ból jego serca.

- Jeśli takie lekarstwo w ogóle istnieje.

Devon zmieniła pozycję, po czym powiedziała w charakterystyczny dla siebie sposób, głosem pełnym optymizmu, czym zawsze go ujmowała:

- Och, jestem zmuszona wierzyć, że istnieje.

Chase w końcu odzyskał głos.

- Co?

- Zamierzasz nakłonić mnie, żebym to powtórzyła? - spytała Marcie. - W porządku, niech ci będzie. Powiedziałam, że możesz ocalić swoją firmę i zatrzymać ją w rodzinie, jeśli się ze mną ożenisz. Ponieważ wtedy wszystko, co posiadam, będzie również twoje.

Odłożył nie dojedzone ciastko na talerzyk, strzepnął z palców okruchy i wstał. Pospiesznie włożył na siebie płaszcz i skierował się do wyjścia.

- Nie sądzisz, że może to stanowić podstawę do dyskusji? - spytała Marcie, podążając za nim.

- Nie.

Zanim otworzył drzwi, zastąpiła mu drogę.

- Chase, proszę cię. Jeżeli miałam dość odwagi, by ci to zaproponować, to miej dość odwagi, by chociaż o tym porozmawiać.

- Po co marnować twój i mój czas?

- Nie uważam rozmowy o mojej przyszłości za stratę czasu.

Przełożył parę irchowych rękawiczek z jednej ręki do drugiej, rozmyślając, jak wyjść z tego domu, by nie zranić jej uczuć.

- Marcie, naprawdę nie wiem, co skłoniło cię do zaproponowania czegoś tak dziwnego. Nie potrafię zrozumieć, jak mogło zrodzić się coś takiego w twojej głowie. Wolałbym sądzić, że żartowałaś.

- Nie. Mówiłam najzupełniej poważnie.

- Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak tylko powiedzieć: dziękuję, nie.

- Nawet nie rozmawiając o tym?

- Rozmowa i tak niczego nie zmienia.

- Nie zgodzę się z tym. Proponowanie małżeństwa wybranemu mężczyźnie nie jest kaprysem z mojej strony. Gdybym nie doszła do wniosku, że jest to wykonalny pomysł, nawet bym o tym nie wspomniała.

- Ale to nie jest wykonalny pomysł.

- Dlaczego nie?

- Cholera! - mruknął do siebie, czując, że narasta w nim irytacja. - Zmuszasz mnie, żebym się stał nieuprzejmy.

- Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to nie kłopotz się o oszczędzanie mnie. Oznajmiłam ci wczoraj, że mam na sobie grubą powłokę. Nie tak łatwo mnie zranić. Wszystko spływa po mnie jak po kaczce.

- W porządku. - Przystępując z nogi na nogę, nie odrywał od niej wzroku. - Będę szczery. Nie chcę się ponownie ożenić. Nigdy.

- Dlaczego?

- Ponieważ miałem żonę, miałem też dziecko. Straciłem ich oboje. Nikt nie może zająć miejsca Tani. A poza tym nie kocham cię.

- Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby chcieć zająć Tani miejsce. W żadnym wypadku o tym nie myślałam. Po zostaniu zawsze dwiema odrębnymi osobami. I oczywiście nigdy nie wyobrażałam sobie, Chase, że mnie kochasz. Ludzie zawierają związki małżeńskie z rozmaitych powodów, wśród których miłość nierzadko zajmuje jedno z ostatnich miejsc.

Wlepił w nią wzrok, jakby odebrało mu mowę.

- To dlaczego, do diabła, tego chcesz? Dlaczego składasz takie propozycje, wiedząc, że cię nie kocham i że wciąż jestem zakochany w swojej żonie?

- Chociażby dlatego, że jestem starą panną, czego nie omieszkałaś mi wytknąć wiele razy. Nawet w tym wieku i w tych czasach, w jakich żyjemy, jeśli się żyje samotnie, nie jest to najlepsza sytuacja. Ludzie idą przez życie parami. Zmęczyło mnie już bycie samodzielną jednostką.

- Ten argument nie wystarczy, Marcie. Wczoraj mi powiedziałaś, że omal nie wyszłaś za mąż, ale rozmyślałaś się w ostatniej chwili, gdyż nie kochałaś tego faceta.

- To prawda. Ale to było ładnych parę lat temu. Nie miałam wtedy jeszcze trzydziestki.

- Więc?

- A teraz mam trzydzieści pięć. Osoba trzydziestopięcioletnia, która nie jest rozwiedziona ani owdowiała, nie stanowi specjalnego rarytasu. Nawet kawaler w tym wieku nie przyciąga wiele uwagi. A tym bardziej kobieta, która do tego mieszka sama i rzadko gdziekolwiek wychodzi. - Wbiła wzrok w podłogę i dodała: - Zwłaszcza jeśli jest to Sówka Johns.

Chase wymamrotał coś pod nosem. Zaczął żałować, że kiedykolwiek ją tak nazywał. Mógł teraz wyjaśnić, że obecnie to przewisko nie ma już zastosowania, ale, do cholery, ona pomyśli, że stara się po prostu być uprzejmy.

- Zdaję sobie sprawę, Chase, że nie jestem olśniewającą pięknoscią. Nie mam figury modelki, na wzór której można by wykonywać manekiny. Ale mogę dać ci to, czego potrzebujesz najbardziej.

- Pieniądzy? - zapytał z odrazą.
- Nie, przyjaźni.
- Kup sobie lepiej psa.
- Niestety, mam alergię na sierść, a poza tym rozmawiamy teraz o tym, czego ty potrzebujesz, a nie ja - odparła. - Zawsze pozostawaliśmy w dobrych stosunkach koleżeńskich. Współpraca nam się układała. Wierzę, że moglibyśmy stworzyć dobry zespół.

- Jeśli chcesz się stać członkiem zespołu, to zapisz się do ligi piłkarskiej.

Jego sarkazm bynajmniej nie zbił jej z tropu.

- Włóczyłeś się przez półtora roku i założę się, że już ci to bokiem wychodziło, chociaż z pewnością się do tego nie przyznasz. Ja mogę zapewnić ci stabilizację. Mam dom - zatoczyła ramionami szerokie koło. - Kocham go, ale stałby się jeszcze miłszy, gdybym mogła go z kimś dzielić.

- To przyjmij współlokatora.
- Właśnie próbuję.
- Mam na myśli kogoś obcego.
- Nie zniosłabym tego. Poza tym Bóg jeden wie, co plot-

karki z Milton Point powiedziałyby o mnie, gdyby ktoś tu się wprowadził, nawet jeśli by to była kobieta.

Pod tym względem przyznał jej rację. Ludzie bywają małostkowi i nierzadko dopatrują się we wszystkim skandalu, nawet gdy nie ma ku temu żadnych podstaw. Ale to już był problem Marcie i nie w jego gestii było szukać rozwiązania.

Pomimo całej swojej rycerskości czuł silną potrzebę, aby pozbawić ją złudzeń. Szanował ją bardzo, chociażby za to, że miała odwagę poruszyć temat małżeństwa. Z pewnością nie było to dla niej łatwe. Sporo musiało ją kosztować przełamanie się. Jak wiele ze swej dumy musiała poświęcić w tym momencie?

- Zamierzasz powiedzieć nie, prawda?
Zaczerpnął haust powietrza.

- Tak. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Zwiesiła na chwilę głowę, ale prawie natychmiast ją podniosła. W jej oczach czaiło się wyzwanie.

- Pomyśl o tym, Chase.

- Tu nie ma o czym myśleć.

- A Spółka Wiertnicza Tylera?

Oparł ręce na biodrach i nachylił się nad nią.

- Czy ty wiesz, co próbujesz zrobić? Próbujesz kupić sobie męża!

- Jeśli ja się tym nie zajmuję, to dlaczego ty miałbyś się o to martwić? Mam mnóstwo pieniędzy. Więcej, niż mi potrzeba. Co mam z nimi robić? Komu je zostawię? Co dobrego przynosi mi ciężka praca i odnoszenie sukcesów, skoro nie mogę podzielić się efektami z kimś, kto tego naprawdę potrzebuje?

Wykonał nagły ruch ręką, potrząsając rękawiczkami.

- Nie będziesz musiała się zbytnio wysilać, żeby znaleźć kogoś. Jestem pewien, że wkoło żyje mnóstwo mężczyzn, którym bardzo by odpowiadały takie warunki.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Czy myślisz, że to jest to, o co mi naprawdę chodzi? Myślisz, że chciałabym cię mieć pod swoim dachem, żądając,

żebyś się zadowolił pozycją utrzymanka? Nigdy w życiu, panie Tyler! Wiem, że nadal będziesz pracował ciężko jak do tej pory. Nie zamierzam ograbić cię z twojej męskości czy dumy. Nie chcę zająć pozycji pana domu. Jeślibym tego pragnęła, zadowalałaby mnie aktualna sytuacja.

Złagodniał nieco.

- Po prostu nie chcę się zestarzeć samotnie, Chase. Myślę, że ty także nie. A ponieważ nie możesz się ożenić z miłości, więc równie dobrze może nas połączyć interes.

Przez chwilę kontemplował wyraz przejęcia na jej twarzy, po czym potrząsnął przecząco głową.

- Nie jestem odpowiednim partnerem dla ciebie, Marcie.

- Jesteś. Jesteś dokładnie tym, czego pragnę.

- Ja? Załamany, przybity człowiek? Nie panujący nad sobą? Chcesz, żebym cię unieszczęśliwił?

- Jakoś nie unieszczęśliwiłeś mnie dzisiejszego wieczoru. Sprawilo mi przyjemność, że byłeś tutaj.

Ona po prostu nie chciała pozwolić na to, by jej odmówił. Tym razem więc zdecydował się odpowiedzieć jej szorstko:

- Przykro mi, Marcie. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Obcesowo otworzył drzwi i wyszedł na dwór, prosto w szarugę. Po kilku godzinach bezczynności furgonetka nie chciała zapalić. W końcu silnik zaskoczył i Chase pojechał do domu. Mieszkanie było ciemne i zimne.

Rozebrał się, umył zęby, zażył tabletkę przeciwbólową i wskoczył w wyiębioną pościel. „Ożenić się z Sówką Johns!” - mamrotał do siebie, przewracając kilkakrotnie poduszkę.

Był to najbardziej szalony i absurdalny pomysł. To było wręcz śmieszne.

Dlaczego więc się nie śmiał?

Lucky zjawił się u niego równo ze świtem.

- Cześć! Wszystko u ciebie w porządku?

- A dlaczego by nie? - odparł Chase, nie starając się nawet ukryć złego humoru.

- Ot, tak po prostu pytam. Byłem ciekaw, jak czują się twoje zebra dziś rano.

- Lepiej. Chcesz wejść?

- Dziękuję.

Lucky przekroczył próg mieszkania. Chase zamknął drzwi. Mógł rozpocząć rozmowę, ale skoro Lucky jak do tej pory umotywował swoją wizytę jedynie troską o jego zebra, postanowił nie ułatwiać mu zadania. Po dłuższej ciszy Lucky wyłuszczył w końcu powód tak wczesnej wizyty.

- Dzwoniłem wczoraj wieczorem kilka razy do ciebie, ale nikt się nie zgłaszał.

- Nie było mnie.

- Tak się domyślałem.

- Byłem na kolacji.

- Och, na kolacji?

Chase stracił cierpliwość.

- Lucky, dlaczego nie zapytasz wprost?

- W porządku, gdzie byłeś, u diabła?

- U Marcie.

- U Marcie?

- Pojechałem, żeby jej oddać dług za rachunek ze szpitala, a ona zaprosiła mnie na kolację.

- No, skoro to już wszystko, to dlaczego tego po prostu nie powiedziałeś?

- Ponieważ to nie twój zakichany interes.

- Martwiliśmy się, że nie było cię wieczorem w domu.

- Nie potrzebuję niańki.

- Ach, tak?

Obaj zaczęli krzyczeć. Ostre sprzeczki nie były dla nich czymś niezwykłym, podobnie jak szybkie pogodzenie się.

Chase potrząsnął głową i zachichotał.

- A właściwie może by mi się istotnie przydała niańka.

- Może kiedyś, ale nie teraz.

- Siadaj!

Lucky opadł na klubowy fotel, zwrócił się twarzą do bra-

ta i natychmiast skierował rozmowę na ich wspólne zmartwienia.

- Jak udało ci się wczorajsze spotkanie w banku?

- George Young to skurczybyk.

- Dopiero teraz doszedłeś do tego wniosku? - spytał Lucky.

- Nie mam pretensji do niego ani do banku o to, że chcą odzyskać swoje pieniądze. Ale ten życzliwy wyraz na jego świętoszkowatej buziuchnie doprowadza mnie do pasji. Jestem przekonany, że wręcz cieszy go nasze obecne położenie.

- Wiem, o co ci chodzi. Udaje przygnębitego, a za naszymi plecami śmieje się w rękaw.

- Wiesz, co miałbym ochotę zrobić? - Chase wychylił się w przód i oparł łokcie o kolana. - Chciałbym wziąć olbrzymią skrzynię pełną forsy, całą kwotę, jaką mu jesteśmy winni, i cisnąć mu to na biurko.

- Cholera! Ja też bym tego chciał. - Lucky ponuro przygryzł wargi. - Ale możemy tylko pomarzyć!

Chase nerwowo bębnił palcami po stole.

- Powiedziałaś wczoraj, że jedynie cud może nas uratować.

- Tak, coś prosto z nieba.

Chase głośno odchrząknął.

- A jeśli anioł miłosierdzia przybrałby postać Marcie Johns? - Lucky nie odezwał się ani słowem. Po chwili Chase podniósł na brata ostrożne spojrzenie. - Słyszałeś, co powiedziałem?

- Słyszałem. Ale cóż to ma oznaczać?

- Napijesz się kawy? - Chase podniósł się z krzesła.

- Nie.

Usiadł ponownie.

- A co wspólnego z naszymi kłopotami ma Marcie? - chciał się dowiedzieć Lucky.

- Nic. Poza tym... - Chase zmusił się do uśmiechu. - Zaproponowała, że nam pomoże.

- Chryste, Chase, kolejny wierzyciel do spłacania to ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba.

- To, co nam zaproponowała, to niezupełnie pożyczka. Bardziej inwestycja.

- Chodzi o to, że chce wykupić część udziałów firmy? Zostać naszym partnerem? - Lucky wstał i zaczął spacerować po pokoju. - Nie chcemy chyba nowego partnera, prawda? Mam nadzieję, że nie zmieniłeś zdania w tej sprawie?

- Nie.

- To świetnie, bo ja też. Zarówno nasz dziad, jak i ojciec chcieli, żeby interes nie wyszedł poza rodzinę. Jestem zaskoczony, że Marcie w ogóle o tym pomyślała. Doceniam oczywiście jej zainteresowanie, ale mam nadzieję, że wyjaśniłaś jej dostatecznie jasno, że nie chcemy w naszej firmie nikogo spoza rodziny.

- Tak, wyjaśniłem, ale...

- Poczekaj chwilę! - Lucky nagle się odwrócił. - Ona chyba nie myśli o przejęciu przedsiębiorstwa, prawda? Nie spłaci naszych długów bankowi, spodziewając się, że wejdzie do interesu bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie, prawda? Jezus! Że też przedtem o tym nie pomyślałem!

- Marcie również o tym nie myślała. Przynajmniej tak sądzę - wyjaśnił Chase. - Nie na tym polegała jej propozycja.

Lucky stanął z bratem twarzą w twarz, opierając ręce na biodrach.

- A co dokładnie zaproponowała?

Chase nie miał innego wyjścia jak powiedzieć bratu wprost. Wydawało mu się, że skoro Marcie mogła mówić o tym otwarcie, on również może.

- Zaproponowała małżeństwo.

- Przepraszam, nie zrozumiałem.

- Małżeństwo.

- Komu?

- Mnie - odparł zrzędlwym tonem. - Do diabła, a myślałeś, że komu?

- W ogóle nie wiem, co myśleć.

- No więc zaproponowała mi małżeństwo.

- Marcie Johns zaproponowała ci małżeństwo?

- Czyż nie to właśnie powiedziałem?! - wykrzyknął Chase.
- Nie wierzę!
- To uwierz.

Lucky w osłupieniu spoglądał na brata. Po chwili podejrzliwie zmrużył oczy.

- Poczekaj no! Gdzie byłeś w tym czasie? Co wtedy robiliście?
- Nie to, co myślisz. Piliśmy kawę i jedliśmy ciasteczka w czekoladzie.
- Nie byliście w...
- Nie!

Lucky opadł ponownie na fotel. Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

- Czy mówiła to poważnie? - przerwał milczenie.
- Na to wyglądało.
- Nie do wiary - wymamrotał Lucky, najwidoczniej wciąż skonsternowany.

- Przedstawiła wiele argumentów. Przyjaźń, stabilizacja, rozumiesz, wszystko w tym stylu. No i oczywiście pieniądze.

Lucky potrząsnął ze zdumienia głową, po czym roześmiał się.

- Nie mogę w to uwierzyć. Rzeczywiście powiedziała, że da ci pieniądze w zamian za to, że się z nią ożenisz?
- Może trochę innymi słowami, ale efekt był właśnie taki.
- Czy potrafisz to zrozumieć? Słyszałem, że w interesach jest cholernie ciężka na pieniądze, więc ktoś by pomyślał, że zrobi coś takiego? Co jej odpowiedziałeś? Mam nadzieję - przerwał i zamrugał oczami - spodziewam się, że odmówiłeś.
- Właśnie tak było.

Teraz z kolei Chase wstał i zaczął się przechadzać. Z trudnych do określenia powodów śmiech Lucky'ego irytował go. Poczuł nagle potrzebę usprawiedliwienia i obrony propozycji Marcie.

- Nie powinieneś robić sobie z niej żartów - odezwał się z rozdrażnieniem. - Gdyby ni z tego, ni z owego rozebrała

się przede mną do naga, nie poruszyłoby mnie to bardziej niż ta jej propozycja.

Lucky chwycił brata za ramię.

- Chase, chyba nie myślisz o tym?

Chase napotkał niedowierzający wzrok brata i ku własnemu zaskoczeniu odparł:

- Byłby to jakiś sposób na wydostanie się z tego bałaganu, w jakim obecnie się znaleźliśmy.

Lucky zareagował z charakterystyczną dla siebie gwałtownością. Zbliżył twarz do twarzy brata.

- Czy ty kompletnie postradałeś rozum? Czyżby whisky, którą piłeś przez ostatnie kilka miesięcy, aż tak rozmiękczyła ci mózg? A może ten kopniak, który dostałeś od byka, zrobił galarete z twoich szarych komórek?

- Czy to się nazywa wielowariantowe pytanie?

- Ja nie żartuję!

- Ja również! - Chase strącił dłoń brata z ramienia i odwrócił się od niego. - Zastanów się. Wymień chociaż jedną sensowną rzecz, którą zrobiłem od czasu, gdy Tania umarła. Nie potrafisz. Nikt nie potrafi. Powiedziałeś mi to w twarz. To mój brak inicjatywy sprowadził rodzinny interes na skraj bankructwa.

- Ten kryzys nie ma nic wspólnego z twoim prywatnym życiem! - wykrzyknął Lucky. - Tu chodzi po prostu o załamanie się rynku naftowego.

- Ale to ja jestem najstarszym synem - argumentował Chase, wskazując na swoją pierś. - Ja jestem tym, który dźwiga odpowiedzialność, Lucky. I jeśli Spółka Wiertnicza Tylera pójdzie z torbami, będę to miał na sumieniu do końca życia. Czuję, że muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby się przed tym uchronić.

- Nawet posunąć się tak daleko, jak ożenić się z kobietą, której nie kochasz?

- Nawet tak.

- Dwa lata temu, gdy groziło nam popadnięcie w ruinę, byłem skłonny ożenić się z Susan Young, ale ty nie pozwoliłeś

mi na to. Czy myślisz, że pozwolę ci zrobić coś równie idiotycznego?

- Nie będziesz miał specjalnie dużo do powiedzenia w tej sprawie.

Nagle okazało się, że z zaciekłością popiera plan Marcie. Od kiedy? Gdy się obudził, nabrał przekonania, że jej plan nie jest wcale niemożliwy do zrealizowania.

Lucky puścił wiazankę przekleństw.

- Jeszcze nie przebolełaś śmierci Tani, Chase. Jak możesz myśleć o angażowaniu się w związek z inną kobietą?

- Nie zamierzam się angażować. Marcie o tym wie. Wie, że wciąż Kocham Tanie. Chce założyć dom oparty na przyjaźni.

- Ty durniu! Żadna kobieta nie chce wiązać się z kimś z czystego koleżeństwa.

- Marcie tak. Ona nie jest typem romantycznym.

- W porządku, a wiesz, dlaczego tak jest? Powiem ci dlaczego! Ponieważ jest starą panną, która, chwytając się ostatniej deski ratunku, zamierza kupić sobie męża.

- Ona nie jest starą panną. - Chase nagle uświadomił sobie, że ogarnia go irracjonalny gniew na brata za to, że mówi to samo co on wczoraj. - Kobiecie sukcesu, takiej, jaką jest Marcie, niełatwo jest znaleźć mężczyznę, który nie poczułby się zagrożony jej sukcesem.

Chase był wyraźnie zadowolony z argumentu, jaki niespodziewanie przyszedł mu do głowy.

- W porządku, zapomnijmy o tym na razie - powiedział Lucky - ale przemyśl teraz inną rzecz. Ona prawdopodobnie usiłuje kupić sobie również czyste sumienie. Zapomniałeś, że to ona siedziała za kierownicą, gdy zginęła twoja żona.

Twarz Chase'a aż zbieleła od gniewu. Szare oczy załśniły zimnym blaskiem.

- Wypadek nie zdarzył się z winy Marcie.

- Wiem o tym, Chase - tłumaczył cierpliwie Lucky. - Ty wiesz o tym. Wszyscy o tym wiedzą. Ale czy ona wie? Czy jest w pełni o tym przekonana? Czy może próbuje zrobić

jakiś miłosierny uczynek, aby uwolnić się od ciężaru winy, jaka głęboko w niej tkwi?

Chase zastanowił się chwilę nad słowami brata, zanim zdecydował się ponownie odezwać.

- A jeśli nawet tak jest, to co? W takim razie małżeństwo przyniesie pożytek nam obojgu. Każde z nas dostanie to, czego pragnie. Spółka Wiertnicza Tylera znowu rozświetli się blaskiem, a Marcie będzie miała męża i czyste sumienie.

Lucky podniósł rękę w geście niedowierzania. Po chwili opuścił ją na kolano z głośnym klapnięciem.

- Czy ty chociaż lubisz tę kobietę, Chase?

- Tak, bardzo - odparł triumfalnie. - Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Dobrzy przyjaciele. Świetnie! - Twarz Lucky'ego wyrażała jawne rozgoryczenie. - Czy chcesz z nią sypiać?

- Nie myślałem o tym.

- To pomyśl. Jestem pewny, że ona chce. Niewątpliwie seks jest również częścią transakcji. - Lucky wykorzystał chwilowe milczenie Chase'a, by doprowadzić myśl do końca. - Przespanie się z jakąś tam jednej nocy jest czymś innym niż sypianie z osobą, z którą przebywasz na co dzień.

- Dziękuję, braciszku, za wspianą lekcję na temat kobiet - zadrwił Chase. - Będę o tym pamiętał na wypadek, gdybym kiedykolwiek potrzebował twoich porad.

- Do cholery, Chase, ja tylko próbuję cię nakłonić, żebyś to przemyślał. Spłacisz od ręki pożyczkę bankowi, ale za to zostaniesz uwięziony przez Marcie do końca życia. Chyba że zamierzasz ją rzucić, gdy tylko wywiąże się ze zobowiązań, jakie na siebie przyjęła.

- Nigdy bym tego nie zrobił!

- Ale powiedziałaś, że wciąż Kochasz Tanie!

- Bo tak jest.

- Więc za każdym razem, gdy będziesz brał Marcie do łóżka, będzie to z obowiązku lub, jeszcze gorzej, z litości. Będzie to miłosiernym...

- - Jeśli dokończysz to zdanie, zrobię z ciebie miazgę. Zabraniam ci mówić o niej w ten sposób!

Lucky cofnął się o krok i spojrzał na brata z niedowierzaniem.

- Chase, ty jej bronisz. To znaczy, że już podjąłeś decyzję, prawda?

W tym momencie Chase uświadomił sobie, że istotnie ją podjął.

- Dziękuję, Pat, że przyszedłeś.

Laurie Tyler wprowadziła szeryfa do kuchni. Pat Bush był gościem, który wchodził tylnymi drzwiami. Gdyby stanął przy wejściowych drzwiach i pociągnął za dzwonek, Laurie poczułaby się dotknięta. W czasie trwania jej małżeństwa Pat był dobrym przyjacielem zarówno Buda, jak i jej. Choć Bud kilka lat temu zmarł na raka, Pat pozostał niezawodnym przyjacielem rodziny. Zawsze można było na niego liczyć w potrzebie. Tak jak tym razem.

- Co się stało? Miałaś taki zaniepokojony głos, gdy dzwoniłaś. - Położył na kuchennym stole brązowy filcowy kapelusz, zsunął z ramion kurtkę od munduru i, zanim usiadł, przewiesił ją przez poręcz krzesła. Laurie postawiła przed nim kubek z kawą. - Dzięki. O co właściwie chodzi, Laurie?

- Chase się żeni.

To oszałamiające obwieszczenie sprawiło, że poparzył sobie język gorącą kawą.

- Żeni się?

- Tak, Pat. Do tego stopnia mnie to niepokoi, że nie wiem, co robić.

- Z kim się żeni? Czyżby jakaś poszukiwaczka fortuny twierdziła, że zrobił jej dzieciaka?

- Nie, nie, nic w tym stylu - odparła Laurie, potrząsając ze smutkiem głową.

Miała jasne włosy. Do niedawna blond, a obecnie przetykane białymi kosmykami. Były krótko obcięte i ładnie wmodelowane. Bez trudu mogła uchodzić za młodszą o lat dziesięć. Szczupła sylwetka była przedmiotem zazdrości jej

rówieśnic. Niebieskie oczy, pogodne i pełne życia, teraz zmatowiały pod wpływem troski o najstarsze dziecko.

- On się żeni z Marcie Johns.

Zaskakujące rewelacje padały tak szybko jedna po drugiej, że picie gorącej kawy stało się czynnością ryzykowną. Pat odstawił kubek na stół.

- Marcie Johns - wyszeptał. - Jak tu, na Boga, nie mówić o ironii?

- Prawda?

- Jak do tego doszło?

Laurie opowiedziała mu wszystko. Zaczęła od tego, jak Marcie przywozła go po wypadku z Fort Worth, a skończyła na powtórzeniu słowo w słowo całej rozmowy telefonicznej, jaką z nim odbyła.

- Powiedział, że zamierzają się pobrać pojutrze, w kancelarii Walkersów. Proponował, żeby Sage została w mieście do tego czasu, jeśli chce być obecna na ślubie i jeśli może sobie pozwolić na opuszczenie zajęć. Dodał również, że Marcie chce, aby na tę ceremonię przyjechali jej rodzice z Houston. Niepokoją się, czy drogi będą przejezdne.

- Drogi! On sfiksował! Żeby żenić się dopiero co po powrocie z dwuletnich pijackich hulank, a do tego martwić się o drogi?

- O to właśnie mi chodzi - powiedziała załamującym się z emocji głosem. - Nie wydaje mi się, żeby wiedział, co robi.

Pat miał pełną, nieco rumianą twarz i był uważany za przystojnego. Tuzin kobiet z Milton Point przez lata usychało z tęsknoty za nim. Z niektórymi się umawiał, inne odstawiał, ale charakter jego pracy i potrzebne w niej zaangażowanie sprawiły, że pozostał kawalerem. W pewnym sensie traktował dzieciaki Tylerów jak własne. Dlatego właśnie podzielał teraz niepokój Laurie. Wciąż pamiętał rozpaczliwe cierpienie młodego Tylera po stracie żony.

- Czy chcesz, Laurie, żebym z nim porozmawiał?

- Obawiam się, że nie będzie to miało większego sensu - odparła ze smutkiem. - Lucky próbował to zrobić. Ale im

więcej przytaczał argumentów przemawiających za tym, by Chase nie zawierał tego związku, tym bardziej Chase upierał się, że właśnie powinien to zrobić. Naturalnie Sage, gdy jej o tym powiedziała, miała już wyrobione zdanie na ten temat. Musiałam postraszyć ją, żeby nie ważyła się czegokolwiek powiedzieć. Bóg jeden wie, co mogłaby chlapać. Nikt nie jest zachwycony tym pomysłem, ale nie chcę, żeby doprowadziło to do rozłamów w rodzinie, i to teraz, gdy dopiero co odzyskailiśmy Chase'a. Boję się, że może zamknąć przed nami drzwi i już nigdy ich nie otworzyć! - W jej oczach załśniły łzy.

Pat sięgnął ręką przez stół i nakrył jej dłoń.

- Nie wiedziałem, że Chase tak dobrze zna pannę Johns. Laurie przyłożyła do oczu chusteczkę.

- Chodzili do jednej klasy przez wiele lat. Jednak od czasu skończenia szkoły średniej nie widzieli się, gdyż jej rodzice przeprowadzili się do Houston. Odnowili znajomość, gdy Tania zaczęła szukać domu. Nie zrozum mnie źle, Pat. Moje obiekcje nie odnoszą się do osoby Marcie. Uważam, że jest wspaniała i urocza. Stała się piękną kobietą, a na dodatek zawsze była mądra i bystra. - Jej ładną twarz wykrzywił nagły skurcz. - Dlatego właśnie nie wiem, czemu pozwoliła sobie na coś takiego.

- Załamałaś mnie tym.

- Według tego, co mówił Lucky, to Marcie poprosiła Chase'a, żeby się z nią ożenił.

- Nie gadaj!

Laurie powtórzyła Patowi szczegółowo to wszystko, co przekazał Lucky.

- Czyli żeni się z nią dla pieniędzy - zauważył Pat, wpadając w słowo - a ona robi to po to, żeby ocalić Spółkę Wiertniczą Tylera.

- Na to wygląda. I dlatego właśnie tak bardzo się martwię. Świadomie czy też nie, od najmłodszych lat Bud i ja wpajaliśmy Chase'owi poczucie odpowiedzialności. Dlatego teraz bierze sobie tak wszystko do serca i próbuje dźwigać ciężar ponad siły.

- To typowe dla najstarszego dziecka, Laurie.
- Wiem, ale Chase wyolbrzymia to poza granice rozsądku.

Po wypadku Tani obwiniął się o to, że nie pojechał z nią tamtego popołudnia, wierząc, że gdyby był tam razem z nią, ona by nie zginęła.

- To niemądre!
- Tak, ale to właśnie jego sposób myślenia. Bierze na siebie problemy wszystkich. Prawdopodobnie poczuł się winny, że opuścił firmę na całe osiemnaście miesięcy. W taki właśnie sposób próbuje to wynagrodzić. Miałam nadzieję, że jego przyjazd do domu będzie oznaczał nowy początek. Ale nie w takiej postaci sobie to wyobrażałam. Być może skazuje się on na lata nieszczęścia i na dodatek skazuje na niedolę Marcie. Nie potrafię się domyślić, co nią powodowało, że złożyła mu taką propozycję. Ale wiem bez cienia wątpliwości, że Chase jest nadal zakochany w Tani. Tak jak było z Budem i ze mną. Nie przestałam go kochać, chociaż go już nie ma.

Pat dyskretnie cofnął rękę. Siedział w milczeniu, pozwalając się jej wypłakać, po czym zapytał:

- Laurie, co chcesz, żebym zrobił?

Podniosła głowę i posłała mu blade uśmiech.

- Właśnie to, co robisz. Wysłuchać mnie. Po prostu potrzebuję z kimś porozmawiać. Devon nie czuje się zbyt dobrze ostatnio - to kolejna rzecz, jaka mnie martwi. Lucky też się dziwnie zachowuje, traci cierpliwość, miota się, mamrocze pod nosem przekleństwa i zaciska dłoń. Sage papple, co jej tylko przyjdzie do głowy. Mówi takie rzeczy, które jeszcze bardziej mnie stresują. Potrzebuję kogoś zaufanego jak ty, żeby mnie wysłuchał.

Uśmiechnął się smutno.

- Tak, to cały ja. Godny zaufania. Zadowolony, że mogę się na coś przydać. Pamiętasz, co obiecałem Budowi przed śmiercią? Że zatroszczę się o jego dzieci. Mam całkiem niezły pomysł. Może bym tak chwycił Chase'a za kołnierz i dał mu dobrą naukę, wlewając mu trochę oleju do głowy. Jeśli

już nie z innych względów, to chociażby za to, że przez ostatnie miesiące kazał ci przejść takie piekło.

Wydała słabe, drżące westchnienie.

- Oni nie są już dziećmi, Pat. Są dorośli. Podejmują własne decyzje. I nawet gdy myślę, że popełniają cholerny błąd, nie mogę nic na to poradzić.

Słaby uśmiech stopniowo zniknął z jej twarzy.

- Och, Pat, co też Chase może sobie myśleć, decydując się na coś takiego?

Stojąc przed kancelarią Walkersów, Chase również zastanawiał się, co mu strzeliło do głowy, by coś takiego robić.

W ciągu ostatnich dwóch dni żył w gorączkowym pośpiechu, być może podświadomie, by nie mieć czasu na rozważenie tego, co już postanowił.

Marcie przyjęła jego decyzję z większym spokojem, niż się spodziewał.

Krótko po rozmowie z Lucky'm udał się do biura Marcie. Zaanonsowała go Esme, ubrana w ciemnozieloną sukienkę i purpurowe rajstopy. Marcie znajdowała się na zapleczu biura, grzebiąc właśnie w katalogach.

Gdy tylko Esme się oddaliła, powiedział:

- Myślę, Marcie, że miałaś dobry pomysł wczoraj wieczorem. Pobierzmy się.

Nie oczekiwał, że zarzuci mu ramiona na szyję czy pokryje jego twarz żarliwymi pocałunkami albo że z jej oczu trysną strumienie łez. Nie spodziewał się również zapewnien dogonnego oddania.

Ale spodziewał się nieco więcej entuzjazmu niż tylko uścisk dłoni.

- Zanim to przypieczętujemy - dodał - chciałbym postawić jeden warunek. - Wydało mu się, że pośpiesznie zaczerpnęła powietrza i zatrzymała je w płucach, ale mogło to być tylko złudzenie, gdyż jej twarz pozostała opanowana. - Wypłacę ci z powrotem każdy cent, który włożysz w Spółkę Wiertniczą Tylera.

- To nie jest konieczne.

- Dla mnie jest. I to stanowi mój warunek zawarcia małżeństwa. Jeśli nie zgodzisz się na to, rozwiążę umowę. Możliwe, że zajmie mi to całe lata, ale dostaniesz z powrotem swoje pieniądze.

- To będą nasze pieniądze, Chase. Ale skoro tak to traktujesz, niech tak będzie.

Przypieczętowali umowę pozbawionym romantyzmu, oficjalnym uściskiem dłoni. Od tej chwili wszystko nabrało tempa. Zawiadomili rodziny i ustalili datę ślubu.

Chociaż można to było odłożyć na dogodniejszy czas, Chase zwolnił mieszkanie, które zajmował razem z Tanią od dnia ich ślubu. W kilka tygodni po tragicznym wypadku przyjechała jej rodzina i zabrała te rzeczy, których nie chciał zatrzymać, teraz więc mógł sobie oszczędzić całego tego zamieszania.

Spakowanie rzeczy, które należały do niego, i przewiezienie ich do domu Marcie nie zajęło mu wiele czasu.

W istocie ta przeprowadzka zamknęła przed nim możliwość ucieczki; prawdopodobnie dlatego właśnie tak postąpił. Nie było odwrotu.

Podczas przeprowadzki zdarzyła się tylko jedna niezręczna sytuacja.

- To moja sypialnia - powiedziała Marcie, otwierając drzwi do olbrzymiego, przestronnego pokoju. Ściana za łóżkiem obita była tkaniną harmonizującą z narzutą. Stojący w rogu fotel również współgrał kolorystycznie z resztą pokoju. Sypialnia w swoim wystroju nie była tak współczesna jak pozostała część domu. Stanowiła przyjemną mieszanekę ciepła i przestronności, zachowując kobiecy charakter.

Nagle poczuł się nieswojo.

- A gdzie moja sypialnia?

- Tam.

Wskazała zamknięte drzwi po przeciwnej stronie galerii. Tam przeniósł swój dobytek. Nie zaproponowała, by dzielił z nią sypialnię. Ulżyło mu.

Od czasu, gdy Lucky napomknął o sypianiu z nią, Chase wiele myślał na ten temat. Chociaż nie powiedziała tego wprost, na pewno oczekiwała, że będzie ich łączył seksualny związek. Z początku trudno mu było wyobrazić sobie, że leży nago z Sówką Johns, ale gdy przyzwyczał się do tej myśli, doszedł do wniosku, że nie będzie aż tak źle.

Była atrakcyjną kobietą. On nie miał żadnych seksualnych zaburzeń. Patrząc więc na to z pragmatycznego punktu widzenia, ocenił, że seks z nią od czasu do czasu nie powinien stanowić dla nich problemu.

Jednak sypialnia kojarzyła mu się wyłącznie z ukochaną Tanią. Chociaż był tak bliski wzięcia ślubu, który legalnie nada tytuł żony Marcie, w jego sercu Tania na zawsze pozostała tą jedyną. Czasami może dzielić łóżko z Marcie, ale będzie sypiał w innym pokoju.

Prócz przeprowadzki miał jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Trzeba było wykonać badanie krwi, wykupić zaświadczenia, stoczyć burzliwą dyskusję z bratem, rozproszyć wątpliwości matki, postraszyć Sage morderstwem, w razie gdyby jeszcze raz próbowała zakwestionować jego zdrowie psychiczne, no i kupić nowy, ciemny garnitur.

Pomyślny przełom w pogodzie sprawił, że rodzice Marcie przybyli na miejsce o noc wcześniej i zaprosili ich oraz całą rodzinę na obiad do klubu. Oboje doznawali omal zawrotu głowy z powodu tego, że ich jedynaczka wreszcie wychodzi za mąż. Wydawali się tak szczęśliwi, że ich córce nie grozi staropanieństwo, aż poczuł się zakłopotany w imieniu Marcie. Wśród obecnych przy stole tylko ich twarze wyrażały szczerą radość.

Trzeba przyznać, że Laurie robiła, co w jej mocy, by rozładować napiętą sytuację i zamienić obiad w wesołą biesiadę. Znalazł się tam również Pat Bush, by użyć swego moralnego wsparcia. Devon starała się podtrzymać konwersację, gdy ta załamywała się, ale zdradzała przy tym tak wielką nerwowość i nieposkromiony apetyt, że stało się to przedmiotem kilku żartów.

Pod groźbą utraty życia Sage zgodziła się zachować swoje opinie dla siebie. Pod koniec wieczoru, gdy ścisnęła przyszlą szwagierkę, życząc jej dobrej nocy, można było pomyśleć, że Marcie jest kobietą skazaną na szubienicę, a nie panną młodą w drodze do ołtarza.

Lucky'emu udało się zachować cenzuralny język, ale jego ponure myśli wyrażał groźny wzrok. Był głęboko przekonany, że jego brat popełnia nieobliczalny błąd.

Patrząc na kobietę stojącą właśnie u jego boku, Chase zastanawiał się, czy to wszystko dzieje się naprawdę. W oczach Marcie nie dostrzegł żadnej surowości. Wyglądała prześlicznie. Biała wełniana sukienka wyglądała miękko i weselnie. Włosy miała ściągnięte do góry, a na głowie mały kapelusz z woalką, spod której iskrzyły się i uśmiechały niebieskie oczy.

- Zdenerwowany? - spytała.

- Nieswój - odparł. - Nie miałem już czasu, by kupić płaszcz do tego garnituru. Ten jest odrobinę przyciasny.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po plecach.

- To cena, jaką płacisz za to, że masz takie szerokie ramiona.

Chase drgnął nagle, nie będąc pewnym, czy to wskutek niespodziewanego dotyku Marcie, czy dlatego, że właśnie oznajmiono, iż sędzia już na nich czeka.

Weszli do cichego, wyłożonego boazerią pokoju. Stanowili skromne zgromadzenie: panna młoda i pan młody, rodzice Marcie, wszyscy Tylerowie i Pat Bush.

Do Chase'a wróciło wspomnienie ślicznego, oświetlonego świecami kościoła, w którym brał ślub z Tanią. Jego rodzina zajmowała kilka pierwszych ławek. Była to radosna uroczystość, chociaż obie matki popłakiwały nieco w gustowne, koronkowe chusteczki, które Tania wyhaftowała i dała im w prezencie.

Nikt z uczestników nie wątpił w ich wzajemną miłość. Tania wyglądała tak pięknie, że aż zapierało dech. Sunęli

między ławkami w stronę ołtarza, a następnie przysięgali sobie miłość i wierność aż do śmierci...

- Czy ty, Chase, chcesz wziąć Marcie Elaine Johns za żonę? Czy będziesz ją kochał, szanował, bronił i nie opuścisz jej, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Pytanie to brutalnie wyrwało Chase'a ze słodkiej zadumy i przywołało do terażniejszości. Wlepił wzrok w sędziego, który z zakłopotaniem odwzajemnił spojrzenie. Następnie zerknął w bok na wyczekującą twarz Marcie.

- Tak.

To samo pytanie sędzia zadał Marcie. Odpowiedziała głębokim, poważnym głosem. Wymienili skromne, złote obrączki, zamówione poprzedniego dnia.

Sędzia ogłosił ich mężem i żoną, po czym zwrócił się do Chase'a:

- A teraz może pan pocałować swoją oblubienicę.

Serce Chase'a zamarło na chwilę.

Od śmierci Tani sypiał z wieloma kobietami, ale żadnej nie zdarzyło mu się całować. Kontakt warg wydawał mu się bardziej intymny niż chwila wytrysku w kobiecym ciele. Całowanie odbywało się twarzą w twarz, oko w oko i wymacało udziału obu stron.

Odwrócił się w stronę swojej świeżo poślubionej żony i położył dłonie na jej ramionach. Zniżył głowę i chwilowo zamarł w tej pozycji. Zdawało się, że całe zgromadzenie także wstrzymało oddech.

Nie potrafił spojrzeć Marcie w oczy, obawiając się, że dostrzeże w nich ślad niepokoju bądź krytyki. Dlatego skoncentrował się na jej wargach. Były ładnie wykrojone i miały kolor gotowych do zerwania brzoskwiń w ich rodzinnym sadzie. Drżały lekko. Pochylił głowę i dotknął ich swoimi ustami. Były wystarczająco uległe, by zaciekawić go, i wystarczająco ponętne. Poddał się im i przycisnął je odrobinę pewniej. Następnie szybko cofnął głowę. Uśmiechnęła się. On również, ale jego uśmiech wyrażał tylko uprzejmość.

Na szczęście od razu dostał się w uściski matki Marcie. Pani Johns z entuzjazmem potrząsała jego ręką, witając go w rodzinie. W czasie gdy prawil swojej nowej teściowej stosowne uprzejmości, oblizał wargi i... poczuł na nich smak Marcie.

- Kiedy twoi rodzice wracają do Houston?

- Jutro rano.

Chase pomógł Marcie zdjąć futrzaną kurtkę i powiesił ją na wieszaku stojącym przy wejściowych drzwiach. Ich drzwiach.

- Dlaczego tak się spieszą? Czemu nie zostaną tu jeszcze na kilka dni?

- Od czasu gdy przeszli na emeryturę, jedynym ich zajęciem stała się gra w golfa. Nie chcą opuścić zawodów. A poza tym obawiają się, że ich przebywanie tutaj może zakłócić nasz miodowy miesiąc.

- Ach! - Zdjął marynarkę. Zadowolony, że wreszcie się od niej uwolnił, rozprostował ramiona, poruszał nimi, po czym poluzował krawat. - Otworzymy szampana?

- Jasne, czemu nie? - Jej wesołość sprawiała wrażenie wymuszonej. Zdjęła z głowy kapelusz, położyła go na końcu stołu, po czym udała się po kieliszki. - Przygotowanie dla nas szampana to dowód wielkiej troskliwości ze strony Lucky'ego. Zwłaszcza że od początku był tak przeciwny naszemu małżeństwu.

- Co skłania cię do takiego sądu? - Wyciągnął korek i napełnił kieliszki.

- Żartujesz! Musiałabym być ślepa, żeby nie widzieć jego dezaprobaty. Za każdym razem, gdy na mnie spogląda, wyraźnie się chmurzy.

- To nie na ciebie patrzył spode łba. To na mnie. On się po prostu obawia, że zamierzam nas oboje unieszczęśliwić.

- A zamierzasz?

Ich wzrok połączył się na chwilę. Chociaż usta miała wy-

krzywione w uśmiechu, nie mógł uznać jej pytania za figlarne czy fry wolne.

- Będę robił, co w mojej mocy, żeby tak się nie stało, Marcie.

- To mi wystarczy. - Stuknęli się kieliszkami.

Nie spuszczać z siebie wzroku, małymi łydkami popijali zimny, spieniony szampan.

- Jesteś głodny? - zapytała.

- Trochę.

Poszli do kuchni. Gdy oddalała się od niego, Chase zauważył, że wąska spódnica, jaką miała na sobie, uwydatniała również jej zgrabne nogi. Jeszcze bardziej poluzował krawat i zastanowił się, czemu ogrzewanie nastawione jest na maksimum.

Aby stłumić narastający niepokój, odezwał się:

- Poza tym nie rozumiem, jak Lucky ma czelność krytykować mnie, jeśli chodzi o wybór żony. Przecież on ożenił się z Devon, gdy tylko się poznali.

- Pamiętam. Był to głośny skandal w owym czasie. Ożenił się z kobietą, z którą spędził noc, by mieć alibi, gdy nastąpiło podpalenie.

- Trzeba przyznać, że okoliczności sprzyjały temu małżeństwu.

- Tak, to prawda. A widząc ich teraz razem, nikt nie może mieć wątpliwości, że są dla siebie stworzeni. - Otworzyła lodówkę i wykrzyknęła: - O, Boże! Spójrz, Chase! - Wyjęła wielki, opakowany w celofan koszyk, wypełniony serami, owocami, szynką w puszcze i pudełkiem czekoladek. - Jest przy nim kartka. - Otworzyła białą kopertę i przeczytała na głos: - „Z pozdrowieniami i życzeniami szczęścia”. To od twojej mamy i Sage. Czyż to nie urocze?!

Podszedł do baru, gdy odwijała folię.

- Istotnie, miłe.

Czuł ogromną życzliwość dla siostry, ponieważ uchroniła go przed popełnieniem niewybaczalnego *faux pas*. Nieco wcześniej w ciągu dnia spytała go, jaki bukiet zamówił dla

Marcie. Zawstydzony, przyznał, że myśl o bukiecie nawet nie zaświtała mu w głowie.

Sage, w panice, obiecała, że weźmie tę sprawę na siebie. Dwie godziny później, w samą porę, pojawiła się ze ślubnym bukietem białych róż, białych lilii i białych frezji, który teraz leżał na barze obok koszyka z upominkami. Jak się okazało, nie była to jedyna rzecz, jaką Sage mu załatwiła. Widząc teraz zadowolenie na twarzy Marcie, gdy odpakowywała smakołyki, Chase poczuł głęboką wdzięczność dla matki i siostry, że o tym pomyślały.

- Musiały zostawić to wtedy, gdy byli tu moi rodzice. Pewnie w tym czasie byłam u fryzjera. Chcesz trochę sera?

Trzymała kawałek łagodnego szwedzkiego sera tuż przy jego wargach. Zjadł go wprost z jej ręki.

- Dzięki!

- Cała przyjemność po mojej stronie. Nowożeńcy robią l o zazwyczaj z weselnym ciastem.

- Powinniśmy mieć tort.

- Nic nie szkodzi. Lubię robić niektóre rzeczy nietradycyjalnie. - Uśmiechnęła się, chociaż w jej głosie wyczuł nutkę smutku. Nie tak prędko zniknęła. - Jeżeli będę cię karmił tak po kawałku, pozostaniesz głodny. Rozpal ogień w kominku, a ja w tym czasie zorganizuję wszystko. Byłam zbyt zdenerwowana, by przełknąć cokolwiek w czasie lunchu.

Zanim ogień rozpalił się jasnym płomieniem, zjawiła się przy nim w salonie, niosąc talerze wypełnione krakersami, serem, kawałkami jabłek i gruszek oraz pokrojoną w plasterki szynką.

Zsunęła buty, zdjęła żakiet od kostiumu i usadowiła się wygodnie w skórzanym fotelu, tym samym, na którym siedziała siedemdziesiąt dwie godziny temu, tuż przed złożeniem mu propozycji małżeństwa.

Tego popołudnia, po raz pierwszy od wielu dni, pojawiło się słońce, co Chase uznał za dobry omen. Teraz ześlizgiwało się za horyzont, nadając niebu widzianemu przez szklaną ścianę jasny kolor.

Marcie promieniała tak jasno jak światło ognia, co zauważył Chase, zjadając powoli przygotowaną dla niego porcję. Jej spódnica i bluzka miały prawie ten sam kolor kości słoniowej co skórzane obicie fotela, w którym się zagłębiła. Monochromatyczne tło podkreślało kolor włosów. Miętko wyglądająca bluzka z jedwabiu pasowała do jej kształtów w jakiś zwodniczy, niepokojący sposób.

- Chase?

Jej pełen wahania głos sprawił, że oderwał od niej wzrok.

- Hmm?

- Czy ciekawi cię, jak wyglądam bez ubrania?

Usta otworzyły mu się i pozostały rozwarte przez kilka dobrych sekund.

- Sądzę, że podświadomie tak, natomiast świadomie myślałem o tym, jak ślicznie wyglądasz w świetle ognia. Twoje rumieńce współgrają z nim. Nawet twoje oczy są tego samego koloru co te niebieskie płomienie.

- Nie prowokowałam pochwał.

- Wiem.

Odstawiła talerz i sięgnęła po kieliszek szampana, który zdążył już powtórnie napełnić. Wpatrując się w musujący płyn zapytała:

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, jak wyglądam, nie mając nic na sobie? - Nie dając mu sposobności udzielenia odpowiedzi, dodała w pośpiechu: - Nieważne. Wiem, że się nie zastanawiałeś. - Nerwowo pociągnęła łyk szampana.

- Nieprawda. Zastanawiałem się.

- Tak?

- Tak.

- Kiedy?

- O ile się nie mylę, chodziliśmy wtedy do jedenastej klasy. Był właśnie koniec roku szkolnego. Dzień rozdawania nagród. Weszłaś na podium, by odebrać jedno z twoich licznych wyróżnień. Ja siedziałem tam jako gospodarz klasy. Szłaś w świetle reflektorów, które padało z tylnej części auditorium. Przeświecało ci przez bluzkę, tak że mogłem do-

jrzyć zarys sylwetki. Pamiętam, że wtedy, pewnie jak każdy siedemnastolatek, pomyślałem sobie, jak byś wyglądała nago.

Zaśmiała się niskim, gardłowym śmiechem.

- Zastanawiałam się wtedy, czy zauważyłeś. - Zaskoczenie na jego twarzy sprawiło, że ponownie się roześmiała. - Dokładnie pamiętam, gdzie siedziałeś. Gdy cię mijałam, celowo wypięłam biust do przodu.

- Wygłupiasz się!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Próbowałam zwrócić twoją uwagę. Taka niewielka prowokacja - dodała, strząsając ze spódnicy niewidoczny pyłek. - Twoja ciekawość nie była jednak do tego stopnia rozbudzona, żebyś próbował sprawdzić, jak wyglądam nago.

- Chodziłem wtedy z jakąś dziewczyną. To była chyba Linda...

- Nie. Debbie Aldrich.

- Och, racja, Debbie. Zerwaliśmy ze sobą latem, przed ostatnią klasą.

- I wtedy zacząłeś się umawiać z Lorną Fitzwilliams.

Pokręcił głową.

- Jak możesz to pamiętać?

- Po prostu pamiętam - odparła miękko. Wysączyła resztę szampana z kieliszka, po czym wstała.

- Chcesz trochę czekoladek czy zostawimy je na jutro?

- Na jutro. Jestem zbyt syty.

Uśmiechnęła się dziewczęco.

- W porządku. Przynajmniej będziemy mieli coś, na co można oczekiwać. - Zostawiła żakiet i pantofle tam, gdzie je rzuciła, i skierowała się w stronę schodów. - Pójdę na lióre.

- W porządku.

- Zobaczymy się za chwilę. - Końcówka zdania nabrała charakteru pytania.

- Jasne. Tylko zgaszę ogień.

Nadal wspinała się po schodach. Gdy dotarła do sypialni,

spojrzała na niego i uśmiechnęła się czarująco, po czym zniknęła w środku, zamykając drzwi za sobą.

Chase potarł dłońmi uda w górę i w dół. Następnie zebrał naczynia i wyniósł je do kuchni. Koszyk z prezentami skrupulatnie umieścił w lodówce. Z poczucia obowiązku podszedł do drzwi, by sprawdzić, czy są zamknięte. Włączył system alarmowy. Zgasił ogień.

Kiedy nie pozostało już nic do zrobienia, skierował się na górę. Mniej więcej w połowie drogi zmienił zamiar. Bardzo cicho podszedł do barku, wyciągnął z sekretarzyka butelkę whisky i dopiero wtedy udał się do pokoju.

Wszedł do przylegającej do sypialni łazienki, napełnił szklankę do mycia zębów whisky i połknął ją jednym haustem. Alkohol wypełnił mu oczy łzami i poparzył podniebienie, ale po chwili rozszedł się miłym ciepłem po całym ciele. Pomógł w jakiś sposób uwolnić się od niepokoju, jaki odczuwał.

Jak, do diabła, zamierzał przez to przejść?

Przeklęty Lucky! To on właśnie zasadził w głowie Chase'a tę samokiełkującą myśl. Niemniej nie mylił się mówiąc, że przygoda trwająca jedną noc to coś całkowicie odmiennego od nocy poślubnej.

Kobieta, która czekała na niego w sąsiedniej sypialni, nie była jedynie rozpalonym ciałem. Miała osobowość, uśmiech i serce, które nie zasłużyło sobie na to, by je łamać. Czuł, że może niewiele z siebie dać, i obawiał się, że to nie wystarczy.

„Do cholery, przecież ona o tym wie!

Ona o to prosiła.

Sama powiedziała, że weźmie tyle, ile może jej dać, i nie będzie spodziewać się niczego więcej”.

Zdjął koszulę i pozostał w spodniach. Bandaż wydawał się bardzo biały na tle jego opalonej piersi i ciemnych spodni. Zdjął buty i skarpetki. Przeczesał włosy szczotką. Umył zęby. Pokropił się wodą kolońską. Dla dodania sobie odwagi skusił się na kolejny łyk whisky.

Następnie usiadł na krawędzi łóżka i wlepił wzrok w drzwi. Zachowywał się jak dziecko, które siedzi w poczekalni u lekarza i wie, że musi dostać zastrzyk. Najgorszy był strach przed tym. Powodował kurczenie się żołądka i pocenie dłoni. Im bardziej to odwlekał, tym gorsze się stawało. Najlepiej wziąć się w garść i mieć to za sobą. Wstał, wyszedł z pokoju i pomaszerował wzdłuż galerii. Zapukał do zamkniętych drzwi jej sypialni.

- Wejdz, Chase.

W pokoju stały wazony świeżych kwiatów i paliły się świece. Zapach był cudowny i upajający, działał prawie jak whisky.

Ogarnął wzrokiem cały pokój, po czym spojrzenie jego spoczęło na Marcie. Wydawała się anielską wizją, gdy stała przy królewskim łożu, nakrytym satynową pościelą w pastelowym kolorze wnętrza muszli.

Miała na sobie jasny jedwabny peniuar. Pod nim wyraźnie rysował się kształt ciała. Bez trudu zlokalizował wzniesienie biustu i wgłębienie ud. Włosy miała rozpuszczone. Światło świec powodowało, że wyglądały jak otaczająca głowę aureola. Za to wyraz jej oczu daleki był od niewinności. Uczyniła wszystko, by podkreślić osobliwość tej nocy. Miała się odbyć typowa noc poślubna kochanków.

- Pomyślałam, że może będziesz miał ochotę na szampana. - Wskazała srebrny, napełniony lodem kubełek stojący na nocnej szafce. Wśród lodu znajdowała się nie otwarta jeszcze butelka, którą musiała tu przynieść wcześniej. Obok stały dwa kryształowe kieliszki w kształcie tulipanów.

- Nie, dziękuję - odparł.

- W porządku!

Nie pozostawiało wątpliwości, że spodziewała się, iż on podejmie inicjatywę. Poruszając się sztywno, przeciął pokój i zbliżył się do niej. Wiedział, że oczekiwała, aby powiedział coś miłego.

- Podoba mi się... twój strój. - Wykonał gest w stronę nocnego szlafrocza.

- Dziękuję. Miałam nadzieję, że ci się spodoba.

Czekała na pocałunek. W porządku. Mógł się na to zdobyć, całował dziewczyny od lat.

Otoczył ją ramionami i przycisnął do siebie, tak by ich ciała się zetknęły, pocałował ją w czoło, następnie w policzek, aż w końcu musnął wargi.

Zapraszająco rozchyliła usta. Miała słodki i czysty oddech. Doświadczył uczucia zaciekawienia. Czy powinien się do tego przyznać, ulec swojej chęci? Czy powinien się zdobyć na głęboki pocałunek? Była to miła i kusząca perspektywa.

. Ale nie. Nie zrobi tego. Przytrzymał przez kilka sekund zaciśnięte wargi przy jej ustach, po czym podniósł głowę. Był to najbardziej suchy, sztywny i pozbawiony emocji pocałunek, jakim można kogokolwiek obdarzyć. Czuł, jak serce przyśpiesza swój rytm.

Te dziwne uderzenia zmusiły go do przyznania się przed sobą samym, że uczucie powstrzymujące go od intymnego całowania nie było niczym innym niż strachem - zimnym i silnym, którego nie można było pokonać, gdy już raz się pojawił. W ciągu dzisiejszego dnia już raz poczuł smak jej warg i to wspomnienie pozostało. Jeśli ulegnie teraz temu nagłemu pragnieniu...

Nieoczekiwanie zaprzątnęła jego uwagę inna myśl, jeszcze bardziej przerażająca niż poprzednie. Co będzie, jeśli zawiedzie go męskość? Nawet po większej ilości alkoholu nigdy mu się to nie zdarzyło. Żadna spośród kobiet, które miał w łóżku, nie kwestionowała jego fizycznej sprawności, gdy dochodziło do zbliżenia. Teraz mogło być inaczej.

Miał nadzieję, że tak się nie stanie. Jednak lęk przed porażką całkowicie go sparaliżował.

Marcie wyczuła jego zahamowania. Uśmiechnęła się i skrzyżowała ramiona na piersi, po czym wolno zsunęła cienkie ramiączka nocnej koszuli, obnażając się aż do szczupłej talii.

Biust miała wysoko podniesiony, okrągły i blady, a sutki chyba najbardziej różowe, jakie kiedykolwiek widział. Gdy zsunęła koszulę i dotknęła ich fala powietrza, skurczyły się i pociemniały; stały się twardsze.

Marcie pozwoliła koszulce osunąć się na podłogę. Wdzięcznie wyszła z tkaniny i stanęła przed nim naga. Miała szczupłe stopy o wysokim podbiciu. Jej długie nogi były niemal chude, ale nienagannie ukształtowane. Biodra nie wydawały się zmysłowe, choć były łagodnie zaokrąglone.

Najbardziej jednak przyciągał jego wzrok pęk kędziorków pokrywających wzgórek łonowy. Były rude, bujne i swawolne. Dotknął ich palcami.

Sprężyste. Żywe. Ponętne.

Ogarnęła go fala pożądania. W tym momencie zdał sobie sprawę, że musi przyśpieszyć. W przeciwnym razie nie będzie mógł się powstrzymać, by badać kolejno każdy cal jej porcelanowej skóry, ujmować ustami jej sutki i nurzać twarz w tej ognistej gęstwinie pomiędzy udami. Był skłonny do popełnienia jakiegoś głupstwa z powodu swojej dobrej kumpełki, Sówki Johns.

- Połóż się, Marcie - wyszeptał ochryple.

Pospiesznie obszedł pokój i zdmuchnął świece, obawiając się, że przy świetle może się nie udać, a w tej chwili desperacko pragnął, żeby to się stało.

Pozbył się własnego ubrania i poszperał w ciemności, szukając prezerwatywy. Naciągnął ją i położył się przy Marcie, klóra nagle poddała się jego ramionom. Czuł, że jest niewiarygodnie delikatna i krucha, gdy położył się na niej i rozwarł jej uda.

Jego wejście było tak gwałtowne i silne, że pomyślał, iż mógł ją zranić, ale ona nie wydała żadnego dźwięku prócz długiego przeciągłego westchnienia, gdy zaczął się w niej poruszać.

„Nie, do cholery, nie. Nie powinno mi się to podobać”.

Nie powinno sprawiać przyjemności. Nie mógł delektować się tym. Musiał się spieszyć. Musiał z tym skończyć, zanim się przyzwyczai. Zanim będzie chciał robić to przez całą noc. Zanim zechce robić to każdej innej nocy, do końca swojego życia.

Jego ruchy były gorączkowe. Co chwila nabierał powietrza

i pochylał głowę. Przypadkowo musnął policzkiem jeden ze sterzących sutków. Przekrzywił lekko głowę i - tylko po to, by jak najszybciej skończyć - przesunął po nim językiem.

Stało się. Było po wszystkim.

Gdy tylko przestało mu tętnić w skroniach i wrócił oddech, wstał i pozbierał swoje ubrania. Wziął je pod pachę i skierował się do drzwi.

- Chase? - Usłyszał szelest satynowej pościeli.

- Bola mnie żebra. Będę się wiercił całą noc. Nie chcę ci przeszkadzać - wymamrotał.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi z uczuciem, że ucieka przed śmiertelną, najbardziej wyrafinowaną torturą, jaka może spotkać mężczyznę.

Spłukała twarz zimną wodą, podniosła głowę znad umywalki i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Widok był zaiste przygnębiający. Po przepłakaniu większej części nocy oczy pozostały zapuchnięte i czerwone. Bez kosmetyków cera była blada o ziemistym odcieniu. Zdradzała każdy przeżyty dzień z tych trzydziestu pięciu lat.

Spytała własne odbicie, jak w ogóle odważyła się mieć nadzieję, że skusi tak przystojnego mężczyznę, który przecież mógł mieć każdą kobietę, jakiej tylko zapragnął. Nawet ta ostatnia, która przyszła go odwiedzić w szpitalu, miała więcej szans, by go zadowolić, niż ona, chuda, piegowata Sówka.

Łzy ponownie nabiegły jej do oczu, ale postanowiła zapobiec im. Zanurzyła się w gorącej kąpiel, którą sobie przygotowała. Woda podziałała na nią uspokajająco. Jego sposób uprawiania seksu był nie tylko szybki, ale również mocny i gwałtowny. Namydliła ciało i krytycznie je oszacowała. Ujęła piersi w dłonie, uniosła je i przytrzymała tak przez chwilę, żałując, że nie są cięższe i pełniejsze. Zaczęła nawet zastanawiać się, czyby ich operacyjnie nie powiększyć, ale odrzuciła tę myśl. Duże piersi nie sprawią przecież, że Chase Tyler ją pokocha.

Straciła nadzieję, że cokolwiek może wywołać ten efekt.

Rozpacz przenikała ją do szpiku kości. Żyła z nią już tak długo!

Wyjęła korek z wanny, wytarła się i zaczęła ubierać.

Już od czasu szkoły średniej Chase był dla niej ideałem, z którym nikt inny nie mógł się równać. Tak jak inni nazywał ją Sówką, ale w jego ustach nie brzmiało to najgorzej. Wyobrażała sobie, że używa jej przezwiska z pewną afektacją.

Oczywiście nie przyszedłoby mu nawet do głowy, by umówić się z nią na randkę. Istniało takie niepisane prawo, że ulubieńcy klasowi nigdy nie umawiali się z prymuskami. To psułyby stosunki koleżeńskie.

Po skończeniu średniej szkoły w Milton Point wstąpiła do college'u, wciąż pielęgnując w sercu nie odwzajemnioną miłość. Miała nadzieję, że wśród nowych szkolnych kolegów znajdzie kogoś, kto dorówna albo przewyższy Tylera. Gorączkowo biegła na randki - mężczyźni w college'u nie stawiali sobie za cel umawiania się jedynie z królowymi piękności, jak to było w przypadku chłopców ze średniej szkoły - ale przeszła cały college i nie znalazła nikogo odpowiedniego, kto mógłby zająć miejsce Chase'a w jej sercu i umyśle.

W końcu z ulgą przyjęła wiadomość, że rodzice opuszczają Milton Point i przeprowadzają się do dzielnicy emerytów w Houston. Nie była już dłużej skazana na to, by niezmiennie wysłuchiwać historii o romantycznych eskapadach Chase'a i jego brata albo opowieści o tym, że znowu widziano go w mieście w towarzystwie jakiejś pięknej kobiety.

Gdy usłyszała, że się ożenił, przepłakała całe dwa dni. Następnie wzięła się w garść i wyznaczyła sobie plan na resztę życia. Stwierdziła, że podsycanie iskiarki miłości w sercu to jedna sprawa, a obsesja to druga. Sytuacja taka była niezdrowa i demoralizująca. Ileż można tęsknić za mężczyzną, który w ogóle nie zdaje sobie sprawy z jej istnienia ani go to nie obchodzi?

Wkrótce po podjęciu tej ważnej decyzji rozpoczęła karierę w handlu nieruchomościami. Już w pierwszym roku odniosła sukces, plasując się na trzecim miejscu wśród najlepszych sprzedających w okręgu miejskim w Houston. Następnego roku zajęła pierwsze miejsce i przez kolejne dwa lata utrzymała tę pozycję.

Poznała mężczyznę, z którym się później zaręczyła. Tuż przed ślubem narzeczeństwo się rozpadło. Postanowiła otworzyć własną agencję i ku rozczarowaniu rodziców oraz przy-

jaciół za siedzibę wybrała sobie Milton Point, gdzie konkurencja była słaba.

W Milton Point zjawiła się dokładnie dwa lata wcześniej, zanim Tania zechciała skorzystać z jej usług. Pani Tyler była piękna zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz. Marcie bardzo cieszyła się z poznania jej. Czuła się zdecydowanie lepiej, wiedząc, że Chase ożenił się z kimś takim.

Nigdy jednak nie zdarzyło jej się widzieć ich razem. Do czasu, gdy dokonała rzeczy najtrudniejszej w swoim życiu, to jest gdy poszła do biura Spółki Wiertniczej Tylera i wymieniła uściski dłoni z Chase'em, jakby nie był dla niej nikim więcej niż tylko szkolnym kolegą, którego długo nie widziała.

Przygarnął ją wtedy do siebie i uściśnął. Mogła go dotknąć, poczuć, a serce omal jej nie wyskoczyło z piersi. Wydawał się szczerze zadowolony, że ją widzi. Ale całował i trzymał w ramionach swoją żonę, nic nie wiedząc o tym, że łamie serce Marcie.

Później Tania umarła w jej samochodzie. Leżąc w szpitalu, ranna Marcie zносиła Bogu modły z prośbą o jakieś wyjaśnienie. Dlaczego stało się to właśnie jej? Czemu obciążył jej sumienie śmiercią kobiety, której męża kochała i poprosiła?

Przysięgła sobie wtedy, że kiedyś wynagrodzi mu tę stratę.

I teraz powtórzyła to ślubowanie. Zrobi coś takiego, że wreszcie Chase zacznie żyć pełnią życia mężczyzny, tak jak przed wypadkiem, chociażby miało to oznaczać, że będzie ją kochał, angażując w to wyłącznie seks.

Rano, gdy weszła do kuchni, odwrócił się.

- Dzień dobry. - Jego oczy zatrzymały się na niej tylko przez ułamek sekundy.
- Dzień dobry, Chase. Dobrze spałeś?
- Nieźle.
- Wcześniej wstałeś!
- No cóż, przyzwyczajenie.
- Gdybym wiedziała, że jesteś już na nogach, zeszedłbym na dół wcześniej.

- Och, nic nie szkodzi. Nastawiłem już kawę. Powinna być gotowa za kilka minut.

- Jak tam twoje żebra?

- Moje co?

Skinęła głową w stronę bandaża opasującego klatkę piersiową. Miał na sobie jedynie parę starych, wypłowiałych, zapinanych na guziki džinsów. Gdy na nie spojrzała, kolana się pod nią ugięły. Miękki materiał opinał się na jego ciele, uwydatniając męskość.

- Twoje żebra! Wczoraj w nocy mówiłeś, że cię bołą.

- Ach, tak, prawda. - Po kolei otwierał i zamykał drzwiczki szafek, szukając filiżanek i spodeczków. - Dziś jest już lepiej.

To upewniło ją, że wczorajsza wymówka była tylko po to, by mógł opuścić jej łóżko. Po prostu nie chciał z nią spać. Chociaż wniósł cały swój dobytek do oddzielnej sypialni, miała nadzieję, że jak zaczną się kochać, to...

Poczuła pieczenie w gardle.

- Co chcesz na śniadanie? - spytała.

- Kawę.

- Przecież to dla mnie żaden problem przyrządzić ci coś. Powiedz tylko, na co masz ochotę.

- Nic, naprawdę. Tylko kawę.

- Usiądź. Ja naleję.

Usiadł przy barze na stołku. Po chwili dołączyła do niego. W milczeniu sączyli kawę. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę.

Czy tak to już będzie wyglądać? Będą mieszkać w tym samym domu, dzielić wspólne pomieszczenia, oddychać tym samym powietrzem, od czasu do czasu mieć kontakty seksualne, ale na jak długo to wystarczy?

- Dzisiaj znowu mamy słońce - odezwała się głupio.

- Może się ociepli?

- Może. - Po kolejnej chwili ciszy zapytała: - Jakie masz plany na dzisiaj?

- Powiedziałem Lucky'emu, że spotkam się z nim rano

w biurze. Chociaż mówił, że nie muszą się czuć zobowiązani, by przyjść, bo to, no wiesz, pierwszy dzień po ślubie. Odparłem, że to nie gra roli... Nie masz nic przeciwko temu, prawda? - dodał po krótkiej przerwie.

- Nie, oczywiście, że nie. - Miała nadzieję, że nie zauważy, jak niepewny jest jej uśmiech. - Ja również zamierałam iść do biura.

- No, to idę się przebrać. - Odstawił pustą filiżankę i wstał.

- Może powinieneś pójść dzisiaj do lekarza, żeby obejrzał, jak się to goi?

Dotknął bandaża.

- Istotnie, przydałoby się. Nawet nie wiesz, jak mnie to irytuje. Wychodzę za chwilę.

Wszedł po schodach na górę, a Marcie nadal siedziała przy barze, próbując się opanować, by nie rozplakać się z frustracji i rozczarowania. Miała nadzieję, że spędzą ten dzień razem, może niekoniecznie w łóżku, jak to było w zwyczaju nowożeńców, ale poznając się wzajemnie.

Wyobrażenia, że jest nią zainteresowany, nie może się od niej oderwać, leżą w łóżku przez cały dzień, badając swoją nagość oczami, rękami i ustami, zaspokajając swoje pragnienia - sprawiały jej wiele radości.

Niestety, była to tylko fantazja. Zajęty swoimi sprawami, wychodził do pracy. Po prostu kolejny zwykły dzień. W swoim mniemaniu wypełnił część transakcji. Gdy pomyślała o tym, wstała i poszła do pokoju, który służył jej za biuro.

Zanim zszedł na dół, czekała na niego przy schodach. Przytrzymała płaszcz z jagnięcej skóry, by łatwiej mu było wsunąć ręce w rękawy.

- O której będziesz w domu? - spytała, poprawiając mu kołnierz.

- Koło piątej.

- Będzie dobrze, jeśli przygotuję obiad na szóstą?

- Tak, świetnie.

Dyskretnie sięgnęła pod płaszcz i wsunęła w kieszeń kieszulki białą kopertę.

Cofnęła rękę, pogłaskała go po torsie, po czym wspięła się na palce i szybko pocałowała w usta.

- Wobec tego do zobaczenia.

Skłonił głowę.

- Tak, do zobaczenia.

Ruszył pospiesznie w stronę drzwi, jakby cały dom był w ogniu.

Marcie nigdy nie wychodziła do biura o tak wczesnej porze. Kucnęła przy palenisku, wzięła do ręki pogrzebacz i z przygnębieniem zaczęła wygrzebywać węgielki spod zimnego popiołu. Dmuchając na nie, ostrożnie dokładała nowe drewnka i obserwowała, jak się rozpalają.

Widząc, jak prędko nowe płomienie pochłaniają drewno, zaczęła żałować, że nie może tak łatwo i szybko rozpalić namiętności męża. Chociaż teraz wydawało się to beznaziejne, postanowiła, że jeśli tylko istnieje na to jakiś sposób, znajdzie go. W dzieciństwie udało jej się ukrócić - w większości nie zamierzone - okrucieństwa ze strony rówieśników. Szczęśliwie zgromadziła fortunę i zaskarbiła sobie szacunek kolegów. Nie była już traktowana jak Sówka.

Jednak wszystkie te cele błędły w porównaniu z tym jednym, by Chase ją pokochał. Pieniądze, jakie zainwestowała, nie liczyły się. Zaryzykowała przecież o wiele więcej - własną dumę, kobiecość, przyszłe szczęście. Gdy wchodziło w grę tak wiele, musiała zrobić wszystko, żeby się to udało.

Kilkakrotnie przekładał białą kopertę z ręki do ręki, zanim zdobył się na otwarcie jej. Czek wystawiony był na jej konto i wypisany imiennie na niego. Miała wystarczająco dużo wrażliwości, by nie zlecić tej operacji bankowi. Dzięki temu oszczędziła jego dumę. Przeprowadzenie transakcji w taki sposób, by mógł zachować twarz, było całkowicie jej zasługą. Suma, na jaką opiewał czek, była olbrzymia - więcej, niż

potrzebował. Ta nadwyżka pozwoli zaspokoić potrzeby kapitału operacyjnego na kilka miesięcy.

Z irytacją cisnął czek na biurko i podszedł do okna. Nie widzący wzrok skierował na mętną szybę.

Czuł się podle.

Chociaż z jej ust nie padło ani jedno słowo krytyki czy skargi, wiedział, że musiał ją zranić ostatniej nocy.

Zostawił ją rozdrażnioną, a może nawet pogrążoną w bólu, co sprawiło, że czuł się jak brutal. Miał już na końcu języka słowa wyrażające troskę, ale nie wypowiedział ich, nie chcąc poruszać tematu nocy poślubnej.

Obawiał się, że gdy zaczną o tym rozmawiać, nie da się pominąć sprawy jej emocji, a to byłoby dla niego zbyt trudne do zniesienia. Mógł obiecać, że nigdy więcej nie zrani jej fizycznie, ale uczuciowo?

Wyraźnie było widać, że oczekiwała, iż spędzą ten dzień razem w domu. Mówiła, że planowała pójście do biura, ale odkąd to wkłada się do biura powłóczytą piżamę i ranne pantofle?

Nie potrafiliby spędzić z nią sam na sam tego dnia, trzymając się z dala od sypialni. Do diabła, nie mogłoby tego uniknąć, więc jak tchórz bez charakteru uciekł od niej ze świadomością, iż opuszcza ją nie dlatego, że było tak źle, tylko dlatego, że było tak cholernie dobrze.

Musiała być przekonana, że odszedł w nocy, gdyż go nie pociągała, podczas gdy prawdą było coś dokładnie przeciwnego.

Przeczesał dłonią włosy i zaklął. Do wczoraj nie miał poczucia winy z powodu tego małżeństwa. Teraz czuł się winny. Przyprawiało go to niemal o mdłości. Trawiło jak podstępna bakteria.

„Stań z tym wreszcie twarzą w twarz”. Zeszłej nocy nie chciał opuszczać jej łóżka. Pragnął kochać się z nią po raz drugi, trzeci. To nie zdarzyło się od czasu Tani.

Przyłożył czoło do zimnej szyby w oknie i zacisnął mocno powieki, by odsunąć od siebie obraz Marcie, gdy stała przy

łóżku, a za ubranie służyło jej jedynie złote, migocące światło świec. Porcelana i ogień.

Gdy pomyślał o jej zuchwałych sutkach, znowu zapragnął posmakować ich czubkiem języka, dotknąć wargami...

Tak pograżył się w marzeniach, że nie zauważył, jak Mustang Lucky'ego bierze zakręt i wolno podjeżdża pod budynek. Gdy jego brat wszedł do biura, w marszu zsuwając kurtkę z ramion, Chase aż podskoczył.

Lucky z niedowierzaniem spojrział na niego.

- Co ty tu robisz?

- Pracuję.

• - Nie wygłupiaj się! Pytam, co robisz tu dzisiaj. Gdzie twoja panna młoda?

- Prawdopodobnie w swoim biurze.

- To oryginalny sposób spędzania miodowego miesiąca!

Chase zmarszczył brwi, mając nadzieję, że w ten sposób słłumi ciekawość brata. Lucky jednak nie przejął się tym.

- I jak było?

- Co?

• - Udajesz tępaka?! - wykrzyknął Lucky, kładąc ręce na biodrach. - Pytam o ostatnią noc. Jak poszło?

- Czyżbyś spodziewał się szczegółowego sprawozdania?

Na twarzy Lucky'ego zagościł szeroki uśmiech.

- Czy celowo użyłeś słowa „szczegółowy”?

> - Nie twój zakichany interes.

Lucky parsknął śmiechem. Jego uwagę przykuł czek leżący na biurku. Podniósł go, odczytał kwotę i zagwizdał.

- Widocznie zrobiłeś coś, co się pani bardzo spodobało.

Musiałeś to zrobić nieźle.

- - To wcale nie jest zabawne! - Wyrwał bratu czek z ręki. - I radzę ci, trzymaj się z dala od mojej żony i moich osobistych spraw.

Wciąż chichocząc, Lucky podszedł do dzbanka i nalał sobie filiżankę gorącej kawy, którą Chase dopiero co zaparzył.

- Miej się na baczności, wielki bracie. Zaczynam pode-

jrzewać, że wszystkie argumenty, które zgromadziłeś, by ozenić się z Marcie, były po prostu lipą.

- Idź do diabła! - Chase okrążył biurko i usiadł. - Zamiast wysilać się i udawać bystrego i sprytnego, przeczytaj!

Zdażył zakreślić artykuł w dziale interesów w porannej gazecie. Gdy Lucky skończył czytać, Chase zapytał:

- I co o tym myślisz?

- Nie wiem - odparł Lucky, unosząc brwi. - Oni są spoza stanu. Nic o nas nie wiedzą.

- Nie znają nikogo z tego rejonu, oto dlaczego ubiegają się o oferty. Szukają kogoś z aparaturą wiertniczą i z fachową obsługą.

- To świadczy o tym, że dysponują niewielkim kapitałem.

- Niewielki jest zawsze lepszy niż żaden. Dzięki Marcie i jej pożyczce możemy wejść z niską ceną. Może nie zwojujemy wiele, ale zawsze to będzie coś.

Po raz pierwszy od dwóch lat Chase poczuł rosnące podtekscytowanie pracą. Na horyzoncie pojawiło się nikłe światło optymizmu. Kontrakt, jakkolwiek kontrakt, postawi go na nogi. Jego podniecenie najwyraźniej udzieliło się bratu.

Lucky wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Do diabła, czemu nie? Skoro i tak nie mamy innych lepszych propozycji, zajmijmy się tą!

Wpadł do domu za pięć piąta, zapalony, by przedyskutować z Marcie perspektywę nowego interesu. Już od drzwi głośno wołał żonę.

- Och, tu jesteś! - Ujrzał ją w holu stojącą obok stolika z telefonem. Powiesił płaszcz na wieszaku. - Nie zgadniesz, co się stało! Czytałem dzisiaj... - Dopiero teraz zwrócił uwagę na wyraz jej twarzy i natychmiast przerwał. - Co się dzieje?

- Nic. - Odwróciła się szorstko. - Zacząłeś mówić z takim entuzjazmem. Chodź do kuchni i opowiedz mi o wszystkim.

Po chwili skierował wzrok na telefon, słuchawka była odłożona.

- Miałaś kolejny telefon?

Nie odpowiedziała.

- Czy to znowu on dzwonił?

Przełykając łzy, skinęła głową.

- Co mówił?

Spuściła wzrok, wdrygnęła się.

- W większości to samo co zwykle. Nieprzyzwoite propozycje, lubieżne opowieści.

- To dlaczego po prostu nie odłożyłaś słuchawki?

- Wydawało mi się, że jeśli posłucham, to może uda mi się rozpoznać jego głos.

- No i co?

- Nie rozpoznałam.

- To jeszcze niecała prawda, czy tak? - Patrzył jej w oczy. - No, dalej, Marcie! Co jeszcze?

- On... on powiedział, że zawarcie przeze mnie związku małżeńskiego nie sprawia mu żadnej różnicy. Ma zamiar nadal dzwonić.

- Powiedziałaś mi, że wyszłaś za męża? - spytał z niedowierzaniem.

- On o tym wiedział.

- Boże! - Dopiero teraz Chase zdał sobie sprawę, dlaczego ten właśnie telefon tak ją zaniepokoił. - To znaczy, że facet ma cię na oku. Wie, co robisz i kiedy.

- To znaczy tylko tyle, że czyta gazety. Zawiadomienie o naszym ślubie ukazało się na pierwszej stronie w porannym wydaniu. A teraz skończmy już z tym! Przygotuję ci drinka, a ty w tym czasie opowiedz mi, jakie przynosisz rewelacje.

Poszedł za nią do kuchni.

- Zamierzam zadzwonić do Pata i zlecić mu założenie podsłuchu.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił, Chase.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie chcę, żeby podsłuchiowano wszystkie rozmowy telefoniczne. Często zdarza się, że klienci opowiadają mi o swoich prywatnych sprawach, nierzadko finansowych. Są to informacje przeznaczone jedynie dla moich uszu. Wcześniej czy później ten facet zniechęci się i przestanie dzwonić.

- I będzie cię straszyl za każdym razem, gdy zadzwoni.

- Nie jestem przestraszona. Jedynie zaniepokojona.

- Marcie, widziałem twoją twarz. Byłaś przestraszona.

Instynktownie wziął ją w ramiona i znowu poruszyło go, jak delikatna jest w jego objęciach. Oparł brodę na czubku jej głowy, a ramionami objął ją w talii.

- Nie mogę znieść myśli, że podnosi mu się ten chorobliwy pałak, gdy szepcze do ciebie lubieżne słówka.

Przeszył ją dreszcz, oparła policzek o jego pierś.

- Doceniam twoją troskę.

Pozostali w tej pozycji parę chwil. Trzymanie jej w objęciach stało się tak miłe, że Chase nagle pomyślał, czy nie zanieść jej na górę do łóżka. Przecież potrzebowała pocieszenia. Jako mąż powinien zrobić dla swojej żony przynajmniej to, by dodać jej otuchy w chwili, gdy nie czuła się bezpiecznie.

Jedyną rzeczą, która go przed tym powstrzymywała, było mgliste podejrzenie, że chęć pocieszenia nie stanowiła jedynej motywacji.

Na szczęście Marcie rozwiązała za niego ten problem, nie musiał dokonywać wyboru. Odsunęła się nieco od niego, zatrzymując dłonie na jego torsie.

- Nie masz już bandaża, jak widzę.

- Byłem dziś u lekarza. Zdjął go, zbadał mnie i oświadczył, że jest już dobrze.

- Czy to bolało?

- Było nieprzyjemne, bo przed założeniem opaski ogolili mi pierś!

Skrzywiła się.

- Mogę to sobie wyobrazić.

- Ach, tak? - zażartował. - Nie zauważyłem wczoraj w nocy owłosienia na twoich piersiach.

To nieumyślne wspomnienie sprawiło, że Chase odruchowo spojrzął na jej biust. Chociaż miała na sobie gruby sweter, jego pamięć przeniknęła przez ubranie jak promienie X.

Ujrzał w żywych kolorach młeczne wzniesienia jej piersi i delikatne różowe sutki, gładki, sprężysty brzuch i kuszące miejsce między udami. Z gardła wyrwał mu się cichy jęk, który zatuszował nienaturalnie brzmiącym kaszlem.

Marcie podeszła do baru i zajęła się przygotowywaniem drinków. Wręczając mu whisky z wodą, odezwała się:

- Usiądź i opowiedz mi, co było przyczyną twego podniecenia.

Wątpił, czy naprawdę chce się tego dowiedzieć. Stali bardzo blisko siebie. Czy nie wyczuła jego pobudzenia?

Obserwował ją, gdy przygotowywała obiad. Policzki miała nienaturalnie zaróżowione, co mogło być spowodowane gotowaniem w kuchence. Z jednego z garnków unosiła się para, sprawiając, że kosmyki włosów spadające luźno po obu stronach twarzy skręciły się w spiralki.

Usiłując stłumić pożądanie, które ogarnęło go w niewła-

ściwym momencie, zaczął opowiadać jej o perspektywach, jakie rozwijał przed nimi kontrakt wiertniczy.

- Lucky i ja spędziliśmy cały dzień nad tą propozycją. Opracowaliśmy wspólnie rozsądnie brzmiącą ofertę. Teraz możemy tylko czekać.

- Będę trzymać kciuki - zapewniła, odcedzając makaron.

- Sprzedałaś dziś jakiś dom?

- Wiesz, one nie sprzedają się tak po prostu - rzuciła przez ramię.

- A pokazywałaś jakieś?

- Niestety, tak.

- Niestety?

- Pracuję z jedną parą od miesięcy. To Harrisonowie. Wciąż nie mogą się zdecydować. Jedyną rzeczą, co do której są zgodni, to zamiłowanie do sprzeczek. Wątpię, czy kiedykolwiek zdobędę ich podpis na gotowym kontrakcie. Poza tym rozmawiałam z Sage. Wpadła, żeby się pożegnać przed wyjazdem do Austin.

- Baba z wozu, koniom lżej.

- Chase, nie mów tak, przecież ona uwielbia was.

- Jest taka jak ból w krzyżu.

Wyraz jej twarzy wskazywał, że nie traktuje poważnie jego inwektyw.

- A potem dzwoniła Laurie. Zaprosiła nas na lunch w niedzielę. Przyjęłam zaproszenie.

- Świetnie!

- Powiedziała również, że byłoby jej bardzo miło, gdybyśmy poszli z nią do kościoła. - Stała plecami do niego, polewając aromatycznym sosem makaron na talerzu. Gdy nie odpowiedział, natychmiast odwróciła głowę. - Chase?

- Słyszałem - odparł. - Po prostu pomyśl pójścia do kościoła niezupełnie mi się podoba. Nie byłem tam od pogrzebu.

Marcie wyprężyła się i zeszytniała. Przez chwilę panowała cisza. Następnie odłożyła łyżkę i rzekła dobitnie:

- To, w jaki sposób załatwiasz swoje porachunki z Bogiem, Chase, zależy wyłącznie od ciebie. Ale muszę ci przy-

pomnieć, że twoja pierwsza żona znajduje się poza naszym życiem. Nie możemy chodzić wciąż na palcach na dźwięk jej imienia. Nie zamierzam za każdym razem robić się błada i dostawać zawrotów głowy.

- Ja nie mam nic przeciwko temu.

Teraz naprawdę Marcie zrobiła się błada. Nawet jej usta straciły barwę. Odwróciła się i oparła o blat, jakby za chwilę miała osunąć się na podłogę.

Chase nagle pożałował swoich słów, wstał i podszedł do niej.

- Przepraszam, Marcie.

Chciał położyć ręce na jej ramionach, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Pomyślał o pojedynczym pocałunku w policzek, na który opadło kilka skręconych pasemek włosów. Na to również się nie odważył.

- Nie powinienem był tego mówić - dodał.

Odwróciła się twarzą do niego. Spodziewał się, że ujrzy ją we łzach. Zamiast tego jej oczy iskrzyły się gniewnie.

- Nie podoba mi się, że zmuszasz mnie do obchodzenia się z tobą jak z jajkiem, że we własnym domu muszę zawsze wpięrować przemyśleć, co zamierzam powiedzieć, i zastanowić się, jak to przyjmiesz.

W wyniku jej złości opanowanie Chase'a uległo zachwianiu.

- Wiesz doskonale, co czuję w związku z Tanią.

- Jakże mogłabym nie wiedzieć?

- Wobec tego zdajesz sobie sprawę, że rana wciąż krwawi.

- Tak - odparła, unosząc brodę do góry. - Doskonale mi to wyjaśniłeś, zanim się pobraliśmy. Jeśli nie zrozumiałam tego do końca wtedy, to ostatnia noc rozwiązała już wszelkie moje wątpliwości.

Próbowała przejść obok niego, ale zastąpił jej drogę.

- Ostatnia noc? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. Zapomnij o tym. Jeśli odsuniesz się, podam obiad na stół.

- Do cholery z obiadem! - Ujął ją palcami za brodę i zmu-

sił, by podniosła głowę. Ich oczy spotkały się. - Co było nie w porządku, jeśli chodzi o ostatnią noc?

Oznajmiła wyniośle:

- Nic, z twojego punktu widzenia. Dla mnie jednak było to dalekie od przyjemności.

Cofnął się o krok i zacisnął szczęki.

- Co takiego? Och, już chwytam. Zraniłem twoje uczucia, więc ty teraz odpłacasz mi tym samym.

Przewróciła oczami.

- Oszczędź sobie tych pozorów męskości. Myśl sobie, co ci się podoba. - Zamiast podać obiad na stół, skierowała się w stronę schodów. - Ponieważ doszedłeś do wniosku, że „do cholery z obiadem”, więc idę na górę. Jeśli będziesz mnie potrzebował, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Nie powinno być to dla ciebie zbyt trudne - dodała słodko. - Ubiegłej nocy udało ci się mnie znaleźć nawet po ciemku.

- Słuchaj! - krzyknął. - Ja wcale nie chciałem tego robić. Wyświadczyłem ci jedynie przysługę.

Zatrzymała się gwałtownie, obróciła i przesyłała go ostrym wzrokiem. Uniosła brew.

- Ach tak, panie Tyler. Proszę przyjąć do wiadomości, że z takiego rodzaju przysług jestem w stanie z łatwością zrezygnować.

- Wspaniale. Przynajmniej nie będę musiał ponownie podejmować wysiłku. Chyba że zamierzasz domagać się swoich praw jako żona.

- I po raz kolejny załapać się na „rach-ciach - dziękuję, proszę pani”? - Zaśmiała się szyderczo. - Musisz przyznać, że istotnie niewiele tracę, prawda?

Czuł, że krew uderza mu do głowy. Był wściekły. Miał cholerną ochotę rzucić się na nią, rozebrać do naga i pokazać dokładnie, co ma do stracenia. Ale niech go piekło pochłonie, jeśli wykona pierwszy krok, gdy tak bezlitośnie ośmieszyła jego sposób uprawiania seksu. Prędkiej da się posiekać na kawałki.

- Świetnie! - warknął. - Wobec tego pozostaniemy małżeństwem tylko z nazwy.

- Doskonale! - Okręciła się na pięcie i pomaszerowała na górę. Weszła do sypialni, trzasnąwszy drzwiami.

Kilka godzin później zastukała do drzwi Chase'a. Leżał w łóżku, ale nie spał. Paliło się światło. Kołdra leżała nie dbale. Głowę miał opartą o poduszki, gapił się w sufit.

Gdy usłyszał niespodziewane pukanie, serce mu zamarło. Spojrzał w stronę drzwi. Jednak ton jego głosu daleki był od serdeczności, gdy mruknął:

- Czego chcesz?

- Mogę wejść?

- Po co?

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

W tym wypadku wzruszenie ramionami zastąpiło inny sposób wyrażenia zgody, więc weszła. Jego zadowolenie z siebie ulotniło się, gdy zobaczył, jak była ubrana. Jej strój w niczym nie przypominał koszulki nocnej panny młodej, jaką miała na sobie zeszłej nocy, ale był równie seksowny, choć w nieco inny sposób.

Pizamka w różowe paski uszyta była w ten sposób, że spodenki wyglądały jak boksyerskie. Szerokie nogawki szortów dawały złudzenie, że nogi są dłuższe. Włosy miała spięte w koński ogon, była bosa. Wyglądała jak studentka z koedukacyjnego college'u. Piersi sterczały zuchwale pod koszulką i poruszały się płynnie, gdy przemierzała pokój. Przysiadła na skraju łóżka.

- Chase, przykro mi, że zachowałam się tak dziecinnie. Przypuszczam, że spowodowało to napięcie ostatnich kilku dni. Tyle się tego we mnie nagromadziło, że kiedyś musiało wybuchnąć.

Ponieważ to ona zaczęła, mógł sobie pozwolić na wielkoduszność.

- Ja również byłem na krawędzi - wymamrotał.

- Ugodziłam twoje męskie „ja” i przyznaję, że było to

niezasłużone. Ale uznałabym też za nieuczciwe udawanie, że ubiegłej nocy byłam usatysfakcjonowana.

Bojaźliwie spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok.

- Zrozum, Chase, oczekiwałam, że poświęcisz mi nieco więcej uwagi. Nie sądzę, żebym zaabsorbowała więcej twoich myśli niż prezerwatywa, której użyłeś.

Zacisnął szczęki. Czuł się diabelnie winny!

- Spodziewałam się, chciałam więcej... Pragnęłam więcej zaangażowania z twojej strony.

- Chciałaś orgazmu! - Celowo powiedział to bez osłonek. Jeśli ona mogła naigrawać się z jego męskości, dlaczego on miałby obawiać się nazywania rzeczy po imieniu?

- Chodziło mi o więcej uwagi i zaangażowania z twojej strony - powtórzyła.

- To powinnaś zatrudnić sobie żigolaka zamiast kupować męża. Mogłabyś mu płacić w zależności od liczby godzin bądź orgazmów zamiast przeprowadzać inwestycję tak dużych rozmiarów.

Nie zaskoczyłoby go, gdyby się odwróciła i wymierzyła mu policzek, ponieważ w głębi duszy czuł, że sobie na to zasłużył. Jeśli jakikolwiek mężczyzna odważyłby się odezwać w ten sposób do Sage, ścigałaby go z ogrodowymi nożycami. Devon również.

Ku jego zaskoczeniu odpowiedź Marcie była spokojna.

- Po przeanalizowaniu wszystkiego doszłam do tego samego wniosku.

Jej autentyczna uczciwość całkiem go rozbroiła. Zamiast odczuć satysfakcję z dokuczenia jej, poczuł się jeszcze paskudniej. Była o wiele mądrzejsza niż jego siostra czy Devon. Jej sposób rozbrajania był bardziej przemyślany.

Zaczerpnęła powietrza, a jego uwagę ponownie zwróciły naprężone sutki pod koszulką.

- Jeśli chciałabym kwiatów i żarliwych słów miłości, to istotnie powinnam zatrudnić żigolaka. Jednak nie żałuję decyzji, jaką podjęłam - oznajmiła. - Jesteś moim mężem, postaram się być dla ciebie dobrą żoną. - Podniosła na nie-

go wzrok i dodała: - Więc jeśli chcesz mnie dzisiejszej nocy...

- Nie, dziękuję.

Chociaż sprawiło jej to ból, nie okazała tego.

- Czy zraniłam cię aż tak dotkliwie?

- - Przeżyję.

- Domyślam się, że skoro mogłeś przez lata znosić jazdę na bykach, możesz znosić również mnie. Czy to cię swędzi? - Zaskoczyła go tym pytaniem. Przesunęła grzbietem dłoni wzdłuż torsu, gdzie właśnie zaczynały odrastać włosy.

Wciągnął szybko powietrze i odrzekł:

- Nie, jeszcze nie.

- Pewnie niedługo zaczniesz.

- Poinformuję cię o tym listownie.

- Słuchaj, Chase, w tym pokoju znajduje się termostat regulujący temperaturę na całym piętrze. W mojej sypialni jest zimno. Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym podkręciła ogrzewanie o kilka stopni? - Wstała z łóżka i poszła do termostatu umieszczonego na przeciwległej ścianie.

- W gruncie rzeczy miałbym - sprzeciwił się. - Mnie jest gorąco.

Zsunął kołdrę w dół, odsłonił najpierw jedną, a potem drugą nogę. Pozostał przykryty jedynie rogiem kołdry. Niczego więcej nie pragnął w tym momencie.

- W takim razie wezmę dodatkowy koc. Mam go w tej szafie.

Jednym pociągnięciem otworzyła drzwiczki szafy, wspięła się na palce i sięgnęła na górną półkę, gdzie leżały złożone koce.

Pozycja, jaką przyjęła, sprawiła, że Chase'owi zaschło w ustach. Na jej długich, szczupłych nogach uwydatniły się wszystkie mięśnie. Koszulka powędrowała w górę, odsłaniając kawałek pleców. Szorty odsłoniły krągłe pośladki tak, że zapragnął ująć je w dłonie i przycisnąć do siebie.

Z obawy przed zakłopotaniem naciągnął kołdrę powyżej pasa.

Marcie zdjęła koc z półki i obiema rękami przycisnęła go do siebie.

- To powinno wystarczyć.

Mógłby przysiąc, że w jej słowach kryło się podwójne znaczenie. Nie wątpił też, że jej poczynania mają na celu podniecić go. Jej wizyta tutaj nie miała nic wspólnego z dodatkowymi kocami.

- Dobranoc, Chase - powiedziała niewinnie. - Spij dobrze.

Nie dowierzał sobie nawet na tyle, by się odezwać.

W ciągu następnego miesiąca Chase nie był nastawiony towarzysko.

Znajomi próbowali wyciągać go na rozmowy, jednak jego szorstkie odpowiedzi i stale nachmurzona twarz odstraszały większość skłonnych do pogawędek. Odczuwali ulgę, gdy rozmowa dobiegała końca.

W piątkowy wieczór, gdy siedział z bratem przy barze w tawernie zwanej po prostu „Miejscem”, nie wydawał się skłonny do prowadzenia rozmowy.

Chociaż minęło już pół godziny, wciąż sącył pierwszego burbona z wodą. Siedział pochylony nad drinkiem jak pies nad kością, który nie chce, żeby inny pies ją przechwyił. Z przygnębieniem wpatrywał się w napój i obserwował, jak topniejący lód przybiera barwę jasnego bursztynu.

- Nie możemy zrobić nic innego jak tylko czekać.

Komentarz Lucky'ego jedynie spotęgował niezadowolenie Chase'a.

- Powtarzamy to już od miesiąca.

- Mają wkrótce podjąć jakąś decyzję.

- Gdy telefonowałem do nich w zeszłym tygodniu, powiedzieli, że podpiszą kontrakt do końca tygodnia. W tym tygodniu powiedzieli, że będzie to następny tydzień. Myślę, że po prostu grają na zwłokę.

- Jeśli tam istotnie jest ropa, to nigdzie sobie nie pójdzie - powiedział filozoficznie Lucky. - Jedyne, co możemy zrobić, to ich przeczekać.

Chase walnął pięścią w blat.

- Słucha się ciebie jak cholernej zaciętej płyty! Czy nie możesz wymyślić czegoś oryginalniejszego?

- Tak, mogę wymyślić coś oryginalniejszego - odparł Lucky z rozdrażnieniem, ześlizgując się z barowego stołka. - Idź do diabła!

- Poczekaj chwilę! - Chase wyciągnął rękę i chwycił brata za skraj kurtki. - Wróć. Wypij jeszcze jednego drinka.

Lucky otrząsnął się, uwalniając się z jego rąk.

- Nie chcę już drinka.

- Ja ci postawię.

- Bez różnicy. Mam naprawdę ciekawsze rzeczy do roboty niż siedzieć tutaj i wysłuchiwać twoich obelżywych słów.

- Na przykład jakie rzeczy?

- Na przykład pójść do domu, do żony, ot co. Co ty również powinieneś uczynić. To już trzeci raz w tym tygodniu ciagniesz mnie tu po pracy, żebym napił się z tobą.

- Tak? A co, jak teraz jesteś żonaty, to nie wolno ci już wychodzić?

- Teraz nie bawi mnie to tak jak kiedyś.

- I jeden drink stanowi teraz twój limit? Devon założyła szlaban również i na to?

- To prawda. Jestem z nią taki szczęśliwy, że nie potrzebuję wysoków innego rodzaju.

- Och, naprawdę? Już sam seks z nią sprawia, że jesteś pijany?

Dłonie Lucky'ego zacisnęły się w pięści. Gdyby to usłyszał dwa lata temu, dawno zaatakowałby brata i wymierzał na oślepięciem pięścią. To Devon nauczyła go, że rozważa stanowić cenny element męstwa. Od tej pory nie wszczynał bójki pierwszy i nie myślał o tym dopiero po fakcie. Nauczył się pohamowywać, ale dzisiejszego wieczoru Chase doprowadził go do granic wytrzymałości.

Odliczał powoli do dziesięciu, by utrzymać nad sobą kontrolę.

Chase oparł łokcie o bar i palcami przeczesał swoje ciemne włosy.

- Nie zasłużyłeś sobie na to. Devon również nie, do diabła!

Przepraszam. Postaraj się zapomnieć, że w ogóle to powiedziałem.

Był w pełni przygotowany na to, że brat wyjdzie. Zaskoczyło go niezmiernie, gdy Lucky ponownie usiadł na stołku.

- Dlaczego nie powiesz mi, co cię naprawdę trapi?

- Potrzebujemy tego kontraktu.

- Tak. Ale poza tym coś cię gryzie, Chase. Mama i Devon również to zauważyły. Każdej niedzieli, gdy przychodzicie z Marcie, zachowujesz się jak człowiek siedzący na zawleczce dynamitu. Zapalnik jest krótki i szybko się pali. Co jest tego przyczyną?

Chase kilkakrotnie zakręcił w koło zawartością szklanki.

- Marcie - wymamrotał.

- Tego się właśnie domyślałem.

Chase spojrzał na niego ostrym, wyzywającym wzrokiem.

- Dlaczego domyślałeś się właśnie tego?

- Marcie w dużym stopniu przypomina Devon. Miała swoje własne życie, zanim ty w nie wkroczyłeś. Przez długi czas była niezależną kobietą. - Lucky zaczerpnął garść orzeszków ze stojącej na barze miseczki. - Wcale mnie to nie dziwi, że rola żony nie przypadła jej do gustu. To jest tak jak z nową parą butów.

- Chyba żartujesz! - Chase drwiąco odchrząknął. - W roli żony jest tak cholernie dobra, że to wystarczy, aby się rozchorować.

- Co?

- Obiad stoi na stole każdego wieczoru punkt szósta, piecze ciasteczka. Bóg jeden wie kiedy, gdyż ciągle jest zajęta sprawami zawodowymi. W domu panuje taki porządek jak w pałacu. Gdy zdarza mi się coś zgubić, natychmiast wie, gdzie to znaleźć.

- Z ulgą słyszę, że tak dobrze wam się układa - powiedział radośnie Lucky. - Jak wiesz, miałem wątpliwości, czy tak będzie. Wygląda na to, że wiedzie wam się doskonale. Na co jeszcze możesz narzekać?

Chase odwrócił się na stołku, by spojrzeć bratu w twarz.

Teraz, kiedy pierwsze lody zostały skruszone, poczuł, że nagromadziło się mnóstwo innych rzeczy, które szukały ujścia.

- Ona jest zbyt doskonała! - Lucky gapił się na niego z takim wyrazem twarzy, jakby nagle ogłuchł. - Dam ci przykład. Powiedziała mi kiedyś, że lubi czytać niedzielną gazetę metodycznie. W zeszłym tygodniu z premedytacją porzuciłem gazetę po całym salonie, wiesz, czytałem kawałek strony i upuszczałem ją gdzie popadnie, po czym brałem kolejną.

- Dlaczego?

- Po prostu, żeby ją sprowokować.

Lucky zbity z tropu, jedynie potrząsał głową.

- Ale dlaczego?

- Chciałem przekonać się, czy potrafię ją rozzłościć - rzucił Chase.

- I co, udało ci się?

- Nie. Nawet się nie odezwała. Nie posłała mi ani jednego gniewnego spojrzenia. Po prostu obeszła pokój, pobierała spokojnie gazetę i ułożyła ją, by móc przeczytać tak jak lubi.

- Nie łapię tego. Jak możesz skarżyć się na żonę, która ma świętą cierpliwość?

- A czy próbowałeś kiedyś żyć ze świętą? Z kimś, kto jest tak cholernie doskonały? Mówię ci, ona po prostu nie jest normalna. Czemu nie wpadnie w szal? Dla mnie to jest nerwowa tortura. Przywykłem już do tego, że trzymam się na baczności.

- Chase, jeśli to wszystko...

- To nie wszystko. Ona robi na mnie zasadzki.

Lucky roześmiał się tak głośno, że omal nie spadł ze stołka.

- Zasadzki na ciebie? Takie, jak my robiliśmy na Sage? Czy mam rozumieć, że Marcie chowa się w twojej szafie, a gdy otworzysz drzwi, wyskakuje nagle i krzyczy „buuu”?

- Nie wygłupiaj się!

- To co w takim razie masz na myśli?

Poczuł się w tym momencie głupio. Nie mógł przecież

opowiedzieć Lucky'emu o tym, jak stojąc pewnego ranka w łazience i goląc się, zauważył niespodziewanie odbicie Marcie w lustrze. Obrócił się tak gwałtownie, że aż zaciął się w brodę żyletką.

- Przepraszam, że cię przestraszyłam, Chase. Pukałam, ale jak się domyślałam, nie słyszałeś. - Podeszła do przodu i położyła na toalecie stertę świeżych ręczników. - Och, leci ci krew!

Wyjęła chusteczkę higieniczną, przyłożyła ją do krwawiego podbródka i trzymała ją tam przez długi czas... mimo że stał przed nią nagi i czuł zbliżający się wzdół pod wpływem delikatnego dotyku jej palców na twarzy.

I właśnie wtedy, gdy koniuszkiem członka dotknął jej, wyszeptała:

- Jak się czujesz?

Przez kilka sekund krew wszystkimi żyłami uderzała mu do głowy. W końcu udało mu się opanować i wymamrotał:

- Lepiej.

Natychmiast chwycił jeden z przyniesionych przez nią ręczników i okręcił się nim w pośpiechu, jakby został właśnie przyłapano na gorącym uczynku.

Nie, nie mógł tego opowiedzieć bratu. Lucky od razu zapytał go, czemu w takim razie nie weźmie po prostu żony do łóżka i nie będzie się z nią kochał do nieprzytomności. A na to pytanie Chase nie znał odpowiedzi, sam chciałby wiedzieć.

Lekceważąc pytanie brata, odezwał się:

- Patrząc na nią, nawet by ci nie przyszło do głowy, że ona nie ma za grosz skromności. Jest bezwstydna. Pamiętasz, jaką wagę przykładają nasza babcia do kobiecej skromności? - Zaśmiał się gorzko. - Miała dużo szczęścia, że nie poznała Marcie.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Lucky zajrzał Chase'owi w pałające gorączką oczy. - Chyba nie zacząłeś palić tych zielonych rozweselających papierosków, prawda? -

Chase poczęstował brata kuksańcem. Lucky zaśmiał się ponownie. - Jesteś szalony. Marcie zachowuje się jak dama. •

- Nie, mylisz się. W domu wcale tak nie jest. Bez przerwy paraduje nago.

Te słowa wyraźnie wzbudziły zainteresowanie Lucky'ego. Przekrzywił głowę.

- Ach, tak?

Chase sięgnął pamięcią kilka dni wstecz, kiedy to przyszedł do pokoju Marcie z koszulą, do której trzeba było przyszyć guzik.

Odpowiedziała natychmiast na jego pukanie do drzwi:

- Proszę!

Wszedł do środka i stanął jak wryty, znajdując się twarzą w twarz ze śliczną różową nagością.

Układała włosy. Ręce miała uniesione nad głową. Stała przed toaletką, a zawieszone lustro odbijało gołe plecy.

Niebieskie oczy prowokowały go. Miał ochotę objąć ją i sycić się pięknym ciałem, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Skoro nie przywiązywała wagi do nagości, on również udawał obojętnego.

Z przyspieszonym pulsem, nie patrząc na nią, zapytał:

- Czy masz przybory do szycia?

- Z przyjemnością ci pomogę, o co chodzi?

- To tylko brakujący guzik. Mogę to zrobić sam. Masz igłę i nitkę?

- Jasne. Są tam.

Opuściła ręce. Włosy opadły na jej piękne, gładkie ramiona. Mała skrzyneczka, w której trzymała przybory do szycia, znajdowała się tuż za nim. Marcie mogła go okrzyć. Mogła przeprosić, aby się odsunął. Ale nie. Zamiast tego prawie na niego weszła, ocierając się. Przeszedł go płomień namiętnego żaru. Zapragnął nagle dotykać jej piersi i głaskać gładką skórę.

Lucky machał dłonią tuż przed twarzą brata. Ten, wracając do rzeczywistości, mruknął zrzędlawie:

- Myślę, że zbyt długo była samotna. To zrobiło z niej ekshibicjonistkę. Jak to jest według ciebie?

- Brzmi to jak opowieści, które czytałem w „Playboyu”.

- Cholera, Lucky, ja mówię poważnie. Ona zachowuje się jak nimfa; tak to się chyba nazywa.

- Wstyd być mężem jednej z nich, prawda? Mówię to z własnego doświadczenia, rozumiesz. - Puścił oczko.

Jednak zarówno sarkazm Lucky'ego, jak i jego miny umknęły Chase'owi, nadal głęboko pogrążonemu w myślach.

- Cały czas się o mnie ociera. Pamiętasz, jak ta kotka, którą kiedyś mieliśmy, ocierała się zawsze o moje nogi? Marcie zachowuje się dokładnie tak samo. Nie potrafi przejść koło mnie, żeby się ze mną nie zderzyć. Sprawia wrażenie, że jest cała w ogniu.

- Może jest?!

Bezceremonialny komentarz Lucky'ego wyrwał Chase'a z erotycznego transu.

- Co?

Lucky energicznie nabrał kolejną garść orzeszków.

- Powiedziałem, że może istotnie jest. Devon na przykład wierzy, że kobieta zachodzi w ciążę wtedy, gdy tego pragnie, gdy podświadomie podejmuje taką decyzję.

- W ciążę? - powtórzył Chase, sprawiając wrażenie oszłomionego. Po chwili przybrał niewzruszony wyraz twarzy i potrząsnął głową. - Ona nie zamierza zająć w ciążę. Lepiej by było, gdyby nie chciała. Nie chcę mieć dziecka. Nie chcę nawet o tym mówić ani myśleć.

Uśmiech stopniowo schodził z twarzy Lucky'ego. Niespokojnie spojrzął ponad ramieniem brata.

- Mówimy właśnie o twojej pani, a ona tu jest!

- Co?

W tym momencie Chase dostrzegł Marcie. Stała tuż przy drzwiach hałaśliwej, zadymionej tawerny, prześlizgując się wzrokiem po awanturycznym tłumie. Gdy jej wzrok zatrzymał się na nim, widać było, że odczuła wyraźną ulgę.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, zaczęła się przeciskać wśród stłoczonych mężczyzn.

- Ach, więc jednak tu jesteś. - Posłała Chase'owi uśmiech, który aż zapierał dech w piersiach. - Rozpoznałam przed wejściem twój wóz. - Następnie zwróciła się do szwagra: - Cześć, Lucky!

- Cześć. Mam nadzieję, że nie przyprowadziłaś ze sobą Devon. To miejsce nie należy do jej ulubionych.

Marcie zaśmiała się.

- Słyszałam. I to całkiem z konkretnego powodu. Ale nie przejmuj się. Większość z najbardziej trwałych związków ma często fatalne początki.

- Muszę przyznać, że przynajmniej w naszym przypadku to prawda. Wszystko zaczęło się od walki na pięści w tej piekielnej dziurze. I zobacz, do czego to nas doprowadziło. Do małżeństwa i wprost do rajy. - Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu. - Napijesz się drinka?

- Nie, dziękuję.

- Co tutaj robisz? - ostro zapytał Chase, ucinając ich niefrasobliwą wymianę zdań. Wypowiedział to tak oskarżycielskim tonem, że Marcie natychmiast przybrała postawę obronną.

- Pamiętasz tę parę z Massachusetts? Są dzisiaj w mieście. Pokazywałam im domek nad jeziorem, skąd właśnie wracam. Przejeżdżając tędy, zauważyłam przed wejściem twoją półciężarówkę, o czym już wspomniałam, i wstałam.

- Sprawdzasz mnie - wycedził Chase. - Czy już naprawdę nie mogę spóźnić się do domu kilka minut, żebyś nie urządziła na mnie polowania?

- Hej, Chase! Uspokój się!

Odzywka brata została zignorowana.

- Lub może nie dowierzasz mi, że poprzestanę na jednym drinku? Pomyślałaś może, że uciekłem i znowu dołączyłem do jakiejś grupy rodeo?

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - rzucił Lucky przez zęby, celowo nie podnosząc głosu, by nie przyciągać uwagi.

- On próbuje mnie upokorzyć - stwierdziła Marcie bez ogródek. - Ale przez swoje zachowanie sam wychodzi na głupka.

Po tych słowach odwróciła się. Dumna, wyprostowana, z wysoko podniesioną głową ruszyła w stronę drzwi.

Zanim Lucky zdążył coś powiedzieć, Chase zwrócił się do niego:

- Zamknij się. Nie potrzebuję żadnych twoich uwag. - Włożył rękę do kieszeni džinsów w poszukiwaniu gotówki. Wydobył garść drobnych, które w zupełności wystarczyły na pokrycie kosztów drinków i napiwek dla barmana.

Torował sobie drogę wśród stłoczonej klienteli, posuwając się za rudymi włosami Marcie w kierunku drzwi. Jakaś roześmiana zapijaczona twarz stanęła mu na drodze, nie chcąc odsunąć się pomimo ponagleń Chase'a.

- Tyler, lepiej ją dogoń, bo to kasek pierwszej klasy!

...i wtedy Chase warknął: „To moja żona, ty skurwielu!” Następnie wałnął pięścią faceta w twarz, uderzając go z boku. Następny cios ugodził go w usta, wybijając zęby. Widziałem to z miejsca przy barze. Klnę się na Boga - wybacz mi, Devon - że tak było. Połamane zębki leciały na podłogę jak groch. Wszyscy próbowali zejść Chase'owi z drogi. Zachowywał się jak szalenciec.

Gdy Lucky skończył relacjonować bójkę, która wynikła dwa wieczory wcześniej w tawernie zwanej „Miejscem”, wszyscy zgromadzeni w jadalni Tylerów byli zszokowani.

Marcie wbiła wzrok w talerz, zmieszana, że niechcący stała się przyczyną bójki. Teraz podzielała awersję Devon do „Miejscza”.

Widocznie Chase również nie czuł się zbyt dobrze, słuchając relacji z bójki. Siedział zamyślony i robił widelcem dołki w porcji tłuczonych ziemniaków.

Laurie, jak zauważyła Marcie, niespokojnie okręcała wokół szyi łańcuch pereł, prawdopodobnie niezadowolona, że Lucky

używał niecenzuralnych słów w obecności gościa zaproszonego na niedzielny obiad.

- Wolałabym, chłopcy, żebyście trzymali się z dala od (awemy - odezwała się wreszcie, przerywając krępującą ciszę. - Jedyna dobra rzecz, jaka kiedykolwiek zdarzyła się lam, to poznanie się Lucky'ego i Devon.

- Dziękuję, Laurie - powiedziała Devon. - Czy mogę posprzątać naczynia ze stołu i podać deser?

- Och, to miło z twojej strony. Czy wszyscy już skończyli? Jess?

Jess Sawyer wytarł usta serwetką z taką samą skrupulatnością, z jaką sładził herbatę, kroił mięso, smarował bułkę masłem i jadł posiłek. Był małym, schludnym mężczyzną, ubranym w dobrze skrojony brązowy garnitur i białą wykrochmaloną koszulę. Miał rzadkie, ciemne włosy i bezmyślnie brązowe oczy. Jeżeli ludzka osobowość miałaby jakiś kolor, jego z pewnością miałaby brązowy.

- Wszystko było wyśmienite, Laurie - rzucił uprzejmie. - Dziękuję za zaproszenie.

Devon zaczęła zbierać puste naczynia i ustawiać na tacy. Gdy na stole nie pozostało już nic, przytrzymała Lucky'emu drzwi, by mógł wynieść tacę do kuchni.

- Przyniesiemy deser i kawę - oznajmiła, wychodząc za mężem.

- Cieszę się, że złapałam cię, gdy wychodziliśmy z kościoła - zwróciła się Laurie do pana Sawyera. - Nie cierpię myśli, że ktoś spożywa posiłek samotnie, a już jedzenie niedzielnego obiadu w samotności uważam za świętokradztwo. Więc czuj się zaproszony i przychodź, kiedy tylko będziesz miał ochotę - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Pat, czy rostbef nie był dla ciebie zbyt wysmażony?

Pat Bush, stały gość niedzielnych obiadów, poruszył się na swoim krześle.

- Był świetny. - Spoglądając przez stół na pana Sawyera dodał: - Jak zwykle.

- Ale nie zjadłeś nawet jednej porcji.

- Mój brak apetytu nie ma nic wspólnego ze sposobem przyrządzania potraw, Laurie. Wciąż myślę o tej hałaśliwej utarczce, która odbyła się w piątek w „Miejscu”. - Rzucił w stronę Chase'a gniewne spojrzenie.

Właśnie Lucky i Devon wrócili z kuchni, niosąc przekładane ciasto czekoladowe i kawę oraz potrzebną do deseru zastawę.

- Będę podawać z kredensu, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Laurie - powiedziała Devon.

- Ależ rób, jak ci wygodnie, kochanie - odparła Laurie.

Marcie obserwowała ze swego miejsca, jak Devon kroi pierwszy kawałek ciasta i kładzie go na talerzyku. Na palcach została jej odrobina kremu. Podniosła rękę do ust, by ją oblizać. Zanim się to jednak stało, Lucky chwycił jej dłoń i oblizał palec.

Marcie zrobiło się niedobrze. Zauważyła, że Chase również robi się napięty.

Devon wyrwała palec z buzi figlarnego męża i szybko obejrzała się, by sprawdzić, czy ich gra miłosna została przez kogokolwiek zauważona. Marcie udało, że nic nie zauważyła. Nie chciała zawstydząć Devon lub, co bliższe prawdy, nie chciała, by Devon spostrzegła jej zazdrość.

- Za każdym razem, gdy pojawiacie się w „Miejscu”, wyządzacie tam jakieś szkody - odezwał się Pat, patrząc na Chase'a.

- A co powinienem zrobić twoim zdaniem? - zachnął się Chase. - Stać jak mięczak i pozwalać temu facetowi obrażać moją żonę?

- Moim zdaniem Chase nie mógł zrobić nic lepszego jak dołożyć temu typkowi - Lucky poparł brata, odsuwając się od kredensu.

- Twoja opinia na temat bójek nie jest tu akurat miarodajna - odezwał się Pat z przekąsem. - Nie potrzebujesz specjalnego zaproszenia czy zachęty do tego, żeby się bić.

- Nie potrzebowałem zaproszenia ani zachęty. Teraz jestem

kochankiem, a nie wojownikiem. - Pocałował Devon w policzek.

- Jestem pewna, że Chase zrobił to, co czuł, że musi zrobić - Laurie stanęła w obronie syna. - Zapłacił przecież za wszystkie szkody, jakie wyrządził w barze, i zatroszczył się o koszty leczenia tego człowieka. Ach, niedobrze mi się robi na samą myśl o wybitych zębach.

Lucky parsknął śmiechem. Po chwili śmiali się wszyscy zgromadzeni przy stole. Wszyscy, z wyjątkiem pana Sawyera, który gapił się na nich z wyraźną konsternacją.

- Może będzie mi za to jeszcze dziękował - powiedział Chase, gdy śmiech nieco osłabł. - To były okropnie zepsute zęby.

- Devon!

Ostrzegawcza nutka w głosie Lucky'ego sprawiła, że Chase przerwał w pół słowa. Lucky zerwał się z krzesła i rzucił w stronę żony, która stała pochylona nad kredensem. Twarz miała trupio bladą, szybko oddychała. Jednym ramieniem objął ją w talii, by ją podtrzymać, drugą zaś ręką uniosł zwieszoną głowę.

- Devon? Kochanie?

- Wszystko w porządku - zapewniła go, uśmiechając się słabo. - To tylko lekki zawrót głowy. Myślę, że zrobiło mi się po prostu za gorąco. Może zmniejszylibyśmy trochę ogrzewanie, co? A może zjadłam coś, co mi nie posłużyło.

- Och, na miłość boską! - Laurie położyła serwetkę przy talerzu, podniosła się z krzesła i dołączyła do stojącej przy kredensie pary. - Czemu nie skończycie wreszcie z tą dziecinadą i nie oznajmicie wszystkim głośno tego, co ja wiem od miesięcy? - Biorąc inicjatywę w swoje ręce, odwróciła się w stronę siedzących przy stole. - Devon spodziewa się dziecka.

- Och! - Marcie dawno nie wydała tak entuzjastycznego okrzyku. Teraz, wraz ze wszystkimi pozostałymi, nie wyłączała pana Sawyera, skupiła uwagę na promieniejącej parze, której wszyscy kolejno składali najlepsze życzenia.

Marcie uścisnęła Devon serdecznie. Od czasu małżeństwa z Chase'em obie kobiety stały się dobrymi przyjaciółkami. Marcie podziwiała inteligencję Devon i jej cięty dowcip, z którego często robiła dobry użytek, pisząc felietony dla jednej z gazet w Dallas.

- Tak się cieszę - powiedziała z przejęciem. - Dobrze się czujesz? Czy mogę ci w czymś pomóc?

Devon uścisnęła jej rękę.

- A dużo wiesz na temat dzieci?

- Nie - zaprzeczyła śmiejąc się.

- No, to nie będzie z ciebie wiele pożytku.

Kobiety uśmiechały się do siebie przez chwilę z wzajemnym podziwem i serdecznością. Następnie Marcie ucałowała w policzek dumnego przyszłego tatusia.

- Moje gratulacje, Lucky.

- Dzięki. Udało mi się w końcu!

- Nie bądź taki James Lawrence! - wykrzyknęła Laurie. - Pamiętaj, że mamy gościa.

Chase rzucił serwetkę obok talerza i wstał. Jego twarz wyglądała jak wykrzywione odbicie w pękniętym lustrze.

Siekiera przecięła powietrze i wydała świszczący dźwięk, po czym wbiła się w kłoc. Trrach! Kłoda, ustawiona pionowo, rozpadła się na dwie części. Chase odrzucił je na bok, po czym sięgnął po kolejną kłodę i ustawił ją na pieńku.

- Co robisz? - spytał Lucky.

Trrach!

- Robię sweter na drutach!

- To nie jest praca dla ciebie. Twoim żebrom na pewno nie wyjdzie to na dobre.

- Moje żebra czują się fantastycznie.

Trrach!

Lucky oparł się plecami o pobliski parkan.

- Wiesz, Chase, jesteś najbardziej egoistycznym skur... jakiego w życiu spotkałem.

Trrach!

Chase zmierzył brata przeciągłym spojrzeniem, odłożył przecięte drewno na bok i sięgnął po następne.

- Spodziewałeś się, że podskoczę z radości?

- To byłoby niezłe jak na początek.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem.

Trrach!

Lucky podszedł do brata i wyrwał mu z ręki siekiere. Chase wyprostował się gwałtownie, a na jego twarzy pojawiła się zawziętość.

- Nie jestem rozczarowany - powiedział Lucky, rzucając siekiere na ziemię. - Jestem wściekły! O naszej matce można powiedzieć, że jest rozczarowana. Liczyła, że twoje małżeństwo cię odmieni.

- Jaka szkoda!

- To prawda, że szkoda. Ponieważ masz wspaniałą żonę która - nie wiem dlaczego - jest zakochana w tobie. Ale ty jesteś taki diabelnie ślepy, że nie potrafisz nawet tego zauważyć. A może po prostu zbyt głupi? Lub za bardzo litujesz się nad sobą? Trudno mi sprecyzować, na czym polega twój problem.

- Jesteś wściekły, bo nie wykazałem zainteresowania twoim przyszłym dzieckiem.

- A byłoby to tak wiele z twojej strony?

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?! - krzyknął Chase. - Dlaczego trzymałaś to w tajemnicy? Żebym się sam domyślił?

- Nie, po prostu próbowałem cię ochronić.

- Przed czym?

- Przed tym bólem, który właśnie teraz cię zżera.

Chase przybrał wojowniczą postawę. Oddychał z trudem, ale nie z powodu wysiłku fizycznego. Wydawało mu się, że zaraz uderzy brata. Nie zrobił jednak tego. Odwrócił się do niego plecami i skierował w stronę domu.

Lucky pobiegł za nim, chwycił go za rękaw i pociągnął w kierunku szopy na narzędzia, która znajdowała się za stertą drewna.

- Nie powiedziałem ci do tej pory o dziecku, gdyż wie-

działem, że cię to zrani, Chase. Nie chciałem tego. Ale teraz karty się odkryły i ani ja, ani ty, ani ktokolwiek inny nie może nic na to poradzić. Nie zależało mi na tym, żeby moje dziecko urodziło się pierwsze. Życzyłbym sobie, żeby to było twoje, tak jak powinno być. Ale czy spodziewasz się, że przez to będę odczuwał mniejszą radość? Nie potrafię, przykro mi. Jestem cały rozdygotany. Wręcz bucham szczęściem. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie przyjdzie na świat. Jednak - kontynuował, zbliżając twarz do ucha Chase'a - to nie znaczy wcale, że Devon i ja nie ubolewamy nad śmiercią dziecka, które odeszło razem z Tanią. Wszyscy się smucimy. I zawsze będzie nam z tego powodu przykro. Ale życie idzie naprzód, Chase. I jeśli chcesz przeżyć resztę życia jak w grobie, to rób dalej tak jak do tej pory. Myślę, że jesteś głupi. Myślę, że jesteś chory. Ale skoro twoja niedola uszczęśliwia cię, to wszelkimi środkami staraj się ją podsycać. Bądź przynębiony. Tylko nie oczekuj od nas, żebyśmy zamykali się z tobą w grobie i sypali popiół na nasze głowy. Jesteśmy już wszyscy cholernie zmęczeni i znudzeni bezustanną troską o ciebie.

Lekkim, lecz obcesowym ruchem popchnął Chase'a, odwrócił się i odszedł. Uszedł zaledwie kilka kroków, gdy wyczuł ciężką rękę na ramieniu. Obrócił się w oczekiwaniu na cios.

Zamiast tego Chase wyciągnął do niego dłoń. Jego szare oczy załśniły łzami, wargi drżały.

- Gratuluję ci. Cieszę się twoim szczęściem.

Potrząsnęli dłońmi. Potem się uścisnęli. Razem wrócili do domu.

- Nie domyślałaś się, że Devon jest w ciąży?
- Nie.
- Myślałem, że może Lucky ci powiedział.
- Nie mówił mi.

Odzywki Chase'a denerwowały ją. I tak była spięta do granic wytrzymałości po każdym z niedzielnych obiadów u teściów.

Marcie nie zamierzała wykręcać się od tych spotkań ani (cz nie miała poczucia, że nie jest tam mile widziana. Tylerowie zaakceptowali ją i przyjęli do rodziny. Nawet Lucky, który chyba najmocniej wyrażał rezerwę w stosunku do niej, leraz gawędził i żartował, jakby od lat była członkiem rodziny.

To nie rodzina Chase'a doprowadziła ją do takiego stanu psychicznego, ale on sam. Nigdy nie używał w stosunku do niej niegrzecznych słów. Jeden i tylko jeden raz zdarzyło się to w ostatni piątek w „Miejscu”. Przeprosił ją potem za swoje nieopanowanie, a ona wybaczyła mu, zdając sobie sprawę, jak bardzo martwi się o przyszłość Spółki Wiertniczej Tylera, i temu właśnie przypisując jego zachowanie.

Nie mogła narzekać na sposób, w jaki ją traktował. Gdy znajdowali się w towarzystwie rodziny, był w stosunku do niej pełen kurtuazji, nie krytykował jej, nie wprawiał w zakłopotanie. Nie lekcewał jej, traktując, jakby była powie-trzem, o czym niejednokrotnie słyszała z ust innych żon.

W ich przypadku pozory świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

- A więc nie domyślałaś się? - powtórzył.

Przestraszył ją swoim natarczywym wypytywaniem.

Jechali samochodem. Chase siedział za kierownicą. Podczas tej popołudniowej jazdy już kilkakrotnie znalazł okazję, by nakryć ręką jej kolano i pogłaskać je.

- Kobiety wydają się mieć szósty zmysł, jeśli chodzi o takie sprawy - powiedział, kontynuując temat ciąży Devon. - Myślałem, że może podejrzewałaś.

- Nie. Chociaż teraz wydaje mi się, że powinnam to założyć na podstawie niektórych oznak. Pamiętasz, jak ktoś dokuczał jej w czasie naszego weselnego obiadu, że zjadła dwa desery?

- Myślałem, że po prostu chce przybrać na wadze.

Marcie uśmiechnęła się.

- Na pewno przybrała. To już szósty miesiąc. Nie mogę uwierzyć, jak jej się to udało ukryć przez tak długi czas. To prawda, że jest wysoka. Ubranie również potrafi bardzo wiele zakamuflować. Niewiele brakowało, a dziecko urodziłoby się, zanim ktokolwiek z nas by się zorientował.

- Hmm.

- A gdy się już urodzi, czy nadal zamierzasz zachowywać się jak gbur?

Odwrócił się do niej i już otworzył usta, by się odezwać, jednak po krótkim namyśle zrezygnował i tylko mlasnął językiem.

- Gdy wstałeś i opuściłeś dom w taki sposób, jak to zrobiłeś, sprawiłeś tym przykrość matce.

- Ja też byłem załamany.

- Och, tak, wszyscy o tym wiemy. Ciągle obnosisz się z tym, mając to prawie wypisane na czole, żeby cały świat się dowiedział. Wszyscy to widzimy, ale na szczęście przestajemy się przejmować.

- Przeprosiłem przecież Lucky'ego. Powiedziałem mu, że podzielam jego radość.

- Wiem, wiem. Widziałam nawet, jak przelotnie uściskałaś Devon. Przynajmniej na tyle się zdobyłaś.

- Gdybym się uśmiechał i udawał radość, czułbym się jak hipokryta.

- Hipokryta? Jakże to słowo dziwacznie brzmi w twoich ustach!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zatrzymał samochód przy wjeździe na teren ich posiadłości. Marcie wysiadła i weszła do domu. Zdejmowała własnie płaszcz, kiedy ją dogonił.

- Co chcesz przez to powiedzieć?! - krzyknął ze złością i cisnął swój płaszcz na podłogę.

W tym momencie coś w niej pękło. Przez ponad miesiąc pobłażała mu, obracała w żart ponure odzywki, nie zwracała uwagi na prowokacje. Wiedziała, że czyni je rozmyślnie. Im bardziej starała się uprzyjemnić mu życie, tym bardziej wysilał się, by zachowywać się jak nieokrzesany. Tak wyglądało życie u jego boku. Do diabła! Nadszedł czas, by dostał tyle, ile sam z siebie daje.

Zbliżyła się do niego.

- Chcę przez to powiedzieć, Chase, że jesteś hipokrytą za każdym razem, gdy spotykamy się z twoją rodziną. To znaczy, że gratulacje złożone na ich ręce były równie nieszczerze, co twoje demonstracyjne pozy w stosunku do mnie.

Potrząsnął głową.

- To nieprawda. Bardzo się cieszę, że mój brat... Poczekaj chwilę. O jakich demonstracyjnych pozach w stosunku do siebie mówisz?

- No dalej, Chase! - krzyknęła. - Powiedz, że chcesz, żebym to wypowiedziała na głos.

- Do diabła! W ogóle nie wiem, o czym mówisz!

Wyprostowała się i wbiła w niego wzrok. Jej policzki pałały.

- Mówię o tych pozorach, które stwarzasz. Ja siadam na sofie, ty siadasz na sofie. Ja krzyżuję nogi, ty kładziesz dłoń na moim kolanie. Ja wstaję, ty obejmujesz mnie ramieniem. Jest mi zimno, ty odstępujesz mi swoją kurtkę. Ja spoglądam na ciebie, ty głaszczesz mnie po włosach. Ja się śmieję. Ty się śmiejesz.

Wiedziała, że coraz bardziej podsyca stan napięcia, ale

nie mogła się już zatrzymać. Była zmęczona takim życiem. Każdej niedzieli przez kilka godzin znosiła jego pełne słodyczy męzowskie pieszczoty, o których wiedziała, że dla niego nic nie znaczą. Wracała do domu rozgorączkowana i pobudzona. I bez nadziei, że cokolwiek przyniesie jej ulgę. Skoro tylko znaleźli się u siebie w domu, z dala od rodziny, popadał w zamyślenie i roztargnienie.

- Próbuję być miły - powiedział na swoją obronę - ale jeśli ci się to nie podoba, mogę sobie darować te grzeczności. - Odwrócił się, podszedł do kominka i zaczął rozpałać ogień. Wszystkie jego ruchy wyrażały złość i zniecierpliwienie.

Ale Marcie jeszcze nie skończyła. Podeszła do paleniska i złapała go za ramię, gdy właśnie odkładał na bok pogrzebacz.

- Twoja rodzina jest na etapie obserwowania nas, jak się do siebie nawzajem odnosimy, i ocenia to. Dzięki twoim coniedzielnym przedstawieniom, godnym najwyższych aktorskich nagród, jestem pewna, że nabrali przekonania, iż nasze pożycie układa się wspaniale. Ostatnia rzecz, która może im przyjść do głowy, to fakt, że żyjemy w celibacie. Widzę, jak nieraz przechwytyują niektóre z przeciągłych spojrzeń, jakie mi posyłasz, wiedząc, że oni patrzą. Jestem pewna, że nie uszło ich uwagi, jak okręcałeś sobie wokół palca kosmyk moich włosów w czasie, gdy rozprawiałeś z Luckym na temat koszykówki. Jakby mogli przeoczyć to, że trącasz łokciem mój biust, gdy sięgasz po filiżankę kawy?

- Nie udawaj teraz, Marcie, że ci się to nie podoba - powiedział wibrującym głosem. - Nawet przez koszulę czuję, jak twardnieją ci sutki. Słyszę to delikatne westchnienie, które każdorazowo wydobywa się z twojego gardła. - Wykorzystał to, że na chwilę odjęło jej mowę, by rozpocząć własny atak. - Skoro jesteśmy już przy tym temacie, nie lubię twojej gry wstępnej.

- Gry wstępnej?

- Gry wstępnej. A jakże inaczej można nazwać to, gdy

kładziesz dłoń na wewnętrznej stronie moich ud i przesuwasz nią w górę i w dół? Och, jesteś na tyle ostrożna, by wyglądało to na przypadkowy gest, ale wiesz doskonale i ja wiem, oboje wiemy, co dzieje się kilka centymetrów powyżej! I jeśli nie podoba ci się, gdy obejmuję cię ramieniem - ciągnął dalej - nie powinnaś przytulać się do mnie. Skoro nie lubisz, gdy ci proponuję swoją kurtkę, to dlaczego upewniasz się, że zauważam przez twoją bluzkę, jak drżysz z zimna? Gdy trzymam rękę na twoim kolanie, trącasz stopą moją łydkę. Jeśli to, co wymieniłem, nie jest zaproszeniem, to doprawdy nie wiem, czym jest!

Płomienie buchające z kominka odbijały się w ich oczach, potęgując błyski złości i pasji, jakimi się nawzajem częstowali.

- Nie widziałem, żebyś odsuwała głowę, gdy bawiłem się twoimi włosami. Och, nie. Zamiast tego trącałaś nosem moją dłoń. Czuję, jak przesuwasz po niej językiem. Pozostawało po tym wilgotne miejsce. Śmiałaś się, gdy rozlałem kawę. A stało się to dlatego, że potrafiłaś mój łokieć piersią. Ja też się śmiałem. A gdy zaczęłaś wycierać kropelki kawy swoją chusteczką, mój śmiech omal nie zmienił się w jęk. Powiedz, co wolałabyś, żeby robić w jadalni u mojej matki, gdy pocierałaś dłonią mój rozporek - śmiać się czy jęczeć? Nie zrzedź więc z powodu mojego zachowania. Ja sam byłbym bardziej niż zadowolony, żeby położyć kres tym seksualnym szaradom, szczególnie jeśli tego właśnie sobie życzysz. Skoro twierdzisz, że te coniedzielne pokazy doprowadzają cię do szaleństwa, możesz chyba sobie wyobrazić, czym są dla mnie!!!

Gdy wykrzyczał to, co miał do powiedzenia, w pokoju zaległa cisza, nagła i intensywna. Marcie zrobiła krok w przód i cichym głosem spytała:

- Czym one są dla ciebie, Chase?

Sięgnął po jej rękę, przyciągnął ją do siebie i przycisnął do nabrzmiałego rozporka.

- Właśnie tym!

Objęła jego sztywny członek.

- Dlaczego więc chcesz skończyć z tymi grammi wstępny-
mi? Dlaczego nie zrobisz z tym czegoś? - Z każdym ko-
lejnym powolnym ruchem jej ręki jego oddech stawał się
głośniejszy i chrapliwy. - Może boisz się tego, że to polubisz?

Puściła go, uniosła rękę i zatopiła mu palce we włosach,
przytrzymując głowę.

- Pocałuj mnie. Pocałuj mnie mocno! - Wspięła się na
palce i, trzymając wargi tuż przy jego ustach, dodała kuszą-
cym szeptem: - Pragnę cię!

Dźwięk, jaki wydobył się z jego gardła, miał w sobie dzi-
kość. Chase chwycił ją gwałtownie w objęcia. Jego pocałunek
był tak brutalny, że Marcie nie od razu zrozumiała, co się
dzieje. Dopiero po chwili poczuła szybkie i pewne pchnięcie
jego języka. Szalony, zachłanny, niepomamowany, wsunął się
w jej usta.

Chase zanurzył palce w jej gęste włosy i przytrzymał gło-
wę, zniewalając siłą pocałunku. Sprawiał wrażenie, jakby
chciał wessać całe jej usta. Oderwał się od niej tylko na
chwilę, by zaczerpnąć powietrza. Nawet wtedy przesuwał
językiem po jej wargach, spragniony ich smaku. Nie zaspoko-
jony, wrócił po więcej. I więcej.

Rozkoszowała się zmysłowością jego pocałunku. Smako-
wała jego język, wargi; przyjemność sprawiało jej, gdy ocierał
brodą jej policzki i podbródek. Czuła zapach jego skóry, gę-
stość włosów: skóry Chase'a, włosów Chase'a.

Opadli na kolana, na pluszowy dywanik przed paleniskiem.
Ich usta nadal karmiły się szaleństwem, badając i smakując
każdy skrawek delikatnej skóry twarzy.

Gdy stopiły się ponownie, Chase zanurzył głęboko język,
nasycając ją pożądaniem. Gładził dłońmi jej plecy, boki, pier-
si. Następnie, bez zbytej subtelności, pociągnął ją na siebie,
kładąc się na plecach.

Marcie nawet nie przyszło do głowy, by udawać nieśmiałą.
Pozwoliła mu się ocierać nabrzmiętym członkiem o swoją

szczelinę, nawet chlubiła się tą widoczną siłą pożądania
i uległe poddawała się jej.

Jęcząc, ścisnął ją tak mocno ramionami, że nie mogła się
poruszyć. Gwałtownie wyszeptał:

- Przestań, bo będzie po wszystkim!

- Jeszcze nie. Jeszcze nie.

Zaczęła mu ściągać sweter przez głowę. Następnie rozpięła
guziki przy koszuli, aby powędrować opuszkami palców po
jego ciele, robiąc coraz to nowe odkrycia. Jak ślepiec, który
po raz pierwszy przejrzał.

Schyliła się do jego piersi i przycisnęła do niej otwarte
usta. Ujął w dłonie jej głowę, ale nie powstrzymał przed
swobodnym penetrowaniem swojego torsu. Wśród ciemnych,
pokręconych włosów jej wargi odnalazły brodawki. Wpierw
trwożliwie, a potem coraz bardziej agresywnie pieściła je
językiem.

Odsunął ją od siebie.

- Rozbierz się!

- To ty mnie rozbierz - rzuciła pośpiesznie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wstrzymała oddech,
gdy ujął w dłonie skraj jej swetra. Ściągnął go, wpatrując
się w jej biust. Marcie sięgnęła za siebie i rozpięła stanik
na plecach, pozwalając mu się zsunąć. Chase zaczął szybko
oddychać.

Chwycił ją za ramiona i położył na dywaniku. Rozpiął
spódnice i ściągnął ją. Aby zdjąć pończochy, uwolnił je naj-
pierw z pasa, odpinając podwiązki.

Gdy zdjął pas, wsunął rękę między jej uda. Oboje zgodnie
jęknęli. Palce, które jej dotykały, były delikatne i pewne sie-
bie. Zręcznie oddzielił kciukiem fałdki i bez trudu odnalazł
wrażliwy punkt. Zawrzała w niej krew.

- Chase!!!

Czekał na ten moment. Ściągnął spodnie, po czym ich
ciała ponownie się połączyły.

Wydała przejmujący okrzyk, a Chase mamrotał coś w upo-
jeniu. Przez kilka chwil pozostawali bez ruchu.

Następnie odsunął się nieco, by spojrzeć jej w twarz. Gdy ich wzrok się połączył, zaczął wolno poruszać się w niej. Czuła go głęboko, tak głęboko, że ogarnął ją bezmiar posiadania, pozbawiając kontroli zmysłów. Ciemne włosy spadały mu z czoła dziko i w nieładzie. Oczy świeciły ogniem, dodając mu męskiej atrakcyjności, mięśnie ramion i piersi napinały się nieustannie. Czuła i widziała, jak jest wspaniały.

Na chwilę wysunął się, po czym ponownie w niej zatonał. Jedną ręką pieścił brodawki. Wzdrygnęła się i mimowolnie zamknęła oczy. Objęła go w biodrach udami. Wsunął rękę pomiędzy ich złączone ciała i pieścił ją wszędzie, jednocześnie wciskając się jak najgłębiej.

I wreszcie cała miłość do niego, nie spełniona przez lata, osiągnęła kulminację w tym olśniewającym, cudownym szczycie.

Zamarł w bezruchu, smakując tę rozkosz. Gdy nieco ochłoneła, zaczął ponownie się w niej poruszać. Zaskoczyła go, jak również samą siebie, unosząc biodra na spotkanie jego pchnięciom.

Do czasu, gdy osiągnął szczyt, ona zdążyła przeżyć następny. Przylegali ciasno do siebie, dysząc, jęcząc i wspólnie pogrążając się w rozkoszy.

Gdy następnego poranka, około jedenastej, ktoś zastukał do drzwi gabinetu Marcie, odczuła ulgę. Państwo Harrisonowie, którzy przebywali u niej od dziewiętej - zgodnie z umową - doprowadzali ją niemal do szaleństwa.

Tego szczególnego ranka jej próg wytrzymałości psychicznej był niższy niż zazwyczaj.

- Proszę! - krzyknęła.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Marcie - odezwała się Esme. - Jest tutaj twój mąż. Chciałby z tobą porozmawiać.

Marcie zerwała się ze swojego miejsca za biurkiem.

- Mój mąż?

W tym momencie dostrzegła rękę Chase'a nad głową asystentki, przytrzymującą drzwi.

- Czy mogę na chwilę?

Nie spodziewała się zobaczyć go w swoim biurze. Ledwo udało jej się wymówić:

- Oczywiście. Jestem pewna, że państwo nie będą mieli nic przeciwko temu, żebym na chwilę zostawiła ich samych. Proszę kontynuować przeglądanie ofert - zwróciła się do klientów, okrążając czarne lakierowane biurko.

Mężczyzna westchnął, podniósł się z krzesła i poprawił spodnie.

- My właściwie już skończyliśmy. Żona chyba nigdy nie znajdzie tego, co mogłoby ją zadowolić.

- Ja? Przecież podobał mi się ten z czterema sypialniami na Sunshine Lane - odparowała zrecznie. - To ty powiedziałeś, że nie potrzeba nam tak dużo przestrzeni. Narzekałeś, że podwórze jest zbyt wielkie. To ty odrzuciłeś ofertę tego ślicznego domu, gdyż jesteś zbyt leniwy, by kosić trawnik, który, jak się domyślam, również się tam znajduje. To ty nie potrafisz się zdecydować.

- Państwo Ralph i Gladys Harrisonowie, mój mąż, Chase Tyler - odezwała się Marcie.

- Miło pana poznać. - Harrison wymienił z Chase'em uścisk dłoni.

- Mnie również.

- No dobrze, Ralph. Chodź już. Czy nie widzisz, że oni chcą zostać sami? - Gladys popychała męża w stronę drzwi.

Esme wzniosła oczy do nieba, po czym wyszła za nimi i zamknęła drzwi. Stali przed sobą twarzą w twarz, z zakłopotania nie podnosząc na siebie wzroku.

- Czy to ci klienci, o których mi opowiadałaś?

- Ach, są jak główna wygrana na loterii, prawda? Nie wierzę, że kiedykolwiek zdecydują się na kupno jakiegoś domu. Oglądanie ofert jest chyba ich hobby. Daje im to dodatkowe powody do sprzeczek. Niestety, mnie to kosztuje cenny czas, nie mówiąc już o cierpliwości, jakiej nie mam zbyt wiele.

- To coś dla ciebie.

Wyjął zza pleców bukiet różowych tulipanów i zmieszał się jeszcze bardziej.

Marcie odebrała je od niego.

- Nie mam dzisiaj urodzin.

- To bez szczególnej okazji - rzucił lakonicznie. - Musiałem dziś rano wyskoczyć do sklepu, żeby zrobić zakupy dla biura. Przechodząc obok kwaciarni, zobaczyłem ten bukiet na wystawie. Zatrzymałem się i pomyślałem, że może ci się spodoba.

Zdumiona, wlepiła w niego wzrok.

- Tak? Podoba mi się. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wolno ogarniał wzrokiem pokój. - Miłe jest twoje biuro. Fantazyjnie urządzone. W niczym nie przypomina siedziby Spółki Wiertniczej Tylera.

- No cóż, mamy odmienne zadania.

- Istotnie.

- Czy masz już jakieś wieści na temat waszego kontraktu?

- Nie.

- Myślałam, że może przyniosłeś te kwiatki z tego powodu.

Zakasłał. Ona poprawiła niesforny kosmyk włosów. Zdjęła celofanowe opakowanie z kwiatów.

- Przyszedłeś tu porozmawiać? - spytała go po dłuższej chwili ciszy. Rano wyszedł z domu na długo przedtem, zanim wstała.

- Powinniśmy porozmawiać, Marcie.

Mówił i wyglądał poważnie. Nigdy przedtem nie odwiedził jej w biurze. Jeżeli nie było to absolutnie konieczne, nawet nie dzwonił do pracy.

Jedynie coś wyjątkowo ważnego i pilnego mogło być przyczyną tej nie zapowiedzianej wizyty. Przyszło jej do głowy, że chciał się wycofać ze swojego zobowiązania.

- Siadaj, Chase.

Wskazała na niewielką sofę, na której przed chwilą siedzieli Harrisonowie. Spoczął na brzegu, wpatrując się w białe płytki na podłodze.

Marcie wróciła na swoje krzesło, czując, że musi mu pomóc wydobyć z siebie to, o czym chce mówić. Położyła tulipany na blacie biurka. Wstawienie ich do wazonu nie wydawało jej się w tym momencie najważniejsze.

- O czym chcesz rozmawiać, Chase?

- O ubiegłej nocy.

- Co w związku z nią?

- Nie byłem później szczególnie rozmowny.

- Istotnie, powiedziałeś bardzo niewiele, ale za to treściwie. Dokładnie mi wyłuszczyłeś swój punkt widzenia. Usłyszałam: „Osiągnęłaś dwukrotnie zadowolenie, więc teraz nie powinnaś się skarżyć”.

- Dokładnie tak powiedziałem. - Westchnął i zwiesił głowę.

Ciemne, kręcone włosy utworzyły koronę wokół jego głowy. Chciała ich dotknąć, podziwiać chłopięcy urok, bawić się nimi. Ale dotknięcie go wydawało jej się teraz tak odległe, jak zdawkowa była ich rozmowa poprzedniej nocy.

- Marcie, tak dłużej być nie może.

Podniósł głowę i przerwał na chwilę, jakby spodziewając się odpowiedzi. Ona jednak siedziała w ciszy, bez żadnego szczególnego wyrazu twarzy. Gdyby spróbowała się w tym momencie odezwać, wiedziała, że zarówno jej głos, jak i kontrola nad sobą zawiodłyby.

- Zachowujemy się jak dwa zwierzęta w klatce, które bezustannie miotają się i szarpią nawzajem. Nie jest to dobre ani dla ciebie, ani dla mnie.

- Nie przypisuj sobie prawa do tego, by decydować, co jest dla mnie dobre, a co nie!

- Nie odwracaj się do mnie plecami. Ja tylko próbuję przeanalizować naszą sytuację. Pomyślałem, miałem nadzieję, że możemy o tym porozmawiać bez złości.

Położyła białe, zimne dłonie na blacie biurka.

- Co zamierzasz? Proszę, powiedz po prostu to, co chcesz powiedzieć.

- Uważam, że nie powinno się traktować seksu jak walki. -

W odpowiedzi kiwnęła potakująco głową. - Podczas naszej nocy poślubnej, gdy po raz pierwszy kochaliśmy się...

- Tamtej nocy nie kochaliśmy się. Było to coś bezosobowego. Tak jakbyś przystawił mi pieczętkę na czole.

- Świetnie! Wielkie dzięki.

- Wiesz, że to prawda.

Zanurzył palce we włosach.

- Obiecałaś nie irytować się.

- Nie obiecywałam niczego takiego.

Jeśli miał zamiar rzucić ją i zrobić z niej pośmiewisko przed całym miastem, które i tak zawsze stroiło sobie żarty z Sówki, chciałyby, żeby wreszcie przestał obchodzić ją na palcach i po prostu to zrobił.

- Czy możesz przez chwilę posiedzieć cicho i wysłuchać mnie do końca? - zapytał z rozdrażnieniem. - Wiesz, że ta rozmowa nie jest dla mnie łatwa.

W jego słowach brzmiała gorycz. Była pewna, że chce wykręcić się z tego małżeństwa i oczekuje, że ona mu to ułatwi.

- Chase, powiedz mi wprost.

- W porządku. Myślę, że na początek powinniśmy zacząć ze sobą sypiać.

Spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. Jakimś cudem udało jej się nie okazać zdumienia. Wstrzymała oddech, aż zakręciło się jej w głowie i musiała niepostrzeżenie chwycić się krawędzi biurka.

- Nie chodzi mi jedynie o sypianie razem w potocznym tego słowa znaczeniu. Mam na myśli dzielenie wspólnej sypialni, życie ze sobą jak prawdziwy mąż i żona.

Posłał jej niepewne spojrzenie, po czym podniósł się z sofy i zaczął się przechadzać tam i z powrotem wzdłuż jej biurka.

- Dużo o tym myślałem zeszłej nocy, Marcie. Nie mogłem spać. To, co powiedziałem wczoraj, no wiesz, to była złośliwość. Czuję się później głupio, jak diabli. Stało się dla mnie jasne, że prowadzimy grę, kto kogo przetrzyma. Każda niedziela doprowadzała nas do irytacji. To bezsensowne.

W naszą noc poślubną wzięłem cię, nie zważając na to, co czujesz. Myślę, że mogłem cię nawet zranić. - Zatrzymał się chwilę i spojrzał na nią. - Czy tak było?

Zamiast potwierdzić, potrząsnęła przecząco głową.

- To dobrze. Chociaż tyle. Ostatniego wieczoru, gdy wróciliśmy do domu, uwiodłaś mnie. Najwycyżajniej w świecie zostałem uwiedziony. Doprowadziłaś do tego i... i dostałaś, co chciałaś. Gdy dotykałaś mnie, ledwo mogłem ukryć, jak cię pragnę. A ty, Marcie, domyślam się, też mnie chciałaś. Zawsze mieliśmy ze sobą dobre układy. W szkole byliśmy przyjaciółmi. Dopiero od momentu zawarcia małżeństwa skrzyżowaliśmy szpady. Zeszłej nocy w ciągu godziny doszedłem do tego, dlaczego tak się stało.

Zbliżył się do okna i wsunął dłoń w tylne kieszenie dżinsów.

- Jest to sprawa nieodpartej siły wzajemnego przyciągania się. Wyraźnie to czuję i wydaje mi się, że ty też. - Wyrzwał przez okno. - Dlatego uważam, że głupota jest walczyć z tym. Jesteśmy dorośli, mieszkamy we wspólnym domu, stanowimy legalne małżeństwo, a wciąż zaprzeczamy sobie nawzajem w tym, co jest głównym spoiwem tego związku. Myślę, że powinniśmy skończyć z tymi nonsensami i poddać się. A przynajmniej spróbować. Tak, to prawda, że postanowiliśmy dwa tygodnie temu żyć w cnocie i utrzymywać to małżeństwo tylko z nazwy. Ale chyba nie byłaś z tego zadowolona, o ile ostatnia noc mogłaby być jakimś wskaźnikiem. Chcę powiedzieć, że chciałaś tego tak samo jak ja.

W gruncie rzeczy była zadowolona, że nie domagał się odpowiedzi, ponieważ wciąż czuła się niezdolna do wyartykułowania choćby jednego słowa. Widocznie Chase przypominał sobie kolejno wszystko, co chciał jej przekazać, by potem wysłuchać jej.

- Ty wiesz, dlaczego ożeniłem się z tobą. Ja wiem, dlaczego za mnie wyszłaś. Oboje jesteśmy inteligentni. Lubię cię i szanuję. Myślę, że jest to wzajemne. Zeszłej nocy skosztowaliśmy wspólnie trochę seksu.

Podniosła na niego wzrok. Odwrócił głowę.

- W porządku, dobrego seksu - poprawił się. - Przez długi czas żyłem w seksualnej aktywności. Nawet po śmierci Tani. Czasem był to dla mnie jedyny sposób, by zapomnieć...

Przerwał, opierając ręce na biodrach i zwieszając głowę, jakby układał myśli, po czym zaczął od nowa:

- W każdym razie nie chciałbym cię zhańbić, idąc do innej kobiety. Poza tym nauczono mnie, że niewierność to najgorszy grzech, jaki można popełnić. - Spojrzał na nią. - Ale nie potrafię żyć bez seksu.

Skinieniem głowy wyraziła swoje zrozumienie.

- Nie chciałbym traktować tego jak zawodów, w których zdobywamy punkty przeciwko sobie. Nasze życie seksualne może stanowić rozszerzenie naszej przyjaźni, prawda? Jeśli będziemy wspólnie pracować nad tym, by dopasować się w łóżku, myślę, że będzie nam łatwiej dopasować się w innych dziedzinach. Chyba powinniśmy dać sobie szansę.

Odczekał chwilę, po czym odwrócił się do niej twarzą.

, - No i co na to powiesz?

- Cześć!

- Cześć!

Powitała Chase'a przy drzwiach z błyszczącymi oczami i niepewnym uśmiechem. Wciąż nie mogła uwierzyć w ten zwrot, jaki nastąpił kilka godzin temu w jej biurze. Uszczyplęła się, czy przypadkiem nie śni.

Chase pochylił się i pocałował ją niezdarnie w policzek. Po jego długiej przemowie wspólnie zgodzili się wymazać z pamięci ich pierwszy miesiąc małżeństwa i rozpocząć życie od nowa. Tylko jedna rzecz nie dawała mu spokoju. Chciał koniecznie się upewnić, że Marcie bierze środki antykoncepcyjne. Zapewniła go, że tak.

- Od jak dawna jesteś w domu? - zapytał.

- Chwilkę. Czy ciągle pada? - Strzepnęła z kurtki krople wody, po czym powiesiła ją na wieszaku.

- Kropi. Och, coś tu wspaniale pachnie!

- Kurczak.

- Był telefon od tego zboczeńca?

- Nie.

- To dłączego słuchawka leży obok aparatu?

Jej niebieskie oczy przesłały mu bezsłowną, lecz wymowną odpowiedź.

Westchnął ciężko.

- Chcesz drinka? - spytała.

- Jasne.

- Jesteś głodny?

- Nawet bardzo.

- Gotowy do obiadu?

- Nie!

Nie mogli sobie później przypomnieć, jak się znaleźli na górze. Całował ją długo z pasją i żarem. Gdy oboje byli już nadzy, przywarli do siebie mocno dla zwykłej przyjemności dotykania się ciałem do ciała, męskością do kobiecości.

Czując, z jaką precyzją opuszki jego palców poruszają się po jej ciele, Marcie jęknęła. Przyciągnęła jego głowę do swoich piersi w oczekiwaniu na pieszczotę ust. Było to przesywająco słodkie.

Położył się na łóżku na plecach i pociągnął ją na siebie. Nagle uświadomiła sobie, że fale rozkoszy, jakie odczuwa, ogarniają również jego.

Chwilę później, nasyciona, leżała na nim, słuchając, jak przyspieszone uderzenia ich serc stopniowo wracają do normy.

Uniosła głowę i badawczo spojrzała mu w twarz.

- Teraz chyba jesteś gotowy do obiadu - odezwała się.

W tym momencie Chase zrobił coś, czego nie robił przez ponad dwa lata, będąc w łóżku z kobietą: uśmiechnął się.

Przez następne dni często przyłapywał się na tym, że się uśmiecha. Bywało, że całkowicie zapominał o smutku, nie-szczęściu i osieroceniu. Nadal myślał o Tani, po kilka razy dziennie, ale te wspomnienia nie działały na niego hamująco i osłabiająco. Skoro życie nie mogło być tak słodkie, idylliczne i różowe, jak było niegdyś, dobrze, że jest przynajmniej znośne.

Może nawet więcej niż znośne - przyjemnie znośne.

To Marcie sprawiła, że tak się stało.

Była wesoła i skora do żartów, inteligentna i interesująca, wymyślała nowe miejsca, gdzie mogli pójść, i mnóstwo czynności, które mogli razem wykonywać. Wybrali się nawet na zawody rodeo odbywające się w pobliskim miasteczku. Zaskoczyło ją, że po tym wszystkim nadal jej się to widowisko podoba. Kładła rękę na jego udzie i szeptała, że bardzo się cieszy, bo tym razem jest widzem, a nie uczestnikiem.

- Wołałabym o pomstę do nieba, gdybyś pozwolił zniszczyć swoje wspaniałe ciało.

Czerpał radość z tych prostych komplementów. Często mówiła mu takie rzeczy. Za każdym razem zaskakiwały go i sprawiały przyjemność. Czasami bywała słodka, kiedy indziej figlarna, a niekiedy wręcz sprośna.

Stała się jego nieodłączną częścią, co potwierdzała rodzina Chase'a. Teraz przy każdej okazji mówiło się „Chase i Marcie” na jednym oddechu. Sage zaczęła często telefonować z daleka, z Austin, żeby spytać Marcie o radę w tej czy innej sprawie. Devon prosiła Marcie, by towarzyszyła jej w poszukiwaniu wyprawki dla dziecka. Wybierała się też z Laurie na zakupy, by pomóc jej w wyborze nowej sukienki. Lucky często zadawał sobie pytanie, jak mógł być w takim błędzie, sprzeciwiając się kiedyś ich małżeństwu.

- Dobrze, że mnie nie posłuchałeś, Chase - powiedział ostatnio bratu. - Miałeś rację, wybierając Marcie na żonę. Ona jest jak wygrana na loterii. Mądra. Ładna. Ambitna. Seksowna. - Ostatnie słowo zostało wypowiedziane z pytającą intonacją.

- Seksowna. - Chase próbował powstrzymać uśmiech, który zaczął pojawiać się na jego twarzy, począwszy od kącika warg. Nie całkiem mu się to udało. Jego brat zaśmiał się głośno.

- Aż tak seksowna?

- Aż tak.

- Tak sobie właśnie myślałem. Te rude... - zaczął Lucky - mają coś w sobie, prawda? Jakiś żar wewnętrzny.

Chase niewątpliwie byłby skłonny przyznać mu rację, ale uznał tę dyskusję za niezręczną. Żartobliwie uderzył brata pięścią w brzuch.

- Jesteś perwersyjny, mówiąc w ten sposób o swojej ciężarnej żonie. - Gdy była mowa o dziecku, zachowywał się spokojnie, nie okazując, że igiełka bólu wbija się niekiedy w jego serce. - Biedna Devon. Czy nadal kochasz się z nią?

Lucky zmarszczył brwi.

- Można to przecież robić na wiele sposobów, wielki bracie. Czyżbyś o tym nie wiedział?

Wiedział o tym doskonale.

On i Marcie wypróbowali już chyba wszystkie i wynaleźli kilka własnych.

Jednego wieczoru, gdy wygodnie rozsiadł się w fotelu przed kominkiem, oglądając w telewizji film detektywistyczny, Marcie przyniosła mu miskę prażonej kukurydzy. Kukurydza rozsypała się, a on i Marcie siedzieli objęci, łapiąc oddech. Wyszukiwanie ziarenek w jej ubraniu było bardzo ekscytujące. Kilka dni później uznał, że nie mniej podniecające, radosne chwile można przeżyć pod wspólnym prysznicem.

Ona odczuwała podobnie. Miała gorący temperament i wbrew pozorom była uosobieniem zmysłowości.

Ostatniego wieczoru ich powitalny pocałunek przy drzwiach przemienił się w jeszcze jedno erotyczne doświadczenie.

- Nie mogę się już ciebie doczekać - szeptła, trzymając wargi tuż przy jego uchu, rozpięła mu spodnie i wsunęła w nie rękę.

Po chwili klęczała przed nim i pieszczące dłonie zastąpiła ustami. Gdy leżeli już na sofie, zdołał tylko powiedzieć:

- Jesteś wspaniała!

Żył z nią już dostatecznie długo, by zauważyć, iż nadal uważa się za tę samą Sówkę Johns, którą była jako niezgrabny podłotek. Zawodowe wyobrażenie o sobie miała pozytywne. Ale gdy chodziło o wygląd, wciąż trwała w niepewności.

- Żałuję, że nie jestem piękna.

Leżeli blisko siebie w wielkim łożu. W przeciwieństwie do ich nocy poślubnej, pozostawiali teraz zapalone światło tak długo, aż poczuli się wyczerpani i gotowi do snu.

- Jesteś śliczna, Marcie.

Potrząsnęła głową.

- Chciałabym być.

- Naprawdę jesteś śliczna - upierał się, całując miękkie, pełne wargi.

A później, gdy gładził jej piersi, westchnęła z rozpaczą.

- Szkoda, że nie są większe.

- To nieważne. Za to są takie wrażliwe. - Pieszczoty językiem potwierdziły to. Gdy kochali się, żadne z nich nie zauważało niedostatków drugiego.

Życie Chase'a tak wzbogaciło się o nowe doznania zmysłowe, że nawet rezygnował z drinka w „Miejscu” i nigdy nie zwlekał z powrotem do domu. Wracał później tylko wtedy, gdy skłaniały go do tego ważne powody. Jeśli Marcie czasami nie było wieczorem w domu, bo musiała pojechać z klientami, by pokazać im dom, chodził niespokojnie z kąta w kąt, dopóki się nie pojawiła.

Zawsze mieli sobie dużo do powiedzenia. Zwierzali się, jak minał dzień. Mógł z nią prowadzić interesujące rozmowy na różne tematy. Była też zaskakująco dobrą kucharką. A nade wszystko okazała się niezrównaną kochanką, śmiałą, obdarzoną wyobraźnią.

To dlatego, idąc teraz do domu, obawiał się zbliżającego się wyjazdu służbowego do Houston. Może uda mu się przekonać Marcie, by zostawiła agencję na kilka dni w odpowiedzialnych rękach Esme i pojechała z nim. Mogli złożyć rewizytę jej rodzicom. Mogliby porobić trochę zakupów. Tak, może pojedzie z nim.

Wszedł do domu i głośno ją zawołał, chociaż nie zauważył samochodu przed domem. Odłączył alarm, posegregował pocztę i wyjął ze skrzynki gazety. Wyciągnął piwo z lodówki i poszedł sprawdzić, czy nie zostawiła mu informacji, gdzie jest i kiedy spodziewa się wrócić. Dziś kartki nie było.

Szedł właśnie na górę, by się przebrać, gdy zadzwonił telefon. Zawrócił, podszedł do stolika i odebrał.

- Halo?

- Kto to?

- A z kim pan chciał rozmawiać?

Od kilku tygodni dręczyciel Marcie nie dawał znaku życia. Parę dni temu wróciła do tego tematu: „Mówiłam ci, że tak będzie. Rezygnował ze mnie i znalazł sobie inną ofiarę. Taką, która nie ma przy sobie tak przystojnego męża i zarazem obrońcy przed konkurentami”.

Chase zastanowił się, czy to możliwe, że jest to ten mężczyzna.

- Dzwonię do pani Tyler - oznajmił rozmówca.
- Przy telefonie Tyler, czym mogę panu służyć?
- Kiedyś rozmawiałem z panią Tyler.
- W jakiej sprawie?
- Remontu. Jestem z zawodu malarzem pokojowym. Pani Tyler dzwoniła do mnie i prosiła o wstępne oszacowanie kosztów.

Chase rozluźnił się. To nie był dręczyciel Marcie.

- Przykro mi. Nic mi na ten temat nie wspominała.
- To było kilka lat temu. Dziś nagle przypomniałem sobie tę rozmowę, kiedy jechałem Woodbine Lane obok państwa domu. Później pani już nie zadzwoniła do mnie. Domyślam się, że znalazła kogoś innego do malowania, ale jeśliby państwo kiedykolwiek potrzebowali...

- Chwileczkę, panie...
- Jackson.
- Panie Jackson, powiedział pan, że rozmawiał z moją żoną kilka lat temu? Kiedy to było?
- Mniej więcej w czasie, gdy spalił się budynek waszej firmy, Spółki Wiertniczej Tylera.

- I ona dzwoniła w sprawie tego właśnie domu?
- Tak. Powiedziała, że jeszcze go państwo nie kupiliście, ale nosicie się z tym zamiarem. Potrzebowała kogoś do odmalowania pokoju dzieciennego i innych. Chciała wiedzieć, ile zażądać. - Po krótkiej przerwie, nie słysząc rozmówcy, zapytał: - Panie Tyler? Jest pan tam jeszcze?

- Nie potrzebujemy nikogo do malowania.

Powoli odkładał słuchawkę. Chwilę stał bez ruchu, wpatrzony przed siebie nie widzącym wzrokiem. Następnie odwrócił się i długo patrzył na olbrzymi salon z widokiem na las. Próbował spojrzeć na ten pokój innymi oczami, martwymi teraz, zamkniętymi na zawsze.

Usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi. Odwrócił się na pięcie, jakby się spodziewał, że w otwartych drzwiach

pojawi się duch Tani. Zamiast tego ujrzał Marcie, zgarniającą właśnie rozwiane włosy.

- Cześć! - powiedziała bez tchu. - Liczyłam na to, że uda mi się dotrzeć do domu przed tobą, ale, jak widzisz, nic z tego. Zatrzymałam się przy chińskiej restauracji i wzięłam na wynos dwie porcje obiadu. Chyba dobrze zrobiłam. Miałam dzisiaj dosłownie urwanie głowy, wszyscy chcieli oglądać domy! - Zaśmiała się.

Siatkę z aromatycznym jedzeniem postawiła na stoliku obok telefonu, zsunęła z siebie żakiet i zdjęła pantofelki.

- Zawsze na wiosnę następuje ożywienie w handlu nieruchomościami. Myślę, że niektórzy ludzie wolą przeprowadzić się do nowego domu niż robić porządki w starym...

Gwałtownie przerwała swoją radosną paplaninę, widząc, że stoi sztywno przy stoliku, nie mówiąc ani słowa. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

- Chase? - Gdy nie odpowiedział, dotknęła jego ramienia. - Co się stało? Coś nie w porządku?

Strząsnął jej dłoń ze swojego ramienia. Oczywiście miał ciemne i nieprzejednane.

- Chase, powiedz coś! - krzyknęła.
- Jak długo mieszkasz w tym domu, Marcie?
- Jak to, jak długo?
- Od jak dawna?
- Och, nie pamiętam dokładnie. - Wzięła ze stoliczka torbę z jedzeniem i skierowała się do kuchni.

- To niedorzeczność! - Wyrwał jej torbę i odstawił z powrotem na stół. Chwycił ją mocno za ramiona. - Marcie, ty pamiętasz wszystko. Masz fotograficzną pamięć. - Potrząsnął nią lekko. - Kiedy kupiłeś ten dom?

- Ubiegłego lata.
- Dlaczego?
- Bo mi się podobał.
- Dlaczego?!
- Bo mi się podobał.
- Czyją był własnością, zanim go kupiłeś?

- Chase!

On z kolei ryknął:

- Od kogo go kupiłaś?!

Walczyła ze łzami. Zwilżyła językiem wargi. Widać było, że jest zbita z tropu. Usta miała jak z gumy, ledwo mogła mówić.

- Od ciebie.

- No, tak! - Odwrócił się i walnął pięścią w ścianę. Następnie powtórzył jeszcze kilka takich ciosów.

Błągalnym gestem dotknęła jego ramienia.

- Chase, proszę, pozwól mi wyjaśnić.

- Co wyjaśnić? Mam już teraz pełny obraz. To dom Tani.

- To mój dom - zaprotestowała. - Kupiłam go.

- Ode mnie. Ponieważ traktujesz mnie jak wybryk natury potrzebujący miłosierdzia.

- To nieprawda. Kupiłam go, gdyż chciałam tu stworzyć dom. Miałaś kiedyś w nim zamieszkać.

- Tak, ale z inną kobietą! - krzyknął. - Z żoną, którą kochałem. Czy to dla ciebie nic nie znaczy? Czy nie masz nieco więcej dumy, żeby zamieszkać w innym miejscu? Tak bardzo chciałaś osiedlić się tutaj, że musiałaś oszukiwać?

- Nigdy cię nie oszukiwałam.

- Och, naprawdę? To dlaczego nie wspomniałaś nawet, że to na punkcie tego właśnie domu Tania tak szalała? Domu, który oglądała z tobą tuż przed swoją śmiercią. Domu, który tak koniecznie chciała mi pokazać.

Spuściła wzrok pod jego oskarżycielskim spojrzeniem. Podniósł palcem jej brodę, tak by musiała patrzeć mu w oczy.

- Nieważne, co odpowiesz. I tak wiem dlaczego. Ponieważ zdawałaś sobie sprawę, że gdy się o tym dowiem, tak właśnie będę się czuł.

- Może podeszłam do tego w niewłaściwy sposób. Ale chciałam jedynie cię uszczęśliwić.

- Uszczęśliwić?! - wykrzyknął. - Uszczęśliwić? Wiesz, jak to wygląda? Dokładnie tak, że kopulowałem z tobą w domu Tani!

- Ale bardzo ci się to podobało! - odkrzyknęła w odpowiedzi.

Nie spuszczała z siebie wzroku przez kilka sekund. Następnie, mamrocząc przekleństwa, Chase udał się na górę. Marcie pobiegła za nim i ujrzała, że na łóżku leży otwarta walizka, a on pakuje do niej rzeczy.

- Chase! - krzyknęła łamiącym się głosem. - Dokąd?

- Do Houston. - Nawet nie raczył na nią spojrzeć. Wszedł do łazienki i zaczął zgarniać swoje przybory toaletowe do kosmetyczki.

- Dlaczego?

- Planowałem jechać jutro rano, ale teraz widzę, że lepiej będzie, jeśli pojedę jeszcze dziś wieczorem.

- Kiedy wrócisz?

Wyminał ją w drzwiach, umieścił saszetkę w walizce, po czym ją zamknął.

- Nie wiem.

- Chase, poczekaj!

Zbiegał już na dół. Wyprzedziła go i przy drzwiach zastąpiła mu drogę.

- Proszę, nie jedź.

- Muszę jechać. To wyjazd służbowy.

- Ale nie wyjeżdżaj w ten sposób. Nie w takiej złości. Daj mi jakąkolwiek szansę wytłumaczenia. Poczekaj z wyjazdem do rana.

- Po co? Żebyś kolejną serią igraszek seksualnych zastąpiła moje wspomnienia o Tani?

Zesztywniała z urazy.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? Jestem twoją żoną!

Prychnął niegrzecznie.

- Na papierze, Marcie. Tylko na papierze, ale nigdy tam, gdzie się to naprawdę liczy.

Zerwał swoją kurtkę z wieszaka i już go nie było.

- Lucky? Tu Marcie.
- Witaj, moja ulubiona szwagierko! Jak się masz?
- Świetnie - skłamała.

Chase wyjechał przed trzema dniami. Nie miała od niego żadnej wiadomości. Nie wiedziała, gdzie się zatrzymał w Houston ani jaki był dokładnie cel jego wyjazdu, więc nie miała sposobu, by go tam odszukać. Ponieważ nie mogła znieść tego dłużej, przełknęła dumę i zadzwoniła do Lucky'ego, by zasięgnąć nieco informacji.

- Jak leci? Tęsknisz za mężem?
- Trochę.

Bardzo. Samotność zżerała ją. Gdy budziła się, bez końca przypominała sobie scenę jego wyjazdu. Pragnęła, żeby okazała się ona jedynie nocnym koszmarem. Tęskniła za nim nawet we śnie. Wyciągała rękę, żeby go dotknąć, i budziła się przerażona, że nie ma go przy niej i może już nigdy nie być.

- Devon i ja rozmawialiśmy o tym, żeby zabrać cię któregoś wieczoru do miasta na kolację podczas nieobecności Chase'a - mówił Lucky - ale ostatnio nie czuła się zbyt dobrze.

- Z przykrością to słyszę. A jakie ma wyniki badań?

- Dobrze, ale lekarz kazał jej ograniczyć chodzenie, więcej odpoczywać, no i zachować cierpliwość przez następne tygodnie.

- Jeśli w jakiś sposób mogę pomóc...

- Zadzwon do niej. Może to poprawi jej nastrój. Przez ostatnie dni zachowuje się nerwowo.

- Zadzwonię do niej wieczorem.

- To miło z twojej strony.

Rozmowa przeciągała się. Czekał, aż wyłuszczy powód, dla którego dzwoniła.

- Lucky, czy rozmawiałeś może dzisiaj z Chase'em?
- Jasne. Dzwonił zaraz po spotkaniu.
- Spotkaniu?

- Z przedstawicielami firmy, która rozpiła konkurs. Przebież po to tam pojechał.

- Tak, wiem. Po prostu nie wiedziałam, że to spotkanie ma się odbyć dzisiaj. - Miała nadzieję, że ten blef zabrzmiał przekonująco.

- Prowadzili rozmowy kwalifikacyjne z trzema finalistami. Chase napalił się na ten kontrakt jak diabli. To coś więcej niż tylko pieniądze. To sprawa jego dumy. Domyślam się, że sprawiła to twoja pożyczka. On chce teraz koniecznie udowodnić zarówno tobie, jak i sobie samemu, że nie zrobiłaś złej inwestycji.

- Czy korzystanie z moich pieniędzy tak nadszarpuje jego dumę?

- Nie - odparł Lucky, a po chwili dodał: - Ale on chce poczuć, że znów jest odpowiedzialny.

- Bo naprawdę jest.

- My o tym wiemy, ale nie jestem pewny, czy on jest o tym przekonany.

- Skoro rozmawiałeś z nim...

- On z pewnością do ciebie zadzwoni. Prawdopodobnie był zajęty. Miał jeszcze jedno spotkanie tego popołudnia.

„Pewnie z adwokatem do spraw rozwodowych” - pomyślała zgnębiona.

- Tak, przypuszczam, że zadzwoni do mnie dziś wieczór. Chyba że jest już w drodze do domu!

- Nie spodziewałbym się go tak szybko. Powiedział, że nie wróci do domu, dopóki nie ogłoszą wyników konkursu i nie podpiszą kontraktu.

- Tak, to samo mi mówił przed wyjazdem. - „Odkąd to stałam się taką kłamczuchą?”

- Jeśli rozpali się na myśl o tobie, tak że nie będzie w stanie tego dłużej znieść, wskoczy w furgonetkę i pobije rekord prędkości podróży - drażnił się z nią.

Niestety, nie czuła się na siłach, by mu odpowiedzieć na ten żart.

- No to pozdrów Devon ode mnie, gdy wrócisz do domu.

Spróbuję zadzwonić do niej wieczorem. I miej do niej cierpliwość!

- Obiecuję bezustannie *szczyrzyć* zęby w uśmiechu i znosić dzielnie humory, dopóki dziecko się nie urodzi. Pa!

Odłożyła słuchawkę. Z niechęcią weszła do kuchni i nalała sobie szklanek mleka. Od czasu gdy Chase wyjechał, apetyt jej nie dopisywał.

Wiele godzin później, gdy leżała w łóżku i przeglądała ostatnie przepisy podatkowe, na nocnym stoliczku zadzwonił telefon. Spojrzała na niego podejrzliwie i postanowiła nie odbierać. A jeśli to dzwoni Chase?

- Halo?

- Jadę do ciebie - odezwał się szeptem. - Chcę, żebyś zobaczyła, jak mi stoi z twojego powodu.

Przełamując opory, spytała:

- Kto to? Dlaczego nie przestaniesz do mnie wydzwaniać?

- Chcę, żebyś dotknęła i poczuła, jaki jestem twardy.

- Przestań!

- Wiem, że męża nie ma przy tobie. Nie masz nikogo teraz, prawda? Musisz być bardzo rozpalona. Będiesz zadowolona, gdy mnie zobaczysz u siebie.

Odłożyła słuchawkę i rozpłakała się. Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem nie odebrała. Próbowała się uspokoić. Jeśli to on dzwoni, to oczywiście nie może w tym samym czasie włączyć się do niej do domu. Pomimo to włożyła szlafrok i zbiegła na dół. Z przerażeniem sprawdzała wszystkie drzwi i okna. Podeszła do systemu alarmowego, żeby upewnić się, czy jest włączony. Zastanawiała się, czyby nie zadzwonić do Lucky'ego, ale uznała, że on i tak ma teraz dość kłopotów na głowie.

W rozmowach z Chase'em sama podkreślała, że ci telefoniczni zboczeńcy nigdy nie podejmują konkretnych działań. Osiągali spazm rozkoszy w wyniku samego tylko straszenia swoich ofiar. Zazwyczaj byli to mężczyźni terroryzowani przez kobiety albo mieli do nich uraz. Więc dlaczego tak się przestraszyła tego ostatniego telefonu?

Dlatego, że zadzwonił do niej tej nocy, gdy Chase wyjechał, i że dzwonił co noc od tamtej pory. Wiedział doskonale, kiedy wychodzi i kiedy wraca, i wydawało się, że wie o wiele więcej. Poza tym po raz pierwszy zaczął ją straszyć, że do niej przyjdzie. Zaostrzył więc swój telefoniczny terrorizm.

Pozostawiła na dole zapalone światła, te wewnątrz i na zewnątrz domu, po czym wróciła do sypialni. Ale przez długi czas nie mogła zasnąć. Każdy dźwięk w domu potęgował się.

Beształa się w duchu za to, że obawia się czegoś tak śmiesznego jak głupie rozmowy telefoniczne. Skulić się ze strachu i tolerować coś takiego to nie było w jej stylu. Zawsze zmagła się z problemami, trzymając wysoko podniesione czoło.

„Jutro - przyrzekła sobie - zrobię coś, co położy temu kres”.

Wrócił do domu na Woodbine Lane po sześciu dniach nieobecności. Nie było jeszcze całkiem ciemno, chociaż słońce już zaszło i podwórze pogrążyło się w cieniu drzew.

Zobaczył, że nie ma samochodu Marcie. Ucieszył się, bo nie był pewny, co zamierza jej powiedzieć, gdy ją zobaczy. Wyjazd sprawił, że jego gniew osłabł, ale wciąż czuł się zakłopotany faktem, że mieszka w domu Tani z inną kobietą, i na dodatek sprawia mu to przyjemność. Nie mogąc sobie z tym poradzić, zaczął roztrząsać, jak Marcie manewrowała nim i manipulowała bez skrępowań.

Wsunął klucz w szparę zamka wejściowych drzwi i próbował go przekręcić. Ku własnemu zaskoczeniu i zaniepokojeniu nie mógł otworzyć drzwi. Po kilku kolejnych próbach cofnął się, oparł ręce na biodrach, zaklął i zaczął zastanawiać się nad innym sposobem dostania się do domu.

Jedyne rozwiązanie, jakie mu w tej sytuacji przychodziło do głowy, to stłuczenie jednej ze szklanych szyb przy drzwiach wejściowych i otwarcie od wewnątrz. Potem musiałby natychmiast dostać się do skrzyneczki z cyfrowym alarmem, zanim ten zdążyłby się włączyć.

Przeprowadził mały rekonesans na podwórzu w poszukiwaniu kija. Okienko roztrzaskało się po pierwszym mocnym uderzeniu. Wsunął rękę do środka, wymacał zamek, odemknął zatrask i otworzył drzwi. Gdy skierował się w stronę urządzenia alarmowego, jego buty zaskrzypiały na potłuczonym szkłe. Wystukał kod, który wyłączał urządzenie, ale buczenie nie ustało.

- Cholera!

Co tu się właściwie dzieje? Jeszcze raz próbował wystukać kod, skrupulatnie wciskając guziczki, ale buczenie nie ustępowało. Wiedząc, że centralna skrzynka alarmowa znajduje się w pokoiku przylegającym do salonu, rzucił się biegiem w tym kierunku z nadzieją, że zdąży się tam dostać i odłączyć urządzenie, zanim włączy się właściwy alarm.

- Stój! Ani kroku dalej!

Wyhamował gwałtownie. Zatrzymał go oślepiający strumień światła. Zasłonił oczy.

- Chase!

- Zabierz to światło!

Lampa została wyłączona, ale nadal był oślepiony jej blaskiem. Minęło kilka sekund, zanim się pozbierał. Marcie była właśnie przy skrzynce alarmowej. Wstukała numerki we właściwej kolejności i buczenie ustało. Cisza, jaka teraz nastąpiła, zrobiła się bardzo wymowna.

Zdziwił go widok żony, która w jednej ręce trzymała latarkę o dużej mocy, a w drugiej pistolet.

- Czy jest naładowany? - zapytał.

- Tak.

- Czy zamierzasz użyć go, celując we mnie?

- Nie.

- To proponuję, żebyś go oddała.

Zbliżył się do niej ostrożnie i wyjął broń z jej ręki. Wpa-trywała się w niego uporczywie, nie odrywając wzroku. Jej oczy okalały fioletowe obwódki przypominające sińce powstałe w wyniku uderzenia. Pamiętał, że tak samo wyglądały, gdy leżała w szpitalnym łóżku, tuż po wypadku samochodowym. Wtedy również była błąda, ale nie tak jak teraz.

Zabezpieczył pistolet i położył go na brzegu stołu. Następnie wyjął z jej ręki latarkę i również odłożył na bok.

- Czy zechcesz mi powiedzieć, co tu się dzieje? Skąd masz broń?

- Kupiłam ją we wtorek.

- Wiesz, jak jej używać?

- Mężczyzna pokazał mi...

- Jaki mężczyzna?
- Właściciel lombardu.
- Coś podobnego!

Oklapła nagle i już w następnej sekundzie leżała zwinięta w kłębek na sofie. Ukryła twarz w dłoniach.

Okresy słabości bądź ataki płaczu zupełnie nie były w jej stylu. Usiadł przy niej.

- Marcie, co się właściwie stało? Co robiłaś z tym pistoletem?

- Nie zamierzałam nikogo zastrzelić. Zamierzałam go tylko przestraszyć.

- Kogo przestraszyć?

- Dręczyciela! - Podniosła głowę i spojrzała na niego. Jej wypełnione łzami oczy wydawały się większe i smutniejsze. - Od czasu gdy wyjechałeś, dzwonił każdej nocy. Czasem nawet po dwa albo trzy razy.

Chase zeszywniał.

- Mów dalej.

- Wiedział, że jestem tutaj sama. Mówił o tym, że ciebie nie ma. Wie, gdzie mieszkamy. I... i powiedział, że zamierza przyjść do mnie. Chase - powiedziała, a zęby zaczęły jej dzwonić - nie mogłam tego dłużej znieść. Musiałam coś zrobić. Zmieniłam wszystkie zamki. Ustaliłam nowy kod w systemie alarmowym. A dziś wieczorem, gdy usłyszałam cię na ganku i gdy wybiłeś szybę, to...

Objął ją ramionami i przycisnął do siebie.

- W porządku. Teraz już rozumiem. Wszystko będzie dobrze.

- Nic nie będzie dobrze. On nadal będzie działać.

- Już niedługo. Tym razem położymy temu kres, i to raz na zawsze.

- Jak?

- Zrobimy to, co powinnaś zrobić w pierwszej kolejności. Pojedziemy zobaczyć się z Patem.

- Och nie, proszę. Czuję się cholernie głupio, robiąc z tego sprawę na policji.

- Zapewniam cię, że gdybyś przypadkiem wpakowała we mnie kulę, czułabyś się jeszcze bardziej głupio.

Zadrżała.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek się na to zdobyła, by pociągnąć za spust.

- Ja również nie sądzę, żebyś była do tego zdolna - powiedział rzeczowo. - Więc w efekcie pozostałabyś nadal bezbronna, przebywając tu sama. - Podniósł pistolet ze stołu i zatknął go lufą za pas. - Zbieraj się, jedziemy.

- Teraz właśnie? - zdziwiła się.

- Tak. Chcę zakończyć sprawę z tym zbrojeńcem.

Włączyli alarm. Z wybitym oknem niewiele się dało zrobić, więc zostawili je tak, jak było.

- Gdzie jest twój samochód? - zapytał, gdy wyszli na ścieżkę przed domem.

- Zaczęłam parkować go z tyłu domu.

Chase pomógł jej wsiąść do furgonetki, a sam wsiął się na siedzenie za kierownicą. Gdy wracał z Houston po spędzeniu czterech godzin za kółkiem, cieszył się na myśl, że wreszcie wydobędzie się z samochodu. Ale ostatnio rzadko zdarzało się, aby sprawy układały się zgodnie z jego przewidywaniami.

- Rozmawiałam z Luckym - powiedziała cicho Marcie, gdy ruszyli. - Mówił, że pojechałeś do Houston, by zdobyć kontrakt.

- Firma, która zaproponowała to zlecenie, zawęziła zainteresowanie do trzech spółek wiertniczych, które zgłosiły się do tej pracy. Chcieli zobaczyć się z nami osobiście. Opłaciłem pięć noclegów w hotelu i przez tydzień stołowałem się w restauracjach, tymczasem oni wybrali ekipę z Wiktorii.

Bezelowa okazała się czterogodzinna jazda na trzystukilometrowej trasie. Inwestycja, na którą poświęcił dwa miesiące i wiele troski, a z którą łączył tak wielkie nadzieje, nie przyniosła mu nic, prócz wygórowanego rachunku hotelowego.

Co gorsza, nie miał żadnych innych widoków na rozkrę-

cenie interesu. Dzięki pożyczce Marcie nie musiał się martwić, jednak jego duma i ambicja zawodowa mocno ucierpiały.

- Przykro mi, Chase. Wiem, że liczyłeś na tę pracę.

Szorstko skinał głową, zadowolony, że dotarli już na miejsce i nie musi więcej rozmawiać na ten temat.

Natknęli się na Pata w korytarzu, gdy właśnie wychodził.

- Dokąd idziesz? - zapytał go Chase.

- Dorwać jakiegoś cheeseburgera. Nie jadłem dzisiaj obiadu.

- Możemy z tobą porozmawiać?

- Jasne. Najlepiej będzie, jeśli pójdziecie ze mną.

- Kiedy to sprawa służbowa.

Jedno spojrzenie na Marcie najwidoczniej przekonało szeryfa, że sprawa jest istotnie poważna. Dowodził tego również pistolet zatknięty za paskiem Chase'a. Pat skierował kroki do swojego biura i przytrzymał im drzwi.

- Proszę, wejdźcie.

Biuro szeryfa nic się nie zmieniło od czasu, gdy Bud Tyler przyprowadzał tu chłopców. Podczas gdy mężczyźni dyskutowali o polityce, dyscyplinach sportowych i lokalnych wydarzeniach, Chase i Lucky dumnie poruszali się wśród imitacji pistoletów i przypinali do koszul odznaki, jakie dawał im Pat.

Pewnego razu dostali ostrą reprimendę za to, że wykorzystując moment, gdy ojciec i szeryf nie patrzyli na nich, dorysowali wąsy i okulary na listach gończych. Innym razem oberwali pasem za wpuszczenie zapalanej petardy do jednego z pokoi, który zajmowali policjanci.

Chase wyjął zza paska pistolet i położył go na brzegu biurka. Pat przyjrzał mu się z bliska, jednak z jego ust nie padł żaden komentarz. Poczekał, aż usadowią się na prostych, drewnianych krzesłkach po drugiej stronie biurka, po czym zapytał:

- Co was sprowadza?

- Marcie nękają telefony.

- Telefony? Masz na myśli nieprzyzwoite, czy tak?

- I z pogroźkami.

- On po prostu mówi, że przyjdzie do mnie, żeby... żeby...

- Żeby wprowadzić w czyn to, co zapowiada prze/. lele fon? - podsunął Pat.

- Właśnie tak. - Siedziała ze spuszczoną głową.

- Czy to jest na pewno mężczyzna?

- Tak.

- A nie rozpoznajesz jego głosu?

- Nie. Za każdym razem szepcze, z premedytacją nadajin swemu głosowi inne brzmienie.

- Kiedy to się zaczęło?

Uniosła dłoń do skroni i zaczęła masować czoło.

- O ile dobrze pamiętam, kilka miesięcy temu.

- Jeszcze zanim byliśmy małżeństwem - dodał Claise.

- Hmm. Czy za każdym razem mówi to samo?

- Nie, a dlaczego?

- Być może mamy do czynienia nie z pojedynczą <sol> ale na przykład z jakąś gromadką małaolatów. Mogą próbować przekonać się, kto z nich potrafi rzucić najwstrętniejs/y d-k-i czy dostać najlepszą odpowiedź albo coś w tym stylu.

Lekko potrząsając głową, Marcie odparła:

- Nie sądzę.

- Ja również. - Chase wychylił się do przodu. (idy Marcie powiedziała mi o tym po raz pierwszy, potraktowałem tego faceta jak przypadkowego zboczeńca, który osiąga pizy jemność, wygadując w słuchawkę nieprzyzwoite słowa. Myślałem, że w końcu mu się to znudzi i przerzuci się na kój>!', innego. Ale tak się nie stało, Pat. Za każdym razem, gdy dzwoni, straszy ją niemiłosiernie. Ma chyba jakieś poważniejsze zamiary.

Pat wyjął zapałkę z pudełka leżącego na biurku i przygrwał ją zębami. Wiele lat temu rzucił palenie i zamienił papierosy na zapalczane patyczki.

- Co robiłaś, Marcie, gdy dzwonił?

- Na początku po prostu odkładałam słuchawkę. Ale on z natręctwem powtarzał telefony, czasem po kilka razy w aa

gu nocy. W końcu postanowiłam słuchać, mając nadzieję, że rozpoznam jego głos. Pomyślałam, że może to być ktoś, z kim mam na co dzień do czynienia: sprzedawca w sklepie, pracownik stacji benzynowej czy też kasjer w banku, który za każdym razem ze mną flirtuje. Chciałam zawstydzić go, zwracając się do niego po nazwisku. Ale jak do tej pory nie udało mi się go zidentyfikować.

- A może jakiś kochanek z przeszłości ze złamanym sercem?

- Nie.

- A ten twój były narzeczony z Houston? - wtrącił się Chase.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem w oczach.

- Ależ on by nigdy czegoś takiego nie zrobił!

- Skąd masz tę pewność? - Chase nie ustępował.

- A co, to jakiś były kochanek? - zapytał Pat z zainteresowaniem.

- Szeryfie Bush, zapewniam, że to nie on.

- Jak możesz być tego pewna?

- Ponieważ on nie ma rozwiniętej wyobraźni seksualnej.

Już prędzej podejrzewałabym Chase'a niż jego.

Pat odkaszlnęła, zasłaniając przy tym dłonią usta. Marcie zwilżyła wargi i podjęła próbę zatuszowania popełnionej gafy.

- To na pewno nie mój były narzeczony - zapewniła gorliwie. - Poza tym sprawiało to wrażenie rozmów miejscowych. A nie na tak duże odległości.

- W każdym razie lepiej podaj mi jego nazwisko.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Sprawdzimy jego rachunki za zamiejscowe rozmowy na pocztę. Jeśli nie okaże się tym mężczyzną, nigdy się o tym nie dowie.

- Ale już sama myśl o zakłócaniu jego prywatności...

- Chcesz w końcu znaleźć tego zbrojnego czy nie? - zapytał Chase ze zniecierpliwieniem.

Marcie niechętnie podała szeryfowi nazwisko byłego narzeczonego.

- Obiecuję, że będziemy dyskretni - uspokajał ją l'al < X chylił się na krzesło. - Dlaczego do tej pory nie przyslił mi o tym powiedzieć?

- Ja chciałem - oznajmił Chase. - To Marcie naliy.il.i. żeby wstrzymać się z tym.

- Dlaczego? - zaciekawiał się Pat.

- Myślałam, że w końcu przestanie dzwonić.

- Ale skoro nie przestał, to dlaczego mnie o tym mc /a wiodomiłaś?

Splotła ręce.

- Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że po prostu chciałam sama rozwiązać ten problem. W gruncie rzeczy sytuacja im była tak zła aż do ostatniego tygodnia. Zaczął dzwonić <vi, ściej i miał inny głos, wyraźnie zmieniony.

- Zmieniony? To znaczy, jaki?

- Nie brzmiało to tylko wulgarnie. Była w tym jaka:, /lu wieszczość. Powiedział, że przyjdzie... - Znowu polaila <K n mi czoło.

- Rozumiem, że nie jest to łatwe - zauważył <K n Pat.

- Zapewniam cię, że nie. - Chase zaakcentował <K w lal. i sposób, że wzięła się w garść. Jednym tchem wyrecytowała

- Powiedział, że czuje się gotowy, by zaspokoić mój <ksualny apetyt w czasie nieobecności męża. Nic dokładni, tymi słowami, ale taki był sens.

Chase warknął:

- Jeśli kiedykolwiek ten skurczybyk dostanie się w niu|r ręce, to...

Pat przerwał, mierząc w niego wskazującym palcem

- Jedyne, co zrobisz, to będziesz się od niego lr/ywał z daleka. Dokładnie to chcę powiedzieć, Chase. Dupino i <> finansowałaś protezę dla tego faceta, którego nagi/nitu ile, w „Miejscu”. Czy wy się, chłopcy, nigdy nie nauczy i ic ' <

- Nikt nie będzie wygadywał takich sprośności do m<|ij żony i czerpał z tego seksualne zadowolenie.

- To już sprawa policji - oznajmił Pat i dodał, wskazując na pistolet: - A o tym które z was mi opowie?

- Kupiłam to do własnej obrony - odezwała się Marcie, a jej policzki zaróżowiły się z zakłopotania.

- To był głupi pomysł - skwitował otwarcie Pat.

- Och, nie strzeliłabym z tego do nikogo. Chyba nie myślisz, że byłabym do tego zdolna?

Patrzył na nią przez chwilę, po czym sucho stwierdził:

- Jeśli ktoś chodzi z naładowanym pistoletem, to jedyny wniosek, jaki mogę z tego wyciągnąć, to ten, że zamierza go użyć.

- Omal do mnie nie strzeliła - wtrącił Chase i opowiedział Patowi o swoim niefortunnym powrocie do domu.

- Ci telefoniczni zbrojeńcy rzadko posuwają się do czynu. Z reguły są tchórzliwi. Nie zrozum mnie źle, Marcie. Powinnaś się mieć na baczności. Zamykaj okna i drzwi i włączaj alarm, nawet jak jesteś w domu. Ale nie dajmy się zwariować z tego powodu.

- Co zamierzasz zrobić?

- Pierwszą rzeczą, jaką zrobimy jutro rano, będzie zainstalowanie podsłuchu. Co prawda sądzę, że niewiele to da. Prawdopodobnie ten facet dzwoni z budek i wie, jak długo może rozmawiać, po czym się wyłącza.

Pat otworzył drzwi i zawołał jedną z funkcjonariuszek.

- Chciałbym, żeby Marcie poszła z policjantką i przytoczyła jej kilka przykładów z tego, co usłyszała od tego faceta. Klucz słowny może się okazać bardzo ważny. Postaraj się powtórzyć dokładnie słowa, których on używa - zwrócił się do Marcie. - Spiszemy raport i wyślemy go do Dallas. Każemy im wrzucić to na komputer. Jeśli ten facet robił to już wcześniej, znajdziemy go.

Chase pomógł Marcie wstać, po czym objął ją w talii. Podszedł z nią do drzwi i podprowadził do policjantki.

Pat zatrzymał go.

- Może być mniej skrupowana, jeśli nie będziesz jej towarzyszył.

- Jestem przecież jej mężem!

- Zaufaj mi. A poza tym chcę z tobą porozmawiać.

Chase ponownie przekroczył próg pokoju. Pat zamknął drzwi i wrócił na swoje krzesło za biurkiem.

- Jak ci poszło w Houston?

- Konkurs wygrał kto inny, więc wróciłem do domu bez kontraktu.

- Przykro mi, Chase. Ale nie przejmuj się. W końcu wygrzebicie się z tego dołka.

- Zaczynam w to wątpić. - Przez chwilę wpatrywał się nie widzącym wzrokiem w przestrzeń. - Chociaż spotkałem tam jednego interesującego faceta. Nazywa się Harland Boyd. Pracuje w jakiejś firmie powiązanej z wiertnictwem i boryka się ze wszystkimi kłopotami, w jakie wpada spółka. Może jest po prostu sztukmistrzem z żyłką biznesmena, w każdym razie jego słowa brzmią bardzo przekonująco. Powiedział, że może będzie miał dla nas kilka pomysłów. Nie pozostaje mi nic innego, jak być otwartym na wszystko.

- Chase?

- Tak? - Chase podniósł głowę. Ton głosu starszego mężczyzny wyraźnie się zmienił. Chase odniósł wrażenie, że w umyśle Pata krąży coś jeszcze.

- Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek odebrać telefon, gdy dzwonił ten facet wygadujący sprośności?

- Chyba odłożyłby słuchawkę, prawda?

- Ale czy zdarzyło się to kiedyś?

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Kiedy Marcie po raz pierwszy powiedziała ci o nim?

- Zaraz, niech pomyślę. Chyba tego wieczoru, gdy pojechałem do niej, by zwrócić pieniądze za mój pobyt w szpitalu.

- Ile czasu upłynęło od tego momentu do chwili, gdy zaczęliście rozmawiać o zawarciu małżeństwa?

- A jakie, do diabła, ma to znaczenie? Do czego zmierzasz, Pat? Nie zadajesz chyba zupełnie przypadkowych pytań?

- Jak układa się wam pożycie?

- Nie twój zakichany interes!

- O, mylisz się, Chase. W chwili gdy przestąpiłeś ten próg i położyłeś na moim biurku załadowany pistolet, stało się to moim interesem.

- Dobrze, więc wróćmy do sedna sprawy - powiedział szorstko Chase. - Co nasze małżeństwo ma wspólnego z tym zbroczeniem?

- Może nic, a może wszystko. - Pat pochylił się do przodu i oparł łokcie o krawędź biurka. - Czy nie zastanowiło cię, dlaczego on nie dzwoni, gdy jesteś w domu?

Teraz Chase zrozumiał, co wyobrażał sobie szeryf. Zerwał się ze złością z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. Dopiero po pewnym czasie zatrzymał się i spytał:

- Sądysz, że ona to wszystko zmyśliła?

- Istnieje taka możliwość.

- Nie! Do diabła, nie! Przecież to śmieszne.

- Ale możliwe.

- Poczekaj! - rzekł triumfalnie Chase. - Byłem w domu raz, gdy dzwonił.

- Słyszałeś go?

- Nie. Odłożył słuchawkę, zanim dobiegłem do aparatu. Posłuchaj, Pat. To, co sugerujesz, jest zupełnie bezpodstawne. Czemu ona poświęcałaby tyle czasu na opracowanie i prowadzenie takiej gry?

- Żeby zdobyć twoją sympatię, uwagę i zainteresowanie. Takie rzeczy się zdarzają.

Chase parsknął śmiechem.

- Módl się, żeby moja szwagierka Devon nigdy nie dowiedziała się, że coś takiego podejrzewasz.

- Mówię tylko, że niektóre kobiety...

- Niektóre kobiety może tak, ale nie Marcie - zaprzeczył zdecydowanie Chase. - Nie ona. To poukładana, stąpająca mocno po ziemi, pragmatyczna osoba.

- Teraz taka jest - powiedział Pat z naciskiem - ale doskonale pamiętam, gdy była chudzińką w okularach, z marchewkową główką, z której wszyscy stroili sobie żarty.

Pat wstał i okrążył biurko. Przysiadł na rogu i wskazał Chase'owi krzesło.

- Dotychczas nie wypowiadałem się na temat waszego małżeństwa na papierze. Uznałem, że komentowanie tego nie jest moją sprawą.

- Słuszne spostrzeżenie.

Pat zignorował uwagę i mówił dalej:

- Uważam, że dorosły mężczyzna, jakim niewątpliwie jesteś, ma prawo podejmować własne decyzje i być uznanym za odpowiedzialnego, o ile się ich konsekwentnie trzyma. Ale Laurie uzmysłowiła mi pewne fakty, o których do tej pory nie miałem pojęcia.

- Powiedziała ci o pieniądzach?

Wyraz twarzy Pata złagodniał nagle.

- Chase, wszyscy wiedzą, co czujesz w związku z Tanią, Marcie też wie. Ale nawet pozbierana pragmatyczna kobieta chce być kochana. One chcą być kochane wyłącznie, nie dzielić tej miłości z kimś. Każda kobieta chce, żeby jej mężczyzna tylko ją jedną dostrzegał.

- Od kiedy ty, kawaler, możesz poszczycić się takim znawstwem kobiet?

Pat uśmiechnął się.

- Może nie jestem aż takim znawcą kobiet jak ty, ale gdy chodzi o przypadki jak ten, wiem, co mówię. Nie twierdzę, że tak na pewno jest. Wymieniam po prostu jedną z możliwości.

- Mylisz się, Pat. Cholernie się mylisz.

- Mam nadzieję. Ale skoro się mylę, to dlaczego Marcie tak długo zwlekała z przyjściem do mnie?

- Ona zazwyczaj sama daje sobie radę. I trzeba przyznać, że jej się to udaje.

- Może właśnie ta niezależność powoduje, że potrzeba jej czegoś, co uczyni ją w twoich oczach bardziej kobiecą?

- Nie poświęcaj się aż tak, by grać rolę psychologa, Pat.

- To moja praca.

- Tak, ale to nie jest miłe.

- Dla mnie również. - Nie zrażając się, kontynuował: - Dlaczego na przykład nie zmieniała numeru telefonu?

- To proste. Może się zdarzyć, że klienci podejmą nagłą decyzję w sprawie kupna domu i będą chcieli się z nią skonsultować. Z tego samego powodu nie zastrzegła sobie numeru.

Pat rzucił okiem ponad ramieniem Chase'a. Za jego plecami otworzyły się drzwi. Weszła Marcie.

- Już skończyliśmy.

- Zdaję sobie sprawę, Marcie, że nie było to dla ciebie łatwe - odezwał się Pat. - Dzięki, że tak dzielnie się spisałaś. Rano przyśle człowieka, który zainstaluje przy waszym telefonie podsłuch. - Uśmiechnął się do nich, ale Chase znał go wystarczająco długo, by podejrzewać, że ten uśmiech jest wymuszony. - Bądźcie teraz ostrożni, rozmawiając przez telefon. Pamiętajcie, że ktoś tego słucha.

- On mi nie uwierzył, prawda? Wydaje mu się, że ja to wszystko wymyśliłam.

Jechali w milczeniu. Ponad dwupasmową autostradą zlewały się wierzchołki drzew, tworząc jakby tunel oświetlony jedynie światłami samochodów.

- Naturalnie, że Pat ci wierzy.

- Okaż mi trochę zaufania, Chase. - Ze znużeniem oparła głowę o siedzenie. - Zawsze podkreślasz, że jestem mądra. Mam tej mądrości wystarczająco dużo, by przejrzeć twojego przyjaciela szeryfa na wylot.

- On jest również twoim przyjacielem.

- Był. Do dzisiejszego wieczoru. Jestem pewna, że on uważa mnie za histeryczną babę, która knuje głupie intrygi w nadziei, że utrzyma przy sobie męża, bo ożenił się z nią dla pieniędzy, a nie z miłości. Prawda?

Chase nie potrafił ukryć zdenerwowania.

- Jego praca polega na tym, by patrzeć na sprawy z różnych stron. Czasem nie jest to dla niego miłe, zwłaszcza gdy rola szeryfa miesza się z rolą przyjaciela. Nie miał ochoty aresztować Lucky'ego, gdy badał sprawę podpalenia, ale uczynił to, bo uważał takie postępowanie za swój święty obowiązek.

- Wyraził jednak wątpliwości co do istnienia mojego tajemniczego rozmówcy, tak?

- To w zasadzie nie były wątpliwości.

Nie odezwali się już ani słowem do końca podróży. Gdy dotarli do domu, Chase poszedł przodem i pozapalał światła.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

- Istotnie. Jak tylko się wykąpię, pójdę do łóżka. - Gdy

dotarła do połowy schodów, przypomniawszy sobie o czymś. -
Twoja korespondencja leży na barze. ^

- Dziękuję.

Zupełnie nie wiedziała, czego może się spodziewać od Chase'a po jego powrocie do domu. Nie miała gwarancji, że w ogóle wróci, a nie zdziwiłoby jej, gdyby oznajmił, że wyprowadza się i żąda rozwodu.

Nie mogła jeszcze odczuć ulgi, choć do tej pory nic na ten temat nie wspomniał.

Ciepła woda pomogła rozluźnić się napiętym mięśniom. Świadomość, że Chase znajduje się w domu, działała na nią tak uspokajająco jak najlepszy balsam.

Ale gdy wycierając się usłyszała dzwonek telefonu, koszmara odżyła na nowo. Z jednej strony oburzała się, że ten zboczeniec zakłóca jej spokój, z drugiej - modliła się, żeby teraz to był on.

Pośpiesznie wytarła się do sucha i naciągnęła na siebie szlafrok. Pobiegła do sypialni, gdzie Chase właśnie słał łóżko.

- Kto dzwonił?

- Mama. Przed chwilą telefonował do niej Pat.

- W mojej sprawie?

- Nie. Po prostu wspomniawszy jej, że dotarłem już do domu. Zadzwoń, by powiedzieć mi „cześć”.

- Och! Pomyślałam sobie, że to mógł być... on.

- Nie. A teraz kładź się. - Przytrzymał róg kołdry, a ona wślizgnęła się w pościel i ułożyła głowę na poduszce. Nocna lampka świeciła jej prosto w twarz. Wyciągnęła rękę i zgasiła ją.

Błada, zmęczona bezsennymi nocami, wyglądała jak wrak. Przez ostatnie dni upodobniła się do rudowłosego stracha na wróble.

- To miałyby sens, prawda? - spytała.

- Co?

- No, wymyślenie przeze mnie tego tajemniczego mężczyzny. Jesteś zbyt rycerski, by zostawić kobietę w tarapatkach.

- Zrozum, Marcie, skoro Pat ma ochotę rozpatrywać jakieś wzięte z sufitu teorie, to jego sprawa. W końcu to jego praca. Ale nie przypisuj tych teorii mnie.

- Możesz przypuszczać, że kłamię.

- Nie.

- W zeszłym tygodniu mieliśmy sprzeczkę. Wyszedłeś z domu, nie mówiąc, gdzie będziesz ani kiedy wrócisz. W czasie twojej nieobecności ten zboczeniec stawał się coraz bardziej agresywny i przerażający. Nic dziwnego, że Pat jest przekonany, że zmyśliłam tę całą historię. To prawie klasyczny przypadek.

- Nie zamierzam dziś w nocy kłócić się z tobą na ten temat. Potrzebujesz teraz snu. Nie sądzę, żebyś dobrze spała, gdy mnie tu nie było. Weź to. - Wyciągnął rękę, w której trzymał tabletkę.

- Co to jest?

- Jeden z tych środków uspokajających, które dał mi lekarz, gdy miałem połamaną zebra. Jeśli weźmiesz jedną, z pewnością ci pomoże zasnąć.

- Nie, dziękuję. Lepiej nie. Zasnę bez tego.

- Na pewno?

- Na pewno.

Wzruszył lekko ramionami.

- Dobranoc.

Dotarł już prawie do drzwi, gdy wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Kupiłam dla ciebie!

Chase zatrzymał się i odwrócił w jej kierunku.

- Co?

- Ten dom.

- Teraz nie czas na to, aby się zagłębiać w tę kwestię, Marcie. Jesteś wyczerpana.

- Ale nie będę miała spokoju, dopóki nie zrozumiesz, dlaczego to zrobiłam.

- Doskonale rozumiem. Okłamałaś mnie, chcąc, żebym mieszkał z tobą w domu Tani.

- To mój dom!
- Tylko dlatego, że za niego zapłaciłaś. Tak naprawdę zawsze będzie należał do Tani.

- Ale to ja odkryłam ten dom. Zobaczyłam go pierwsza, przed Tanią. - Usiadła raptownie. - Tania nawet by o nim nie wiedziała, gdybym nie przywiozła jej tutaj i nie pokazała.

- To nasuwa pewne trafne pytanie. Skoro tak bardzo ci się podobał i chciałaś w nim mieszkać, to dlaczego pokazałaś go Tani? Czemu nie kupiłaś go po prostu dla siebie?

- Ponieważ chciałam, żebyś ty w nim mieszkała!

Przez chwilę wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, po czym zapytał:

- A to dlaczego?

Po tym tragicznym wypadku jeszcze bardziej chciała, żeby go miał jako pewnego rodzaju rekompensatę za to, co stracił. Gdy okazało się, że nie zamierza mieszkać w tym domu, który nabył po zgonie Tani, w głowie Marcie zaczął kiełkować ten właśnie pomysł.

Zasugerowała Lucky'emu, że kupującym jest ktoś inny, nie ona sama. Od dnia, gdy stała się właścicielką tego domu, posuwała się w ściśle określonym kierunku - przygotowywała go dla Chase'a i zabiegała o to, by żyć tu z nim. Miał to być dla niego podarunek. Chciała, by nigdy się o tym nie dowiedział. Kupiła meble i urządziła go w taki sposób, żeby mu się spodobał. Zaplanowała dokładnie wszystko.

Los sprzyjał jej zamiarom. Bogowie uśmiechnęli się do jej planu. Lata nieprzerwanej, daremnej miłości miały zostać w końcu wynagrodzone. I wreszcie miała okazję zrekompenzować mu wypadek, który pozbawił go ukochanej żony.

Z jego punktu widzenia wyglądało to jednak zupełnie inaczej.

Teraz, gdy stał bez ruchu, szukając w jej twarzy możliwego do przyjęcia wyjaśnienia, zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu po prostu prawdy: wszystko, co uczyniła, zrobiła dlatego, że go kocha, że zawsze go kochała. Ale wyznanie bezwzajemnej i dozgonnej miłości było dla niej zbyt trudne.

- Próbowałam w ten sposób wynagrodzić ci stratę innego rodzaju, Chase - powiedziała łamiącym się głosem. - Chciałam dać ci z powrotem chociaż część tego, co straciłeś. Oczywiście paskudnie to spartaczyłam.

Napięcie z wolna zaczęło go opuszczać. Pochylił głowę i potarł dłonią kark.

- Nie sądzę, żebyś robiła to w złej intencji.

- Dzięki chociaż za to. - Zebrała całą odwagę i zapytała go: - Dokąd się stąd przeniesiemy?

- Nie wiem, Marcie. Jesteśmy oboje zbyt zmęczeni i rozstrojeni, by myśleć o tym dzisiejszej nocy. - Podszedł do drzwi i otworzył je. - Jeślibyś mnie potrzebowała, będę w sąsiednim pokoju. Dobranoc.

„Potrzebuję cię! - krzyczało jej serce. - Nie będziesz mi przeszkadzał, śpiąc tutaj”.

- Dobranoc.

Gdy wyszedł, położyła się na boku i podciągnęła kolana pod brodę. Łzy leciały strumieniami z jej oczu, spływając po policzkach i mocząc poszewkę. Nigdy już jej nie uwierzy. Poczul się przez nią oszukany. I gdyby miała być całkowicie szczerą przed samą sobą, musiałaby przyznać, że to właśnie zrobiła, ale tylko dlatego, że tak bardzo go kocha.

Twierdził, iż nie wierzy w spekulacje Pata Busha na temat rzekomych telefonów, jakie otrzymywała. Zaprzeczał, że traktuje je jako sposoby przyciągnięcia jego uwagi, czy inaczej - jako ostatnią, desperacką próbę starej panny, by utrzymać przy sobie mężczyznę. Ale gdyby nawet Chase miał wątpliwości, czy mogła go za to obwiniać?

Telefony były prawdziwe. Groźby również. Jeśli ten mężczyzna zadzwoni ponownie i Chase usłyszy nagranie jego głosu, przekona się, że mówiła prawdę. Tym razem nie oszukiwała go.

- Halo?

- Cześć, Marcie.

„Nareszcie! To on!” Serce zaczęło jej mocniej bić.

- Wreszcie przestań do mnie dzwonić - powiedziała, stając się, by w jej głosie nie usłyszał narastającego zdenerwowania. Nareszcie Chase jej uwierzy.

- Nie przestanę dzwonić, dopóki nie dostanę tego, czego chcę. A wiesz' przecież, czego chcę - dodał takim tonem, że ciarki przeszły jej wzdłuż kręgosłupa. - Chcę mieć ciebie gotową i drżąca.

- Jesteś odrażający.

- Hmmm, tak jest dobrze, Marcie. Tak dobrze! - Jęknął.

- Powinno się zamknąć cię w czterech ścianach. Jesteś chory. Zagrożasz społeczeństwu!

Zaśmiał się władczo.

- Wiem, że szeryf zamontował podsłuch do twojego telefonu. Ale wiem również, jak to obejść.

Blefował? Skąd mógł wiedzieć, że biuro szeryfa zostało poinformowane o jego telefonach?

- Wiem, jak długo mogę rozmawiać, by nie udało się zlokalizować telefonu, z którego dzwonię.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oni ci nie wierzą, Marcie. Ani szeryf. Ani twój mąż. Wydaje im się, że jestem wymysłem twojej fantazji.

Miała sucho w ustach. Ścisnęła mocniej słuchawkę, aż zbielała jej skóra na palcach.

- Chase mi wierzy.

Kolejny wybuch pełnego złośliwości śmiechu.

- Przyjdę do ciebie, Marcie. Wkrótce.

- Zostaw mnie w spokoju! Ostrzegam cię!

- Spodobam ci się, Marcie. Zobacysz. Jestem lepszym mężczyzną niż twój mąż. - Zachichotał. - Nie uratuje cię, gdy przyjdę.

- Przestań!

- Do widzenia, Marcie. Do zobaczenia.

- Nie! - krzyknęła, czując, że ogarnia ją panika. - Poczekaj! Nie odkładaj jeszcze słuchawki.

- Do widzenia.

- Gdy cię złapią, mój mąż cię zabije!

Zaśmiał się szyderczo.

- On cię nie kocha.

- Kocha. I będzie kochał.

- Nigdy, Marcie. Oszukałaś go. Do widzenia. Do zobaczenia wkrótce. Wkrótce, Marcie. Marcie. Marcie... Marcie...

Głos się zmienił i stał się głosem Chase'a. Otworzyła oczy. Zobaczyła, że mąż siedzi na skraju łóżka i delikatnie potrząsa ją za ramiona. Powtarzając jej imię obudził ją.

Z głośnym krzykiem przywarła do niego. Zawsze pogardzała kobietami, które używały swojej słabości i łez, by skruszyć mężczyzn. Ale gdy silne, ciepłe ramiona Chase'a objęły ją, zapomniała o swoich skrupułach. Przytuliła twarz do jego piersi.

- Miałaś jakiś straszny sen - wyszeptał. - Słyszałem twój krzyk. Ale teraz już nie śniesz, a ja jestem przy tobie.

- Trzymaj mnie mocno, Chase. Proszę!

Położył się przy niej, przyciągnął ją i nakrył ich oboje kołdrą. Pogłaskał ją po plecach, po czym ujął w dłonie jej głowę.

- On był przy telefonie.

- Ciii... Już go nie ma.

- Ale ja chcę, żeby był! - wykrzyknęła. - Chcę, żebyś go usłyszał. Chcę, żebyś się przekonał. Wówczas mi uwierzysz.

- Wierzę ci.

- On dosłownie czyta w moich myślach, Chase. Jakby wiedział, że chcę, aby zadzwonił, i celowo nie dzwoni.

- Ciii... Odpręż się. I postaraj się zasnąć.

Lucky wszedł do biura i wytarł buty na wycieracze. Obejrzał podeszwy i uznał, że są wystarczająco czyste, by mógł stąpać po podłodze. Chase trzymał stopy na brzegu biurka i tępo wpatrywał się przed siebie.

- Myślałem, że pojechałeś już do domu.

Chase opuścił nogi na podłogę i podniósł się.

- Nie, jeszcze nie.

- Wciąż leje jak z cebra.

- Tak.

Lucky zauważył, że Chase znowu zaczął pograżać się w swoich myślach. W ciągu ostatnich tygodni stał się niekomunikatywny i mrukliwy.

- Gdy wyszedłeś na lunch, dzwonił ponownie ten facet z Houston - odezwał się Lucky. - Harlan Boyd. Znalazłeś wiadomość?

- Tak.

- Oddzwoniłeś mu?

- Nie.

Lucky miał już na końcu języka pytanie, czemu, do diabła, nie, ale wiedział, że to sprowokowałyby kłótnię. A może jednak powinien to powiedzieć? Oczyszczyłoby to trochę atmosferę. Problemy brata nie dotyczyły jednak jego osoby. Nie wiązały się nawet bezpośrednio z firmą.

- Domyślam się, że ten zboczeniec nie odezwał się ponownie do Marcie. - Chase szybko odwrócił głowę i natychmiast przybrał podejrzliwy wyraz twarzy. Lucky wzruszył bezradnie ramionami. - Pat opowiedział mamie całą historię.

Chase gwałtownie zerwał się z krzesła.

- Do cholery! Teraz już wszystkim wam się wydaje, że ona jest wariatką!

- Nie, wręcz przeciwnie. Odczuliśmy dużą ulgę, gdy dowiedzieliśmy się, na czym polega problem. Podejrzewaliśmy już, że jest chora. Myśleliśmy, że jest to coś zbyt strasznego dla was obojga, by nam o tym powiedzieć. Czy myślisz, że jesteśmy ślepi, Chase? Wyraźnie straciła na wadze. Jest blada jak zjawia, a do tego nerwowa jak indyk w przeddzień Święta Dziękczynienia. Zazwyczaj panuje nad sobą, nie bywa wzburzona, jest wcieleniem opanowania i spokoju. Czy sądziłeś, że nie zauważymy tych zmian?

- Ale dlaczego poszliście z tym do Pata? Czemu nie zapytaliście mnie?

- Mama po prostu w trakcie rozmowy wyraziła swoją troskę o Marcie. Powiedziała, że zastanawia się, czy Marcie

nie jest chora... Wtedy Pat opowiedział jej o tym zboczeniu, który do niej wydzwaniał.

- I pewnie, gdy wyjawiał przeznaczone jedynie dla jego uszu informacje, nie zapomniał napomknąć, że uważa tego faceta za wytwór wyobraźni.

Lucky spojrzał przed siebie.

- Domyślam się, że mówił o tym! - rzekł z furią Chase.

- Słuchaj, ja od razu byłem przekonany, że tak nie jest. Devon, jak to usłyszała, prawie zagotowała się ze złości. Wyzwała Pata od konserwatystów i szowinistycznych dinosaurów. Powiem ci coś, Chase - dodał - jeśli nasze panie zjednoczą się kiedykolwiek przeciwko nam, będziemy naprawdę biedni. - Surowe wargi Chase'a rozchyliły się w lekkim uśmiechu, ale Lucky wiedział, że nie jest to całkiem szczery uśmiech. - A jak się mają inne sprawy?

Chase zapytał z naciskiem:

- Jakie sprawy?

- No wiesz, sprawy...

- Masz na myśli nasze życie seksualne? Chcesz dowiedzieć się, ile razy w tygodniu kocham się z moją żoną, czy tak?

Lucky z trudem pohamował wybuch złości. Uznał, że jeden mężczyzna z zaciśniętymi pięściami i czerwoną twarzą to aż nadto na tak małe biuro.

- Więc przyjmij do wiadomości, że to nie twój zakichany interes.

- Nie rób mi tego, Chase, miej serce. - Lucky próbował zjednać go sobie. - Devon i ja musieliśmy z tym definitywnie skończyć na czas tych ostatnich kilku tygodni. Pozostaje mi jedynie słuchanie opowieści innych.

- A pewny jesteś, że to nie ty wykonywałeś te telefony do Marcie?

Lucky zaśmiał się bez krzty obrazy. Po chwili spoważniał.

- Trafiłem, co? Wy nie sypiacie ze sobą?

Chase opadł z powrotem na krzesło.

- Rozpoznałem objawy, wielki bracie - powiedział Lucky

ze współczuciem.-- - Pamiętam doskonale ten czas, gdy tak bardzo pragnąłem Devon, a nie mogłem jej mieć, gdyż była wówczas mężatką. Omal nie wyszedłem z siebie z powodu tego nie zaspokojonego pożądania. - Przeciągnął taboret po podłodze i ustawił go tuż przed Chase'em. - Wtedy wstrzeźliwość została mi narzucona siłą. A w twoim przypadku zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego nie zbliżyłeś się do swojej ślicznej, seksownej żony, która tak bardzo jest w tobie zakochana.

- Ona wcale nie jest we mnie zakochana - odburknął Chase.

- Idioto! Nie jestem jedyny, który tak myśli. Matka i Devon zgadzają się ze mną. Również Sage.

- Och, oczywiście, skoro Sage tak myśli... A co sprawiło, że staliśmy się stałym tematem waszych rozmów?

- Zachowujecie się jak dwójka dzieciaków.

Chase rzucił wiązanek przekleństw. Lucky, nie dając się łatwo zbyć, przypomniał mu swoje pozostawione bez odpowiedzi pytanie.

- Dlaczego, Chase?

Chase zrobił ruch, by podnieść się z krzesła. Lucky popchnął go z powrotem na miejsce. Przez chwilę obaj bracia mierzyli się wzrokiem. W końcu Chase z obojętnością wrzucił ramionami.

- W porządku, niech ci będzie. Równie dobrze możesz się teraz dowiedzieć. I tak byś się tego dowiedział wcześniej czy później. I zapewne przez przypadek. Tak jak ja.

- Czego bym się dowiedział?

Chase zrelacjonował mu rozmowę telefoniczną, jaką odbył z malarzem pokojowym.

- On mówił o Tani. Dom, w którym teraz mieszkamy, to ten sam, który Tania wybrała i który chciała ze mną obejrzeć w dzień jej śmierci. Ten sam, który kazałem ci później kupić. Marcie powiedziała ci, że ma na niego kupca. Tymczasem tym kupcem była ona sama.

- Powiedziała mi - wyjaśnił Lucky, że pokieruje wszy-

stkim i sama załatwi wszelkie formalności związane ze sprzedażą. Nigdy bym nie zgadł, że to tak przeprowadziła.

- Zadziwiające, prawda? Możesz sobie chyba wyobrazić, jak się poczułem, gdy się o tym dowiedziałem.

- To nasuwa wniosek, że przez cały czas musiała bardzo cię kochać.

Chase chwycił Lucky'ego za ramię i odwrócił w swoją stronę.

- Co powiedziałeś? O czym ty mówisz?! Kochać?! Ona mnie oszukała. Dopuściła się zwykłego oszustwa!

- Człowieku, ty masz głowę muła! - krzyknął Lucky, zrywając się na równe nogi. - Jesteś zbyt głupi na to, by być moim bratem. Musiano zamienić noworodki w szpitalu.

- Przejdź do rzeczy - nalegał Chase.

Lucky przenikliwie wpatrywał się w szare oczy Chase'a, które nosiły w sobie zapowiedź burzy, jak niskie chmury przemykające po niebie w porze zmierzchu.

- Nie chcesz dojrzeć prawdziwego powodu. A może nie potrafisz zaakceptować faktu, że byłeś tak bardzo kochany? I to dwukrotnie. - Położył Chase'owi dłonie na ramionach. - Pomyśl, jaka twoim zdaniem jest najgorsza rzecz, która może ci się jeszcze w życiu przydarzyć?

Ciszę, jaka nastąpiła, przerwał ostry dźwięk telefonu. Chase, wdzięczny za tę przerwę w rozmowie, chwycił słuchawkę.

- Chase, jest tam Lucky?

- To Devon. Wygląda na coś pilnego.

Lucky złapał słuchawkę.

- Devon? Czy to...

- Tak. Właśnie odeszły mi wody. Dzwoniłam do lekarza. Kazał mi natychmiast przyjechać do szpitala. Bóle stają się coraz silniejsze.

- Boże! - Przeciągnął dłonią wokół twarzy. Znajdował się dobre dziesięć kilometrów od domu. - Dobrze. Wszystko w porządku. Spotkamy się w szpitalu. Pospiesz się. I powiedz mamie, żeby prowadziła ostrożnie. Pada deszcz!

- Jej tu nie ma.

- Co?!
- Wyszła.
- Wyszła? Dokąd wyszła?

- Chyba pojechała zawieźć jedzenie jakiemuś choremu znajomemu. W każdym razie wychodząc zabrała zupe i ciasto orzechowe.

- Devon! Niech to cholera weźmie! - krzyknął. - Usiądź.

Nie, połóż się. Tak, połóż się. Bądź spokojna. Zaraz tam będę.

- Jestem zupełnie spokojna. I czuję się na siłach, by sama pojechać do szpitala.

- Nie faszeruj mnie teraz tymi feministycznymi bzdurami, Devon!

- Przestań na mnie krzyczeć!

- Jeśli spróbujesz prowadzić, zamorduję cię. Naprawdę, Devon. Jestem już w drodze. Pięć minut. Połóż się, na miłość boską!

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła odpowiedzieć, i rzucił się do drzwi. Chase prawie deptał mu po piętach. Miał pełny obraz sytuacji, chociaż słyszał rozmowę tylko z jednej strony.

- Możemy zadzwonić po karetkę, żeby po nią przyjechała - zaproponował.

- Pobiję ich w czasie.

- Tego się właśnie obawiam.

Wsiadli do mustanga. Lucky zajął miejsce za kółkiem. Ruszyli pośpiesznie.

- Rozchmurz się, Pat, inaczej pomyślę, że zamierzasz mnie aresztować.

Szeryf Pat Bush, z ręką zaciśniętą na łokciu Laurie Tyler, ciągnął ją w kierunku swojego służbowego samochodu. Wirujące alarmowe światło malowało tęczę w ponurym zmierzchu.

- Może powinienem.

Jednym pociągnięciem otworzył drzwi od strony pasażera i praktycznie wepchnął ją do środka. Okrażył maskę i zajął miejsce za kierownicą. Włączył bieg i z piskiem opon opuścił chodnik.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś na mnie taki zły, Pat. Przecież nie jestem jasnowidzem, skąd mogłam wiedzieć, że akurat dzisiaj Devon będzie rodzić. To cztery tygodnie przed terminem.

- Nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz. Zawsze ktoś powinien wiedzieć, gdzie jesteś, Laurie. Dla twojego własnego bezpieczeństwa. Teraz objeżdżiłem całe miasto, żeby cię znaleźć.

Siedział u siebie w biurze, gdy zadzwonił do niego Chase.

- Lucky wpakował właśnie Devon do samochodu - poinformował go - ale nie mamy pojęcia, gdzie się podziała mama.

- Znajdę ją!

- Dzięki, Pat. Miałem nadzieję, że to zaproponujesz. Poszukałbym jej sam, gdyby nie to, że Lucky całkiem oszalał. Przyjechaliśmy tu z biura z prędkością rakiety, omal nie przyplacając tego życiu. Nie mogę pozwolić mu prowadzić.

- W porządku. - Pat westchnął. - Gdy tylko zlokalizuje Laurie, przywiozę ją do szpitala.

Prawie godzinę krążył po ulicach miasta, wypatrując sa mochodu Laurie. Szukał na parkingu przed sklepem spożywym, przed pralnią i we wszystkich tych miejscach, gdzie mogła przebywać. Dzwonił z telefonu znajdującego się w sa mochodzie, próbując trafić na jej ślad przez znajomych. Dopiero czwarta rozmowa okazała się efektywna.

- Wydaje mi się, że zamierzała zanieść jedzenie jakiemuś choremu przyjacielowi - powiedział jeden ze znajomych Laurie z klubu brydżowego. - Gdy rozmawiałem z nią rano o spotkaniu w przyszłym tygodniu, piekła właśnie ciasto.

- Chory przyjaciel? Wiesz, kto?

- Ten mężczyzna, którym się opiekowała. O ile dobrze pamiętam, nazywa się Sawyer.

Teraz Pat wyjął z ust rozłupaną zapałkę i upuścił ją na mokrą podłogę samochodu.

- Jak się czuje pan Sawyer?

- Dużo lepiej - odparła Laurie oziębło.

- Mógłbym się o to założyć.

- Przekażę mu, że pytałeś o niego.

- Nie trudź się.

- Biedny człowiek.

- A co mu jest?

- Przeziębł się.

- Ach tak...

Odwróciła głowę i uniosła brwi.

- Co to ma znaczyć?

- Co takiego?

- Ten komentarz.

- Nic nie znaczy.

- Nie podobał mi się. Zabrzmiął ironicznie.

- Dlaczego uparłaś się grać rolę pielęgniarki przy tym słabowitym, chudym mięczaku?

- Pozwól sobie przypomnieć, że niedawno, gdy miałeś

katar, tobie również przyniosłam zupeł. Czy uważasz, że to uczyniło z ciebie mięczaka?

Pat przygarbił się nad kierownicą i ścisnął ją mocniej.

- To było co innego.

- Jak to?

- Na miłość boską, Laurie, czy przyszło ci do głowy, co pomyślą o tobie ludzie, gdy dowiedzą się, że chodzisz sama do mieszkania Sawyera? I to wieczorem? Gdy on leży w łóżku? Chryste! Będą przekonani, że się pomiędzy wami dwojgiem coś działo.

- A myślisz, że się działo? - Przekrzywiła głowę na bok i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

Wytrzymując jej wzrok, odparł:

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem, co myśleć.. Sprawia wrażenie strasznego ciapciaka, a ty jesteś najwidoczniej w nim zadurzona. Od jakiegoś czasu bywa regularnie na niedzielnych obiadach. Gdy przyjechałem któregoś wieczoru w zeszłym tygodniu, by zobaczyć się z tobą, byłaś z nim na jakimś przyjęciu. Całą poprzednią sobotę spędziliście razem w Canon, na pchlim targu. We wtorkowy wieczór poszliście na /organizowaną przy kościele kolację, na której serwowano spaghetti.

- Przecież zapraszałam cię na tę kolację ze spaghetti!

- Ale ja pracowałem!

- To już nie moja wina. Ani Jessa.

Pat zatrzymał samochód przed wjazdem do szpitala, wysiadł, podszedł z drugiej strony i pomógł wysiąść Laurie. 11 jął ją pod ramię i poszli w kierunku drzwi zarezerwowanych dla personelu.

- Laurie, ja tylko myślę o twojej reputacji. Nie chcę, żeby iwoje imię mieszano z błotem, to wszystko.

- Wątpię, żebyśmy z Jessem stanowili przedmiot plotek.

- Tak myślisz? Założę się, że wszyscy już wiedzą, że widzisz się z nim.

A co w tym złego?

- Co w tym złego? - powtórzył Pat i zatrzymał się rap-

townie na środku opustoszałego szpitalnego korytarza. Odwrócił ją w swoją stronę, tak by patrzyła mu w twarz. - Pytasz, co w tym złego? W porządku, powiem ci.

Ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął pod ociekające rondo swojego kapelusza, po czym pocałował ją.

Objęła go w pasie i wyszeptwała:

- Tyle czasu potrzebowałeś, Pat.

Z obrotowych drzwi na końcu korytarza wyszedł Chase i stanął jak wryty. Pat natychmiast uwolnił Laurie. Była zarumieniona.

- Ktoś zauważył podjeżdżający radiowóz i powiedział mi, że wesłicie tym wejściem. - Chase zdołał już się otrząsnąć.

Pat stał bez ruchu, zakłopotany, za to Laurie z gracją pokierowała niezręczną sytuacją:

- Jak się czuje Devon?

- Wszystko idzie dobrze. Ale jeśli nie chcecie przegapić najważniejszego momentu, radzę wam bezzwłocznie popędzić na górę.

- Dziewczynka! - Lucky wyłonił się z sali porodowej z uśmiechem od ucha do ucha. Ubrany był w chirurgiczny fartuch, a na głowie miał zieloną czapkę. Wyglądał na rozradowanego i pełnego energii. - Hej, mam, udało ci się jednak zdążyć na czas!

- Podziękuj Patowi.

Chase spojrział na nich z ukosa i uśmiechnął się szelmowsko.

- Boże, ona jest cudowna! Cudowna! - wykrzykiwał Lucky, uderzając zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń.

- A jak się czuje Devon? - spytała z niepokojem Laurie.

- Przeszła przez to jak profesjonalistka. Zaproponowałem, że możemy natychmiast zacząć robić następne. Walnęła mnie w nos.

- Ile ważyło dziecko?

- Oni dopiero teraz to wszystko robią. Lekarz pozwolił mi odciąć pępowinę. Wrzeszczący, małe przedmiocik z czer-

woną twarzą. Podałem ją Devon. Ogłupiła mnie kompletnie. Zacząłem płakać. Chryste, jakie to wspaniałe!

Chase uśmiechał się, nie mógł jednak odpędzić nachodzących go myśli o swoim dziecku, które gdyby żyło...

- Dziewczynka! Bóg doprawdy ma znakomite poczucie humoru - powiedział Chase.

Pat zaczął chichotać. Laurie z zakłopotaniem spoglądała to na jednego, to na drugiego. Lucky'emu poczerwieniała twarz.

- Najczęściej używany rozporek we wschodnim Teksasie ma córkę! To szczyt wszystkiego - kontynuował Chase z robawieniem.

- To wcale nie jest śmieszne - wymamrotał Lucky.

- Ja też tak uważam - przyznała Laurie.

- Kiedy to naprawdę wesołe! - upierał się Chase. - Poczekajcie, aż Sage to usłyszy. Ona dopiero da ci popalić.

- Sage! O mój Boże! - Laurie zaczęła grzebać pośpiesznie w torebce w poszukiwaniu monet. - Obiecałam jej, że zadzwonię, gdy dziecko się urodzi. Pat, masz może jakieś dwudziestopięciocentówki?

- Ja również spróbuję zatelefonować do Marcie - odezwał się Chase.

- Wybaczcie mi wszyscy - powiedział Lucky. - Wracam teraz do Devon. I bądźcie w pobliżu. Za chwilę wyniosą dziewczynkę Tyler, żeby wam pokazać.

- Bez imienia?

- Jeszcze za wcześnie.

- Będziemy tu. - Laurie pocałowała młodszego syna w policzek i mocno uściśnęła. - Taka jestem z ciebie dumna, Lucky.

- Bądź dumna z Devon. To ona wykonała całą robotę.

Zniknął za drzwiami z napisem PORODÓWKA. Cała trójka ruszyła w stronę automatów telefonicznych.

- A gdzie się podziewa Marcie? - spytała Laurie.

- Próbowałem się do niej dodzwonić, gdy tylko tu dotarliśmy. Jej sekretarka właśnie zbierała się do wyjścia. Prze-

kazała mi, że Marcie pojechała pokazać jakiś dom, ale przypuszczalnie przed powrotem do domu zajrzy jeszcze do biura. Obiecała zostawić jej wiadomość. Spróbuję teraz zadzwonić do domu. Na pewno będzie chciała tu przyjechać.

- Skoro o niej mowa... - Z kieszonki na piersi Pat wyciągnął komputerowy wydruk. - Właśnie dziś rano otrzymałem z Dallas wykaz zarejestrowanych zbrojców. Lista obejmuje cały stan i zawiera nawet nazwiska podejrzanych. Być może jej prześladowca okaże się kimś nowym, kogo jeszcze nie przyłapano na tego typu praktykach. W każdym razie powiedz jej, żeby to przejrzała i zobaczyła, czy rozpoznaje jakieś nazwiska.

Były narzeczony Marcie z Houston został wyeliminowany z grona podejrzanych. Jego rachunki telefoniczne z ostatnich kilku miesięcy zawierały jedynie połączenia z Detroit, z numerem jego matki i numerem firmy wysyłkowej z Pittsburga.

Przesłanie informacji z Dallas trwało dłużej, niż się spodziewali. Chase był pesymistycznie nastawiony do rezultatów tych działań, ale dodawał mu otuchy fakt, że Pat kontynuował dochodzenie, mimo iż facet nie odezwał się od tej pamiętnej nocy, kiedy pojechali do szeryfa.

Im więcej czasu mijało, tym bardziej Marcie stawała się niespokojna. Z ogromną determinacją chciała mu udowodnić, że telefony były prawdziwe. Widział jej strach, trzymał ją w ramionach roztrzęsioną, gdy budziła się z nocnego koszmaru.

- Dzięki, Pat - powiedział Chase i położył kartkę na półeczce pod telefonem. Wykręcił domowy numer. Dźwięk obracającej się taśmy, który nauczył się już rozpoznawać, był sygnałem, że Pat nie zrezygnował również z podsłuchu.

Począł, aż telefon zadzwoni parę razy, po czym odłożył słuchawkę i wykręcił numer biura. Automatyczna sekretarka poinformowała go, że biuro jest już nieczynne, po czym zwróciła się do rozmówcy z prośbą, by zadzwonił następnego dnia pomiędzy dziewiątą a osiemną.

- Sage jest wzruszona! - obwieściła Laurie, skończywszy rozmowę z córką. - Właśnie wyrusza z Austin.

- Nie uda jej się dotrzeć tu przed północą - stwierdził Pat, spoglądając na zegarek.

- Wiem. Próbowałam nakłonić ją, by poczekała z podróżą do rana, ale ona uparła się, że przyjedzie dziś.

Wzmianka na temat czasu uświadomiła Chase'owi, jak jest późno. Od kiedy Devon zatelefonowała do Lucky'ego, wydarzyło się tak wiele, że zupełnie nie zdawał sobie sprawy z późnej pory.

- Kto może oglądać domy o tej porze?

- Słucham? - zapytała Laurie.

- Nic. Wracaj pod sałę. Nie przegap pierwszych chwil życia swojej wnuczki. Ja jeszcze będę próbował złapać Marcie.

Laurie skierowała się na oddział noworodków. Pat ociągał się.

- Chase, czy coś nie w porządku?

- Nie. Przynajmniej myślę, że nie.

- Daj mi znać, gdy się czegoś dowiesz.

- Jasne. Hej, Pat! - Pat zdążył przejść kilka kroków, gdy Chase zawołał go. Szeryf odwrócił się. - Był, zdaje się, jakiś pocałunek?

On i Chase uśmiechnęli się do siebie, po czym Pat zaczął szybkim krokiem przemierzać korytarz, by dogonić Laurie.

Chase powtórnie wykręcił domowy numer. Znowu nie było odpowiedzi. Po raz kolejny zadzwonił do biura. Usłyszał nagraną taśmę. Wyjął z przegródki książkę telefoniczną i odszukał w niej domowy numer Esme.

- Och, cześć! Wciąż jeszcze nie skontaktowałeś się z Marcie?

- Nie. Czy rozmawiałaś z nią przed wyjściem z biura?

- Nie, ale zostawiłam jej nagraną wiadomość i jeszcze notatkę na biurku. Jeżeli zadzwoni albo wróci do biura, nie przeoczy tego z pewnością. Chłopiec czy dziewczynka?

- Co? Ach, dziewczynka - odparł nieobecny głosem. „Gdzie, do diabła, mogła się podziać Marcie? Poszła po za-

kupy? Załatwiała jeszcze jakieś sprawy? Wciąż pokazywała dom?" - Esme, o której ona wyszła?

- Tuż przed szóstą. Spóźniłeś się z telefonem o kilka minut. Gdy dzwoniłeś po raz pierwszy, dopiero co wyszła.

- A z kim pojechała? Z kupującymi czy sprzedającymi? Czy był to ktoś, kogo znała?

- Z nikim nie pojechała. Miała spotkanie z Harrisonami w domu, którym byli zainteresowani.

- Ci sławni Harrisonowie?

- Tak, ci sami. Szczerze mówiąc, uważam, że traci na nich czas. Gdy jej to powiedziałam, odparła, że nigdy nie można wiedzieć, kiedy klienci się zdecydują i podpiszą kontrakt.

Chase wymamrotał coś z rozdrażnieniem i przeczesał palcami włosy.

- Bóg jeden wie, ile to jej jeszcze czasu zajmie.

- Z tego, co wiem, mieli obejrzeć dzisiaj wieczorem tylko jeden dom. Mieści się na Sassafras Street.

- Dzięki, Esme. Do zobaczenia.

- Jestem pewna, że wkrótce się zobaczycie.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę wpatrywał się w automat, rozważając sytuację. Przed powrotem do domu Marcie zazwyczaj wpadała do biura. Z pewnością, tak czy inaczej, otrzyma jego wiadomość, by przyjechała do szpitala. Będzie próbował łąpać ją w domu. Nigdy by sobie wybaczyła, gdyby ominęły ją narodziny dziecka Devon.

Znowu wykręcił domowy numer. Gdy nie uzyskał odpowiedzi, rozłączył się ze zniecierpliwieniem i wyjął dwudziestopięciocentówkę z aparatu. Gdy się odwrócił, komputerowy wydruk Pata sfrunął z półeczki na podłogę. Pochylił się i podniósł go. Nazwiska wypisane były w kolejności alfabetycznej. Przeleciał je wzrokiem, gdy nagle poczuł, że uginają się pod nim nogi.

Chwytał oba brzegi kartki i przysunął ją do oczu. Chciał się upewnić, że nie odczytał błędnie nazwiska. Zmiał papier w dłoniach i zawył:

- Nie!!!

Laurie i Pat odwrócili się, a ich twarze wyrażały zdumienie. Burzący krew w żyłach okrzyk unieruchomił na chwilę cały oddział. Ze wszystkich stron korytarza głowy zwróciły się w stronę Chase'a.

- Chase?! - zawołała z niepokojem matka.

Pat zapytał:

- Chłopcze, co, u licha?

Ale Chase już niczego nie słyszał. Pędził przed siebie korytarzem, odtrącając na bok metalowy wózek i pielęgniarkę.

Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby skorzystać z windy. Straciłby zbyt dużo czasu. Gdy dobiegł do drzwi prowadzących na schody, otworzył je gwałtownie i zaczął zeskakiwać po schodach po kilka stopni naraz, chwytając się poręczy, a w głowie huczała mu jedna przerażająca myśl, że mimo pośpiechu może przybyć za późno.

Dom przy Sassafra Street położony był z dala od ulicy. Marcie wygłosiła uwagę na temat jego uroku i kamiennym chodnikiem poprowadziła za sobą klienta.

- W tych kamieniach jest trochę porostów. Jeśli zechce je pan usunąć, wystarczy zwykły wybielacz do prania. Mnie osobiście się podobają. Może pani Harrison spodoba się również - powiedziała z nadzieją w głosie.

- Być może.

Przy domu znajdowało się olbrzymie podwórze, dlatego Marcie nie proponowała go Harrisonom. Kilka tygodni wcześniej rozległy trawnik przy innym domu wywołał sprzeczkę pomiędzy nimi. Kiedy Ralph Harrison zadzwonił z prośbą o pokazanie tego domu, Marcie na wstępie wymieniła podwórze jako ewentualną wadę posiadłości. „To nie będzie stanowiło problemu” - odparł ku jej zdziwieniu.

- Jak widać, trawy do koszenia jest tu niewiele. Jedynie od frontu i z tyłu budynku.

- Dlatego właśnie ten dom wpadł mi w oko, gdy go dzisiaj mijałem. Spodobał mi się i zapragnąłem natychmiast go zobaczyć.

- Szkoda tylko, że nie ogląda go pani Harrison.

- Nie czuła się zbyt dobrze. Ale była bardzo podekscytowana tym domem, gdy jej go opisałem. Wysłała mnie, żebym go obejrzał, a jeśli mi się spodoba, przyjedzie tu jutro.

„Sprawy zaczynają układać się coraz lepiej” - pomyślała Marcie. Był to przejaw najściślejszej współpracy, do jakiej Harrisonowie kiedykolwiek doszli pomiędzy sobą.

W alkuwie przed wejściem było ciemno. Marcie strząsnęła

wodę z parasolki i oparła ją o ścianę. Mrok stał się tak gęsty, że miała trudności, by trafić kluczem w dziurkę zamka.

Gdy jej się to wreszcie udało, przestąpiła próg i sięgnęła ręką do włącznika światła. Wiszący w sieni zyrandol miał żółty szklany klosz, który rzucał na ściany niesamowite cienie.

Nie lubiła pokazywać domów w nocy. Rzadko kiedy po ciemku można było pokazać dom od najlepszej strony. Jednak dla Harrisonów zrobiła ten wyjątek. Tyle czasu zainwestowała w nich do tej pory, tak się w to zaangażowała, że nie mogła raptem odmówić. Nareszcie sprzeda dom.

- Salon jest przestronny - odezwała się. - Z miłym kominkiem i mnóstwem okien. Wpada tu dużo naturalnego światła. Oczywiście nie można tego ocenić teraz, ale jutro, gdy państwo przyjdą, przekonają się. - Odsłoniła zasłony.

- Bardziej mi się podobało, gdy były zasłonięte - stwierdził.

Zaciągnęła je na powrót i poprowadziła go przez wąską jadalnię do kuchni.

- Za tymi drzwiami znajduje się garaż - objaśniła. - Urządzono w nim niewielki warsztat, który z pewnością panu się przyda.

- Nie jestem majsterkowiczem...

Rozglądała się, co by tu pokazać, by wzbudzić większe zainteresowanie. Do tej pory przechodził z pokoju do pokoju, prawie deptając jej po piętach, i nie okazywał żadnych żywych reakcji.

Nie chcąc marnować czasu, przejęła inicjatywę i zapytała go wprost:

- Co pan myśli o tym domu, jak do tej pory, panie Harrison?

- Chciałbym zobaczyć resztę.

Skinęła uprzejmie głową, chociaż w duchu zazgrzytała zębami.

- Tędy, proszę.

Dom miał długie, ciemne korytarze i maleńkie pokoiki. Już dawno przekonała się, że klienci mogą mieć przeróżne,

zaskakujące gusty. A ponieważ Sassafras Street tonęła wprost w zieleni, okolica była ładna i słabo zaludniona, zaczęła ubiegać się o wciągnięcie tego domu na listę swojej agencji.

Zapaliła górne światło w sypialni. Brezentowe płachty przykrywające dywany miały je chronić w czasie remontu. Na środku pokoju stał kozioł do rżnięcia drzewa, kubeł do mieszania gipsu. Obok cementu i wiadra z białą farbą do malowania sufitu leżała sterta szmat.

- W jednym miejscu sufit przecieka. Zleciłam już reperację dachu. Remont nie jest jeszcze całkowicie zakończony.

Nawet nie rzucił okiem, by przekonać się, czy prace przeprowadzane są w zadowalający sposób. Zdała sobie sprawę, że w rzeczywistości w ogóle nie okazywał zainteresowania tym, co mu pokazywała.

- Znajdują się tu dwie szafy - poinformowała.

Kontynuowała przegląd, tłumiąc w sobie narastające poczucie niepokoju. Pokazywała domy Ralphowi Harrisonowi od kilku miesięcy. Nigdy przedtem nie odstępowała go żrędliva żona. Zawsze oglądali domy w ciągu dnia. Był drobiazgowy i krytykował czasem niezwykle błahe szczegóły. Dziś wieczorem nic nie mówił.

- Jedna szafa jest czymś w rodzaju niewielkiej garderoby. Można do niej wejść. Jestem pewna, że spodoba się to pani Gladys. Druga... - Na dźwięk krótkiego, metalicznego trzasku odwróciła się gwałtownie. Harrison przekręcał klucz w drzwiach sypialni. - Co pan robi? - zapytała zdumiona.

Odrzucił się i z dziwnym uśmiechem spojrzał jej w twarz, mówiąc znajomym głosem:

- Zamykam drzwi, żebyśmy w końcu mogli być sami.

Zrobiła krok w tył, uderzając plecami o szafę. Nawet nie zwróciła uwagi na ból. Nie rejestrowała niczego prócz chropawego głosu.

Ralph Harrison był autorem telefonów do niej!

- Co się dzieje? - zapytała Laurie. Szeryf uniósł brwi i spoglądał w kierunku drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Chase.

- Niech to licho weźmie, jeśli wiem! - Podniósł komputerowy wydruk, zmięty w kulkę. - Musi mieć to jakiś związek z tym. - Bush rozprostował kartkę i przyjrzał się jej badawczo. - Widocznie rozpoznał jakieś nazwisko z tej listy.

- Pat, jedź za nim! - ponagliła go Laurie. - Złap go, zanim będzie miał okazję zrobić jakieś głupstwo.

- Wyjąłś mi to z ust. Poradzisz sobie sama?

- Oczywiście. Jedź już! Jedź! - Pat puścił się korytarzem w stronę schodów, poruszając się jednak nie tak żwawo i szybko jak Chase przed chwilą. - Bądź ostrożny! - zawołała za nim z niepokojem.

- Nie martw się!

Zanim dotarł do stojącego przed wejściem radiowozu, Chase już przepadł. Samochód Devon zaparkowany pod szpitalem również zniknął. Ruszając z parkingu, Pat nadał przez radio szczegółowy komunikat na temat samochodu Devon, opisując go tak dokładnie, jak pamiętał.

- Numer rejestracyjny? - zapytał jeden z oficerów dyżurnych.

- Nie znam - odburknął Pat. - Po prostu zlokalizujcie samochód. Zatrzymajcie go i aresztujcie kierowcę. Wysoki mężczyzna o ciemnych włosach.

- Czy jest uzbrojony? - padło kolejne pytanie.

- Chyba nie! - W tym momencie przypomniał sobie o pistolecie, który zwrócił Chase'owi jakiś tydzień temu i dodał: - Może być uzbrojony. - Pomyślał o temperamencie Tylerów. Gdy się rozzłościli, zwłaszcza jeśli chodziło o ich kobiety, potrafili być bardziej niebezpieczni niż broń palna. - Uznaj go za niebezpiecznego. Prawdopodobnie sprzeciwi się aresztowaniu. Postaraj się nie używać siły. Niedawno miał pęknięte zębra.

- Ten opis pasuje do Chase'a Tylera.

- Bo to jest Chase Tyler - powiedział Pat.

- Czegoś nie rozumiem, szeryfie Bush. Za co mamy aresztować Chase'a?

- Za niebezpieczne myśli. Po prostu odnajdźcie samochód i zatrzymajcie go.

- Sassafras Street, Sassafras Street - mamrotał do siebie Chase, kierując się w stronę willowej dzielnicy. - Gdzie, do diabła, znajduje się Sassafras Street?

Miasto, w którym dorastał, wydało mu się nagle obcym terenem. Nie mógł sobie przypomnieć, które ulice biegą równolegle, a które się przecinają. Zaklął i walnął pięścią w kierownicę małego czerwonego samochodu Devon. Kto by pomyślał, że ten Harrison mógł terroryzować kobietę przez telefon! Chase spotkał go tylko raz, w biurze. Harrison zrobił na nim korzystne wrażenie, ale teraz nie potrafiłby go nawet opisać. Niczym nie zwracał na siebie uwagi.

- Obślizgły skur... - wycedził Chase przez zęby. Pamiętał, jak roztrzęsiona była Marcie po każdym jego telefonie.

Dlaczego nie skonsultowali się z psychiatrą zamiast oficerem policji? Ktoś, kto poznał prawa rządzące psychiką ludzką, mógł dostarczyć im opisu charakteru, który być może wskazałby im Harrisona z otoczenia Marcie. Teraz, gdy to właśnie on okazał się tym mężczyzną, było to krystalicznie jasne dla Chase'a. Miał apodyktyczną, wiecznie krytykującą go żonę i mnóstwo kompleksów. Zdecydowanie powinni udać się do psychiatry. Harrison był psychopata.

A jeśli opowiadanie o seksualnych perwersjach już go nie satysfakcjonuje? Może już zdecydował się wprowadzić w życie swoje groźby?

- Cholera! - Chase mocniej przyduśił pedał gazu.

Zdumienie Marcie szybko przeobraziło się w gwałtowny atak paniki. Chciał, żeby się bała. I bała się.

- Tak więc to pan jest tym indywiduum, które do mnie wydzwaniało. Jest pan z siebie dumny?

- Nie próbuj się oszukiwać, Marcie. Przyznaj, że cię przestraszyłem.

- Nie przestraszyłeś mnie ani odrobinę. - Przejęła jego formę per ty. - Wywołałeś jedynie wstręt i współczucie.

- Skoro nie przestraszyłaś się, to dlaczego poszłaś do szeryfa?

Próbowała zachować obojętny wyraz twarzy, by nie dostrzegł jej zdenerwowania. Jednocześnie myślała intensywnie, w jaki sposób wydostać się z pokoju i z tego domu. Gdy będzie już na zewnątrz, może rzucić się biegiem i krzyczeć o pomoc.

„Muszę starać się uniknąć jakiegokolwiek fizycznego kontaktu z nim”. Już sama myśl o tym, że może jej dotknąć, przyprowadzała ją o mdłości. Był bez broni, miał drobną budowę ciała. Mimo to wątpiła, czy zdołałaby go pokonać, gdyby doszło do szarpaniny. Mógł ją też zranić i wtedy obrona byłaby bezskuteczna.

„Nie, z pewnością nie posunie się tak daleko - uspokajała się. - Nie będzie próbował mnie zgwałcić. Zechce tylko sterroryzować”.

- Czy nie sądziłaś, że zorientuję się, iż zainstalowano podsłuch przy twoim telefonie? - zapytał sarkastycznym tonem, przypominającym jej nocny koszmar. - Już pierwszy raz, gdy zadzwoniłem i usłyszałem cichy brzęk, odłożyłem słuchawkę.

- Widocznie miałeś z tym już wcześniej do czynienia.

- Och, tak. Jestem w tym doprawdy dobry. Ekspert. Najlepszy.

- Muszę ci powiedzieć, że nie jesteś szczególnie oryginalny. W istocie otrzymywałam bardziej interesujące telefony niż twoje.

- Zamknij się! - Jego głos nagle zyskał na mocy i pojawiły się w nim wysokie tony. Stało się to dla niej ostrzeżeniem. Twarz nabiegła mu krwią, a oczy zwięziły się, tworząc złowieszcze szparki. - Zdejmij bluzkę!

- Nie. - Może gdyby ryknęła na niego wulgarnie, podszłyby go strach i skłonił do ucieczki.

Tymczasem wykonał trzy kroki w jej kierunku.

- Zdejmij bluzkę!

Za jej plecami znajdowała się pusta szafa. Mogła do niej wejść i zamknąć się od środka, a następnie poczekać, aż ktoś zauważy jej nieobecność i przybędzie tutaj. Namacała za sobą klamkę od drzwi.

- Szafa nie ma zamknięcia, jeśli o tym myślisz - powiedział i zarechotał w dobrze jej znany sposób.

Miał rację. Drzwi szafy nie miały zamknięcia. Rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku okna. Było zabite gwoździami.

Jedyna droga ucieczki prowadziła przez drzwi wychodzące na korytarz. Ale Harrison blokował dostęp do nich. Będzie musiała zwabić go na środek pokoju, bliżej siebie.

Dławiąc w sobie wstręt i dumę, sięgnęła ręką do najwyższego guzika bluzki. Dlaczego nie ubrała się w kostium zamiast w bluzkę i spódnicę? Żakiet spełniłby bardzo pożyteczną rolę w opóźnieniu tego obrzydliwego striptizu.

- Pospiesz się! - rozkazał. - Zdejmij to z siebie. Chcę zobaczyć twoją skórę.

Marcie powoli rozpinała guziki.

- Mój mąż rozerwie cię na strzępy.

- Nie prędzej, niż obejrzę twoje piersi i dotknę ich. Pospiesz się!

- On ci nie daruje. Nie pozwoli, żeby ci to uszło płazem. Znajdzie cię.

- Nie powiesz mu ani słowa o tym, co się tu wydarzy.

Będziesz się wstydziła o tym opowiadać.

- Na twoim miejscu nie liczyłabym na to.

- Zdejmij bluzkę! - krzyknął, coraz bardziej podenerwowany.

Wyciągnęła bluzkę zza paska i zsunęła ją z ramion. Gdy wysunęła ręce z rękawów, wydał westchnienie i wstrząsnął nim dreszcz seksualnej przyjemności. Marcie pomyślała, że

zaraz zrobi się jej niedobrze, ale wiedziała, że nie może poddać się nastrojom. Musiała wydostać się z tego pokoju.

Gdy przeżywała jednocześnie uczucie strachu i nadziei, Harrison zrobił chwiejny krok w jej kierunku.

- A teraz stanik. Szybko! Jesteś taka nieskazitelna. Wiedziałem, że twoja skóra będzie jasna. Śliczna. Miękka. - Koniuszkami palców musnął ją powyżej stanika. Cofnęła się. On wykonał kolejny chwiejny krok. Poczowała na swojej skórze jego szybki, wilgotny i gorący oddech.

- Chcę zobaczyć, jak pieścisz swoje ciało - wysapał.

- Nie.

- Powiedziałem, że masz to zrobić!

- Jeśli chcesz, żebym była pieszczona, to sam to zrób. - Jej niebieskie oczy spojrzały na niego hardo i z wyzwaniem. - A może nie jesteś wystarczająco męski na to?

Zgodnie z jej oczekiwaniami wykonał gwałtowny krok do przodu. Szybkim ruchem zarzuciła mu bluzkę na twarz, chwyciła z podłogi puste wiadro i podrzuciła je w górę, celując w lampę. Dała susa w kierunku drzwi i przykucnęła, by uchronić się przed lecącymi w dół kawałkami szkła.

Korzystając z osłony ciemności, chwyciła za klamkę. Ciemność zapewniała jej przewagę. Wiedziała, jak trafić do wejściowych drzwi. Ale najpierw musiała otworzyć te. Zaczęła macać palcami wokół klamki w poszukiwaniu klucza. Nie mogła go znaleźć.

Wtedy Harrison podszedł od tyłu i chwycił ją za włosy. Wrzasnęła. Złapał ją za rękę i odciągnął od drzwi. Zaczęli się szamotać.

Okazał się silniejszy, niż się spodziewała. Czy to obłąd napawał go jakąś niezwykłą siłą?

Ponowiła wysiłki, by mu się wyrwać, ale chwycił ją za ramię tak mocno, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Puść mnie! - krzyknęła.

Popchnął ją na środek pokoju. Z rozpędem poleciała do przodu, potknęła się w ciemności o leżącą na podłodze stertę

szmat, potłuczone szkło i worek z cementem, po czym upadła na koziół i przewróciła się razem z nim, rozlewając farbę.

Zamrugnęła oczami, modląc się, by nie stracić przytomności, i kontynuowała walkę rękami i kolanami. Harrison pochyłony nad nią, opierając rękę na jej karku, przytrzymał ją na podłodze.

- Suka, suka - wycedził przez zęby. - Pokażę ci, że jestem mężczyzną.

- Milton siedem?

Pat natychmiast odpowiedział:

- Tak, zgłaszam się.

- Tu Milton pięć. Właśnie zauważyłem czerwony pojazd poruszający się po zachodniej części Sycamore z dużą prędkością.

- Zbliź się do niego i zatrzymaj.

- Nie mam szans, on prowadzi jak rajdowiec.

- To jedź za nim. Jestem oddalony o trzy minuty. Trzymaj go w zasięgu wzroku i informuj o wszystkich zmianach kierunku.

- Dziesięć cztery.

- Wszystkie patrole, proszę okrążyć teren.

Pat odłożył nadajnik i skoncentrował się na ciemnej, śliskiej od deszczu drodze.

Wziął ostry zakręt z prędkością prawie sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Sassafras Street, wreszcie! Jaki numer? Pochylił się nad kierownicą i zaczął wpatrywać się w otaczający go mrok, przeklinając jednocześnie zacinający deszcz i niemożność sięgnięcia wzrokiem poza maskę samochodu.

Już chciał dodać ponownie gazu, gdy prawie w ostatniej chwili dostrzegł samochód Marcie. Zahamował z poślizgiem i piskiem opon, wyłączył stacyjkę i otworzył drzwi samochodu. Napis NA SPRZEDAŻ, z firmowym znakiem agencji, wisiał na płocie. Jednym susem przedostał się przez ogrodzenie i pobiegł do drzwi wejściowych.

Zatrzymał się na moment w korytarzu i usłyszał mroźące krew w żyłach rozpaczliwe krzyki Marcie. Dzięki Bogu, była żywa! Jego przedzieranie się przez nieznanne korytarze i pokoje przypominało atak piłkarza, próbującego przedostać się przez kordon obrońców. W końcu dotarł do zamkniętych drzwi sypialni.

Nacisnął klamkę tylko raz, a gdy nie ustąpiła, przyłożył obcas do drzwi i mocno w nie kopnął. Światło z korytarza wlało się do pokoju i padło na podłogę.

Rzucił się do środka. Harrison, wciąż przykucnięty nad leżącą na podłodze Marcie, nagle odwrócił głowę i popatrzył na Chase'a ze zwierzęcym strachem, tak intensywnym, że niemal czuło się jego woń.

- Zabiję cię, Harrison!

Wyciągnął ręce i chwycił mężczyznę za kołnierz. Potrząsnął nim jak pies martwym szczurem. Harrison zaskowyczał. Chase, rozwścieczony do granic wytrzymałości, nie zastanawiał się długo, tylko rzucił nim o ścianę. Harrison niechybnie osunąłby się na podłogę, ale Chase pięścią trafił go prosto w brzuch i przygoździł do ściany.

- Chase, puść go! - krzyknął Pat Bush przez wyłamane drzwi, trzymając w ręku pistolet. - Chase! - Musiał powtórzyć jego imię, zanim Chase go usłyszał.

Harrison, z charczącym dźwiękiem, przypominającym stary akordeon, runął na podłogę. Jeden z podkomendnych Pata rzucił się, by go przypilnować, podczas gdy Chase pochylił się zaniepokojony nad Marcie. Leżała na boku, z kolanami obronnie przyciągniętymi do klatki piersiowej.

- Chase? - odezwała się słabo.

Objął ją ramionami i uniósł do pozycji siedzącej. Przycisnął mocno do przemoczonej od deszczu koszuli.

- Jestem tu, Marcie. Nie będzie cię już dłużej dręczył. Nigdy.

- Czy wszystko z nią w porządku? - Pat pochylił się nad nimi.

- Myślę, że tak. Jest tylko przerażona.

- Pokaleczyła się? Wszędzie na podłodze leżą odłamki szkła. Pewnie stłukła lampę.

Chase uśmiechnął się i odgarnął do tyłu kosmyki kasztanowych włosów z jej wilgotnego czoła.

- Moja mała dziewczynka. Zawsze mądra. Zawsze pomyślna.

- Chase?

Schylił i przysunął twarz do jej twarzy. Nawet blada i rozczochrana wyglądała ślicznie.

- Zawieź mnie do szpitala.

- Do szpitala?

- Tak, krwawię.

Przesunął wzrokiem po jej twarzy, piersiach, brzuchu, ale nie dostrzegł śladu krwi.

- Prawdopodobnie pokaleczyła sobie dłonie i kolana o to potłuczone szkło - zasugerował Pat.

- Nie, nie o to chodzi. Zawieź mnie do szpitala, szybko - powiedziała, a w jej głosie można było usłyszeć narastający niepokój. - Pośpiesz się, proszę.

- Marcie, wiem, że jesteś przestraszona. Przeszłaś przez...

- Chase, to jest inne krwawienie. - Wypełnione łzami oczy poszukały jego wzroku. Przygryzła dolną wargę. - Jestem w ciąży.

Wciąż padało. Chase patrzył przez okno w ciemną, beznadziejną noc. W szybie widział swoje odbicie, a za chwilę sylwetki brata i Pata Busha, zbliżających się do niego; odwrócił głowę, dopiero gdy Pat wymówił jego imię.

- Właśnie wracam z sądu - zaczął szeryf. - Pomyślałem, że chciałbyś się dowiedzieć, czy Harrison został osadzony w więzieniu. Tak. Jutro z samego rana zostanie postawiony w stan oskarżenia... za morderstwo.

Chase zeszytniał. Czy w ten sposób zamierzali poinformować go, że Marcie umarła? Z wolna obrócił się na pięcie.

- Co takiego? - zapytał chropowatym głosem.

- Znaleźli w domu jego żonę. Od paru godzin nie żyła. Udusił ją gołymi rękami. Prawdopodobnie - dodał, pamiętając, że występuje w roli sprawiedliwego i bezstronnego przedstawiciela prawa.

Chase przeciągnął dłońmi po twarzy, rozluźniając zmęczone, napięte rysy.

- Wielki Boże!

- Marcie miała słuszny powód, by się go obawiać - mówił dalej Pat. - Nawet przez telefon to wyczuwała. Cholernie mi przykro, że wątpiłem w jej słowa.

Chase wciąż był zbyt oszołomiony, by coś powiedzieć. Lucky ścisnął ramię Pata.

- Nie martw się, Pat. Nie mogłeś przecież przewidzieć, że zamierza wprowadzić w czyn swoje pogroźki. Na szczęście znalazłeś się tam dziś wieczorem, gdy Marcie cię potrzebowała. - Spojrzał przez ramię w kierunku znajdującej się na drugim końcu korytarza poczekalni. - Myślę, że mama i Sage potrzebują teraz twojego wsparcia.

- Też tak mi się wydaje. Chase, jeśli byś mnie potrzebował... po prostu zawołaj.

Chase skinął głową. Pat oddalił się spokojnym krokiem, zostawiając braci samych.

Przez chwilę się nie odzywali. Chase nie potrafił znaleźć niczego stosownego do powiedzenia. Czuł się zupełnie pusty. Ciszę przerwał Lucky:

- Sage szczęśliwie dojechała.

- Domyślam się. Cieszę się, że jest tutaj.

- Przyjechała w nastroju do świętowania. Zepsuliśmy go jej wiadomościami o Marcie. Aż się popłakała. Gdy już dojdiesz do siebie, chciałaby cię przywitać. Teraz chyba wolisz być sam?

- Nie mam szczególnej ochoty do rozmowy.

- Rozumiem.

Lucky odwrócił się, ale zdążył ująć tylko kilka kroków, gdy Chase wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

- Przykro mi, że ta sytuacja zepsuła narodziny twojej córki.

- Ach, przecież to nie twoja wina, że sprawy przyjęły taki obrót.

Chase oparł ręce na biodrach.

- Lucky, on mógł ją zabić.

- Ale nie zabił.

- Gdybym się tam nie znalazł...

- Ale się znalazłeś. Teraz już wszyscy są bezpieczni!

Nie wspomnieli ani słowem o dziecku, które Marcie nosiła w swoim łonie. Szaleństwo Ralpa Harrisona mogło się stać przyczyną kolejnej tragedii. Tego dnia urodziło się pierwsze dziecko Lucky'ego; tego samego dnia mogło umrzeć drugie dziecko Chase'a. Myśl o tym była nie do zniesienia.

- W każdym razie - powiedział głosem drżącym z emocji - nie mogę pogodzić się z tym, że wydarzyło się to właśnie dzisiaj.

- Zapomnij o tym. Dość masz kłopotów na głowie.

Myśli, które go nachodziły, omal nie doprowadzały go do szału. Żeby je oddalić, zapytał:

- Jak się czuje Devon?

- A jak sądzisz? Jakby dopiero co wydała na świat dziecko. Powiedziałem jej, że doskonale wiem, jak się czuje. Myślałem, że wyjdzie z łóżka i grzotnie mnie.

Chase zmusił się do półuśmiechu.

- A dziecko - spytał ochryple - jak ono się czuje?

- Świetnie, mimo że urodziło się o cztery tygodnie za wcześnie. Badał ją już pediatra. Z początku chciał ją umieścić w inkubatorze, ale stwierdził, że ma prawidłowe odruchy, a płuca i inne narządy są dobrze rozwinięte. - Rozpromienił się w szerokim uśmiechu. - Wrzeszczy wystarczająco głośno.

- To świetnie, Lucky. To naprawdę świetnie.

Gardło Chase'a ścisnęło się nagle. Wysiłkiem woli rozluźnił mięśnie. Zamrugał oczami, w których zgromadziły się łzy. Lucky współczującym gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- Posłuchaj, Chase. Z Marcie wszystko będzie w porządku. Z dzieckiem również. Czuję to. Czy kiedykolwiek wprowadziłem cię w błąd?

- Wiele razy.

Lucky ze smutkiem zmarszczył brwi.

- Ale nie tym razem. Poczekasz, to zobaczysz.

Chase skinął głową, ale bynajmniej nie czuł się przekonany. Brat wpatrywał się w niego intensywnie, próbując go pocieszyć. W ciągu ostatnich kilku lat wiara Chase'a w szczęśliwy los osłabła. Dzisiejsze wypadki potwierdziły jego sceptycyzm.

Lucky zostawił go samego i dołączył do reszty rodziny, która czekała zgromadzona w poczekalni. Personel medyczny zdążył się zapoznać z Tylerami od zmierzchu. Na oddziale położniczym mieli obecnie dwie panie Tyler. Jedna z pielęgniarek roznosiła właśnie świeżą kawę.

Chase odwrócił się plecami do jasno oświetlonego korytarza, czując większą harmonię z posępnym mrokiem za oknem.

„Jestem w ciąży”. W pierwszej chwili utkwiał jedynie zdumiony wzrok w niespokojnych niebieskich oczach Marcie. Niezdolny do żadnego ruchu, niezdolny, by się odezwać cho-

ciąż jednym słowem, niezdolny, by myśleć o czymkolwiek innym, niemo gapił się na nią. Pat trącił go łokciem, sprwadzając go na ziemię.

- Chase, słyszałeś, co ona powiedziała?

Wziął Marcie na rękę i przeniósł przez wyłamane drzwi. Szeryf nakazał dwóm policjantom pilnować Harrisona i domu na Sassafras Street. Pośpieszył za Chase'em.

- Zadzwoń po karetkę.

- Do diabła z tym! Prędzej będzie, gdy sam ją zawiozę.

- Z pewnością. A po drodze coś może się zdarzyć. Zapomnij o tym. Jeśli nie chcesz czekać na karetkę, wsadź ją do radiowozu. Zawiozę was.

Chase usadowił się na tylnym siedzeniu, trzymając Marcie na kolanach. Włączyli światło błyskowe oraz syrenę. Pat połączył się ze szpitalem i poinformował pracowników ostrego dyżuru, że znajdują się już w drodze. Pracujące na najwyższych obrotach wycieraczki z klekotem walczyły z potokami deszczu. Jazda do szpitala nabrała surrealistycznego charakteru i Chase oglądał ją jakby z zewnątrz.

Marcie miała mokre włosy od deszczu. Kropelki zdobiły jej czoło i szyję jak drobne paciorki. Owinął ją bluzką, nie zadając sobie trudu, by wsunąć rękę w rękawy czy zapiąć guziki. Dotykał jej włosów, bladych policzków i szyi, a ona patrzyła na niego oczami pełnymi łez. Nie odzywali się do siebie ani słowem.

Gdy tylko weszli na ostry dyżur, natychmiast się nią zajęto.

- Kto zna jej grupę krwi? - zapytał dyżurny lekarz.

Wszyscy spojrzeli na Chase'a z wyczekiwaniem.

- Ja... ja nie wiem.

Przyjęcie do szpitala łączyło się z serią pytań i wypełnieniem formularzy. Chase uporał się z tym w końcu i wrócił na izbę przyjęć. Tam poinformowano go, że Marcie została zabrana na oddział położniczy.

Zanim jednak ginekolog rozpoczął badanie, wypytał Chase'a o przebieg napaści.

- Czy z tego, co pan wie, została zgwałcona?

Stojąc bez ruchu, drętwo potrząsała głową.

- Nie sądzę - odparł, ledwo wymawiając słowa.

Lekarz poklepał go uspokajająco po ramieniu.

- Jestem pewien, że będzie zdrowa, panie Tyler.

- A co z dzieckiem?

- Dam panu znać.

Ale nie dał. A było to prawie dwie godziny temu. Pat zdążył w tym czasie pojechać do sądu, wydać dyspozycje dotyczące Harrisona i wrócić. Cały czas nie padło ani jedno słowo na temat stanu zdrowia Marcie i dziecka.

„Czemu to tak długo trwa? Czy mieli kłopoty z powstrzymaniem krwawienia? Czy wystąpił krwotok? A może zabrano ją na chirurgię? Czy jej życie było w niebezpieczeństwie?”

- Nie. - Chase zdał sobie sprawę, że jęknął na głos, dopiero gdy usłyszał siebie. Błagalnie zwrócił się do Boga.

„Marcie nie może umrzeć. Nie może”. Nie może jej stracić właśnie teraz, gdy zaczął sobie uświadamiać, kim jest dla niego.

Przypomniał sobie pytanie, jakie Lucky zadał mu nieco wcześniej tego popołudnia. Tego popołudnia? Wydawało się, że było to całe wieki temu. Lucky zapytał: „Pomyśl, jaka twoim zdaniem jest najgorsza rzecz, która może ci się jeszcze w życiu przydarzyć?”

Być może odpowiedź na to pytanie znał już wtedy. Wówczas telefon Devon uchronił go od wyrażenia tego w słowach. Teraz jeszcze raz zadał sobie to pytanie.

Odpowiedź pojawiła się natychmiast. Po stracie Tani, po stracie ich dziecka najgorszą możliwą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć, było pokochać kogoś ponownie.

Ze wszystkim innym potrafił sobie poradzić; czy to był problem z alkoholem, poważne zranienie przez byka, trwałe okaleczenie, czy zawodowe i osobiste bankructwo. Mógł znieść wszystko, co zgotował mu zły los, tłumacząc sobie, że nie zasłużył na nic lepszego. Obwiniając się w pewnym stopniu za śmierć Tani, świadomie nakładał na siebie karę. Kultywował nieszczęście jak przewrotny ogrodnik, który woli

chwasty od kwiatów. Z tego wszystkiego, co mu się przydarzyło, nic gorszego nie mogło być od powtórnego zakochania się.

Nie mógł znieść powtórnego przywiązania do innej kobiety. Nie mógł znieść świadomości, że jest znowu kochany.

Uderzył zaciśniętą pięścią w zimną, wyłożoną kafelkami ścianę, po czym przyłożył do niej czoło. Z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami walczył ze sobą, by nie przyznać się do tego, co było prawdą.

Zakochał się w Marcie. I nie potrafił sobie tego wybaczyć.

Udając głupka, odrzucił ją wtedy, gdy potrzebowała go najbardziej. Odwrócił się do niej plecami, a ona była w ciąży. A dlaczego? Z powodu dumy. Żaden mężczyzna nie lubi się czuć manipulowany; teraz sprawa domu wydawała się bardziej aktem miłości niż manipulacji. Miał po prostu zbyt zamulony umysł, by zaakceptować to, co było tak jasne i proste. Marcie kochała go. On ją pokochał.

Spojrzał na swój grzech z różnych punktów widzenia, nawet z pozycji Tani. Ona też chciałaby, żeby ułożyło się inaczej. Jej zdolność do miłości była tak ogromna, że byłaby pierwszą, która skłaniałaby go do ponownego uczucia miłości, gdyby znała ich przeznaczenie.

Dlaczego z tym walczył? Czy to było czymś nikczemnym? Dlaczego wciąż siebie karał? Zakochał się we wspaniałej kobiecie, która również go kochała. Co w tym mogło być złego?

Podniósł głowę. Zobaczył, że z sali, na której leżała Marcie, wychodzi lekarz. Ruszył w jego kierunku. Jego długi krok w szybkim tempie zmniejszał dzielącą ich odległość.

- Słuchaj no, doktorze - powiedział ostro, zanim lekarz się odezwał - ocal jej życie. Słyszysz mnie? - Przyparł osłupiałego lekarza do ściany. - Nieważne, jeśli miałyby to kosztować nawet dziesięć milionów dolarów. Zrób wszystko, co w twojej mocy, by żyła. Rozumiesz, doktorze? Nawet jeśli miałyby to oznaczać... - przerwał i z wysiłkiem dokończył - ...śmierć dziecka.

- Nie będzie to konieczne, panie Tyler. Pańska żona będzie zdrowa.

Chase wpatrywał się w niego, nie mogąc w to uwierzyć. Ten zwrot opatrzości całkowicie go zaskoczył.

- Tak?

- Dziecko również. Była osłabiona i pod dodatkowym naciskiem zaczęła krwawić. Nie było to obfite krwawienie, ale wystarczające, by zaniepokoić panią Tyler. Na szczęście zatomowaliśmy je. Ultrasonograf wykazał, że wszystko jest w porządku. Płód nie został w żaden sposób uszkodzony. - Przez ramię wskazał kciukiem drzwi pokoju, który właśnie opuścił. - Nalegała, by wziąć prysznic. Pielęgniarka pomaga jej w tym. Gdy skończy, może pan wejść i zobaczyć się z nią. Zaleciłem odpoczynek przez kilka dni w łóżku. Po tym czasie może przechodzić ciążę jak każda kobieta.

Chase wymamrotał słowa podziękowania. Doktor skierował się do dyżurki pielęgniarek, by wydać dyspozycje i wyszedł. Chase'a otoczyła rodzina. Z oczu Laurie obficie płynęły łzy. Sage pochlipywała. Pat nerwowo ocierał chusteczką pot z czoła i bez litości żuł zapałkę.

Lucky klepnął Chase'a głośno w plecy.

- A nie mówiłem?! Co? Kiedy wreszcie zaczniesz mi wierzyć?

Gdy tylko wyszła pielęgniarka, Chase przeprosił towarzystwo i wszedł do jej pokoju.

Pojedyncza, słaba lampka nocna, umieszczona nad łóżkiem, przeświecała przez włosy Marcie, tworząc wokół nich jasną aureolę. Ten magnetyczny widok przyciągnął go. Wkrótce stanął tuż przy łóżku.

- Znowu historia się powtarza - odezwała się Marcie. - Pamiętam, jak kiedyś przyszedłeś zobaczyć się ze mną w szpitalu.

- Wyglądasz teraz o wiele lepiej niż wtedy.

- Dziękuję.

Odwróciła głowę i zamrugała oczami, ale to nie pomogło. Łzy wymknęły się spod powiek i stoczyły po policzkach.

- Boli cię coś, Marcie? - zapytał Chase, pochylając się nad nią niżej. - Czy ten wariat cię zranił?

- Nie - z trudem przełknęła ślinę. - Przybyłeś akurat w porę.

- Jest już za kratkami. - Pomyślał, że to nie najlepszy moment, by ją informować, że Gladys została zamordowana. - Szkoda łez z tego powodu.

- To nie dlatego płaczę. - Dolna warga zaczęła jej drżeć. Przygryzła ją zębami, próbując to opanować. Po chwili powiedziała: - Wiem, co czujesz w związku z tym dzieckiem, Chase. Nie miałam zamiaru cię oszukać. Przysięgam. To prawda, że w sprawie domu powinnam być uczciwsza, ale na temat środków antykoncepcyjnych nie kłamałam. Brałam tabletki, gdy tylko zdecydowaliśmy się na małżeństwo, ale, jak się domyślam, nie zdążyły jeszcze zadziałać. Stało się to w naszą noc poślubną.

- Ale ja przecież też...

- To czasem zawodzi. A jeśli idzie o tabletki, chyba nie posądzasz mnie o kłamstwo?

- Oczywiście, że nie.

Podniosła na niego wzrok.

- Przykro mi, Chase. - Jej wargi znowu zaczęły drżeć.

- Przecież to nie twoja wina.

- Tak, ale mówię teraz o czym innym. Pewnie myślisz, że próbowałam przywiązać cię do siebie pieniędzmi, a teraz dzieckiem, którego nigdy nie chciałeś mieć. - Zlizła zbierające się w kąciку ust łzy.

- Powinnaś mi powiedzieć, że jesteś w ciąży, Marcie.

- Nie mogłam. Dowiedziałam się o tym, gdy byłeś w Houston. To dlatego nie miałam apetytu i straciłam na wadze. Dlatego też nie przyjęłam tabletki, którą mi wtedy proponowałeś. Już wtedy wiedziałam, że powinnam ci powiedzieć, ale byłeś tak zły na mnie za tę aferę z domem. I wtedy jeszcze wyłoniła się ta sprawa z telefonami. Chcę, żebyś wiedział, że nie zamierzam cię zatrzymywać. Jesteś wolny. Jak

chcesz, możesz odejść. Nie będę przytrzymywać cię żadnymi zobowiązaniami, jeśli chcesz wycofać się z tego małżeństwa.

- Czy w ten sposób próbujesz uwolnić się ode mnie?

- Oczywiście, że nie.

- To bądź cicho. Bo właśnie zamierzam ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham. - Uśmiechnął się, widząc jej niedowierzający wyraz twarzy, po czym nachylił się i zlizął z jej policzków łzy. - Przysięgam na Boga, że to prawda. Jesteś dla mnie błogosławieństwem.

- Myślałam, że już w niego nie wierzysz.

- Zawsze wierzyłem, ale kiedyś byłem po prostu wściekły.

- Chase - westchnęła. - Mówisz to poważnie?

- Z samego dna mojego serca.

Przesunęła palcami po jego włosach, twarzy, ustach.

- Kocham cię, odkąd tylko pamiętam. Od dzieciństwa.

- Wiem - odparł miękko. - Teraz zdałem sobie z tego sprawę. Nie jestem tak mądry jak ty. Czasem potrzebuję trochę czasu, by poukładać sobie wszystko w głowie.

- Przypomnij sobie tę noc, gdy przywiozłam cię do domu, do twojego mieszkania. Rozmawialiśmy wieczorem, gdy jadłeś chili. Doszło między nami do kłótni, gdy powiedziałam ci, żebyś skończył żałobę, bo wpływa na ciebie destrukcyjnie. Zaatakowałeś mnie wówczas: „Gdybyś przeżyła to, co ja, wtedy mogłabyś porozmawiać ze mną na ten temat”. Do czasu, gdy stanęłam przed groźbą utraty ciebie, nie zdawałam sobie sprawy, jak unieruchamiający potrafi być ból serca, kiedy ktoś odchodzi. Tak jak ty, Chase, doświadczyłam dotkliwego bólu. W pełni teraz rozumiem, co musiałeś odczuwać po śmierci Tani. To jakaś samoobrona, sposób, w jaki zapadamy się w siebie, gdy myślimy, że nikomu na nas nie zależy.

- Nie będziemy już mieli takich problemów.

Promienny uśmiech przebił się przez jej łzy.

- Nie. Nie będziemy.

Pocałował ją czule. Zastanowił się, dlaczego do tej pory nie rozpoznał, że szczególny smak jej pocałunku to smak miłości. Wiedział, że nigdy się tym nie nasyci.

- Boli cię coś, Marcie? - zapytał Chase, pochylając się nad nią niżej. - Czy ten wariat cię zranił?

- Nie - z trudem przełknęła ślinę. - Przybyłeś akurat w porę.

- Jest już za kratkami. - Pomyślał, że to nie najlepszy moment, by ją informować, że Gladys została zamordowana. - Szkoda łez z tego powodu.

- To nie dlatego płaczę. - Dolna warga zaczęła jej drżeć. Przygryzła ją zębami, próbując to opanować. Po chwili powiedziała: - Wiem, co czujesz w związku z tym dzieckiem, Chase. Nie miałam zamiaru cię oszukać. Przysięgam. To prawda, że w sprawie domu powinnam być uczciwsza, ale na temat środków antykoncepcyjnych nie kłamałam. Brałam tabletki, gdy tylko zdecydowaliśmy się na małżeństwo, ale, jak się domyślam, nie zdążyły jeszcze zadziałać. Stało się to w naszą noc poślubną.

- Ale ja przecież też...

- To czasem zawodzi. A jeśli idzie o tabletki, chyba nie posądzasz mnie o kłamstwo?

- Oczywiście, że nie.

Podniosła na niego wzrok.

- Przykro mi, Chase. - Jej wargi znowu zaczęły drżeć.

- Przecież to nie twoja wina.

- Tak, ale mówię teraz o czym innym. Pewnie myślisz, że próbowałam przywiązać cię do siebie pieniędzmi, a teraz dzieckiem, którego nigdy nie chciałeś mieć. - Zlizła zbierające się w kąciку ust łzy.

- Powinnaś mi powiedzieć, że jesteś w ciąży, Marcie.

- Nie mogłam. Dowiedziałam się o tym, gdy byłeś w Houston. To dlatego nie miałam apetytu i straciłam na wadze. Dlatego też nie przyjęłam tabletki, którą mi wtedy proponowałeś. Już wtedy wiedziałam, że powinnam ci powiedzieć, ale byłeś tak zły na mnie za tę aferę z domem. I wtedy jeszcze wyłoniła się ta sprawa z telefonami. Chcę, żebyś wiedział, że nie zamierzam cię zatrzymywać. Jesteś wolny. Jak

chcesz, możesz odejść. Nie będę przytrzymywać cię żadnymi zobowiązaniami, jeśli chcesz wycofać się z tego małżeństwa.

- Czy w ten sposób próbujesz uwolnić się ode mnie?

- Oczywiście, że nie.

- To bądź cicho. Bo właśnie zamierzam ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham. - Uśmiechnął się, widząc jej niedowierzający wyraz twarzy, po czym nachylił się i zlizął z jej policzków łzy. - Przysięgam na Boga, że to prawda. Jesteś dla mnie błogosławieństwem.

- Myślałam, że już w niego nie wierzysz.

- Zawsze wierzyłem, ale kiedyś byłem po prostu wściekły.

- Chase - westchnęła. - Mówisz to poważnie?

- Z samego dna mojego serca.

Przesunęła palcami po jego włosach, twarzy, ustach.

- Kocham cię, odkąd tylko pamiętam. Od dzieciństwa.

- Wiem - odparł miękko. - Teraz zdałem sobie z tego sprawę. Nie jestem tak mądry jak ty. Czasem potrzebuję trochę czasu, by poukładać sobie wszystko w głowie.

- Przypomnij sobie tę noc, gdy przywiozłam cię do domu, do twojego mieszkania. Rozmawialiśmy wieczorem, gdy jadłeś chili. Doszło między nami do kłótni, gdy powiedziałam ci, żebyś skończył żałobę, bo wpływa na ciebie destrukcyjnie. Zaatakowałeś mnie wówczas: „Gdybyś przeżyła to, co ja, wtedy mogłabyś porozmawiać ze mną na ten temat”. Do czasu, gdy stanęłam przed groźbą utraty ciebie, nie zdawałam sobie sprawy, jak unieruchamiający potrafi być ból serca, kiedy ktoś odchodzi. Tak jak ty, Chase, doświadczyłam dotkliwego bólu. W pełni teraz rozumiem, co musiałeś odczuwać po śmierci Tani. To jakaś samoobrona, sposób, w jaki zapadamy się w siebie, gdy myślimy, że nikomu na nas nie zależy.

- Nie będziemy już mieli takich problemów.

Promienny uśmiech przebił się przez jej łzy.

- Nie. Nie będziemy.

Pocałował ją czule. Zastanowił się, dlaczego do tej pory nie rozpoznał, że szczególny smak jej pocałunku to smak miłości. Wiedział, że nigdy się tym nie nasyci.

EPILOG

- Może to było mądre z twojej strony, że nie powiedziałas mi wcześniej o dziecku, Marcie - wyszeptał. - Nie sądzę, żebym przed dzisiejszym dniem był wystarczająco przygotowany, by to usłyszeć.

- Ale teraz, gdy już wiesz, nie masz nic przeciwko temu?

- Przeciwno? - Miał wystarczająco dużą dłoń, by mogła przykryć jej brzuch. - Szaleję ze szczęścia na myśl, że będziemy mieli dziecko. Pospiesz się i wydobrzej, żeby cała nasza trójka mogła wrócić do domu.

- Do domu?

- Do domu.

Wszyscy Tylerowie zgromadzili się w domu rodzinnym, by uczcić trzeci tydzień życia małej Lauren. Objadali się tortem czekoladowym. Niemowlę zachłannie ssało pierś matki za zasłoną z ogromnej chusty, czemu z dumą przyglądał się ojciec.

Travis Belcher, narzeczony Sage, towarzyszył jej w czasie tej wizyty. Siedział milczący, a wyraz jego twarzy świadczył, że otwartość, z jaką Tylerowie odnosili się do siebie, nie podobała mu się.

Chase spostrzegł, że młody mężczyzna jest zbulwersowany, gdy on czule gładzi brzuch Marcie. Jego zdanie o Travisie zgadzało się z opinią Lucky'ego. Facet był mięczakiem. Tylko w tym celu, by zaszokować go bardziej, nachylił się i pocałował Marcie w usta.

Widok rumieńców rozlewających się na jej ślicznych policzkach sprawił Chase'owi przyjemność.

Laurie była zazdrosna o każdego, kto trzymał jej wnuczkę na rękach dłużej niż ona. Gdy tylko Lauren skończyła ssać, Laurie przeszła przez salon, zabrała dziecko z rąk Lucky'ego i ułożyła w kołysce, którą przyniosła ze strychu. W niej bujała trójkę swoich dzieci.

Lucky zaproponował, że kupi nową, ale nawet nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że zgrzyty i piski, jakie to drewno wydaje, są jej tak dobrze znane i przywołują wspomnienia z przeszłości.

- Na miłość boską, Lauren, ty rośniesz w oczach! - zawołała radośnie.

- Nic dziwnego - odparł Lucky. - Skoro dostaje tak pyszne

posiłki. - Otoczył Devon ramieniem, do którego natychmiast się przytuliła.

- Skąd wiesz, że pyszne? - spytał Chase, mrugając porozumiewawczo okiem.

Lucky stanął na wysokości zadania i odparował:

- Nie sądzisz chyba, że pozwolę mojej córce zjeść cokolwiek, czego sam wprawdzie nie spróbuję?

Ryknęli śmiechem, aż niemowlę drgnęło.

Sage podniosła się.

- Chodź, Travis. Pojeździmy sobie konno.

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

- Znowu? - Widać było, że ta propozycja nie przypadła mu do gustu.

- Nie psuj mi zabawy. Tym razem osiodłam dla ciebie bardziej uległego konia. - I od drzwi krzyknęła: - Pa! Zobaczymy się później. Do zobaczenia, Lauren. Kocham cię!

Chwilę potem, jak zniknęli za drzwiami, do salonu wkroczył Pat Bush.

- Witam wszystkich. Spotkałem przed domem Sage.

Chase zaczął pociągać nosem.

- Co to za zapach? - Skierował nos w stronę Pata i jeszcze raz pociągnął. - Pat, myślę, że to ty! - powiedział, udając zaskoczenie. - Czemu się tak wypachniłeś?

Pat zatkał się kawałkiem ciasta i jedynie spojrzał bykiem na Chase'a. Policzki Laurie zakwitły rumieńcem. Chase nie powiedział nikomu ani słowa, nawet Lucky'emu, o tym, jak trafił na ich czuły uścisk. Mimo iż pokusa była silna.

Wstał i pociągnął za sobą Marcie. Od powrotu ze szpitala sypiał z nią w jednym łóżku, trzymając blisko siebie. Miłość jednak wyrażał jej tylko słowami, respektując zakaz lekarza.

Harlan Boyd, człowiek, który proponował rozwiązanie jego kłopotów, najwidoczniej zaniechał prób skontaktowania się z nim. Teraz, gdy Marcie nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, Chase postanowił odnowić znajomość. Okazało się jednak, że mężczyzna zmienił miejsce zamieszkania, nie pozostawiając nikomu nowego adresu. Chase i Lucky musieli

teraz wykazać więcej operatywności, jeśli chcieli ocalić swoją firmę. W chwilach zniechęcenia Marcie dodawała Chase'owi otuchy i była dla niego podpora.

Teraz położył jej dłoń na ramieniu i powiedział:

- Lepiej chodźmy już do domu.

- Po co? - Mina Lucky'ego była tak szczerą, jak u cherubinka. Przymknął powieki. - Czas drzemki?

Ignorując jego słowa, Chase pochylił się nad matką i pocałował ją w policzek.

- Do zobaczenia. I dzięki za ciasto. Było pyszne.

- Do widzenia, synku. - Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Wiedział, że matka szuka bólu, który na tak długi czas zadomowił się w jego oczach. Nie znajdując jednak jego śladów, uśmiechnęła się, po czym zwróciła się do kobiety, która pomogła mu odzyskać szczęście. - Marcie, jak się czujesz?

- Świetnie, dziękuję. Chase bardzo troskliwie się mną opiekuje. Ledwo pozwala mi podnieść do ust widelec.

Gdy siedzieli już w samochodzie i zmierzali do domu, powiedziała:

- Oni myśleli, że żartuję mówiąc, iż nie pozwalasz mi nic robić.

- Muszę ochraniać ciebie i dziecko. Już raz omal mi się nie wymknęliście. Nigdy więcej, Marcie, nikt nie zbliży się, by cię skrzywdzić.

- Ty jesteś jedynym, który może mi wyrządzić krzywdę, Chase.

- Jak to?

- Jeśli kiedykolwiek postanowisz, że nie będziesz mnie więcej kochał.

Sięgnął po jej rękę i nakrył swoją dłonią.

- To nigdy nie nastąpi.

Las, który otaczał ich dom, mienił się dziewczycami, różnorodnymi kolorami wiosny. Kwitnące drzewka dereni przeplatały zieleń wstążkami białych koronek. Z cebulek tulipa-

nów, które Marcie posadziła rok temu, rozkwitły piękne kwiaty wzdłuż dróżki prowadzącej do ich drzwi.

Gdy znaleźli się w środku, Chase podszedł do szklanej ściany i kontemplował widok.

- Kocham ten dom.

- Zawsze wiedziałam, że go pokochasz.

Odwrócił się, by przytulić żonę do siebie.

- Kocham go prawie tak bardzo jak ciebie.

- Prawie?

Rozpiął jej bluzkę i odsunął na bok poły materiału. Poprzez jedwabny stanik nakrył dłońmi jej biust.

- Ty masz o wiele więcej uroku.

Po długim, wilgotnym pocałunku wymamrotała:

- Dziś rano dostałam od lekarza zezwolenie...

- Czy to znaczy, że możemy...

- Jeśli będziemy ostrożni.

Chwycił ją w ramiona i pobiegli po schodach.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Bo byliśmy zaproszeni na przyjęcie na cześć Lauren.

- Zmarnowaliśmy tam dwie godziny!

Posadził ją na skraju łóżka.

Zdjął z niej bluzkę i spódnice. Pozostała w halce, gdy ułożył ją na łóżku, opierając głowę na jej brzuchu.

- Jak się ma moje dziecko? - wyszeptał.

- Świetnie. Jest zdrowe. Rośnie we mnie.

- A ty?

- Jestem nieprzytomna ze szczęścia i z miłości.

- Boże, ja również.

Westchnęła i przytuliła się do niego.

Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej:

- Lubisz to?

- Tak.

- Och, ty rudzielcze! - Chwycił skraj jej halki i ściągnął ją przez brzuch, biust i na końcu głowę. Kolejno zdejmował stanik, pończochy i majtki, potem z miłosną aprobatą zaczął kontemplować widok, jaki się ukazał jego oczom.

Uniósł się nad nią powoli, ostrożnie zanurzył się w przytulnym, wilgotnym schowku jej ciała. Pamiętając o jej stanie, wykonywał wolne, gładkie pchnięcia, które wzmagały erotyzm i przedłużały przyjemność.

Rozkosz zdawała się nie mieć granic. Ekstaza napływała migoczącymi falami. W głębi jego umysłu, prócz fizycznej błogości, krążyły myśli, jak cudowne było życie, jak bardzo je kochał i... jak bardzo kochał Marcie, swoją żonę.